

ŚLADEM ŚMIERCI.

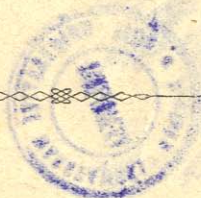
ŚLADEM ŚMIERCI.

POWIEŚĆ

B. S.

PRZEKŁAD

Celiny Sielskiej.



WARSZAWA.

NAKŁADEM „BIESIADY LITERACKIEJ.”

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Января 1892 года.



114989

Druk Emila Skirskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

K-6081/130280

KSIEGA PIERWSZA.

R. 1859.

Wychowałam się w domu rodzicielskim, pod przewodnictwem nauczycieli i nauczycielek; matkę straciłam bardzo wcześnie. Ciotka staruszka, należąca do zgromadzenia kanoniczek, zastępowała matkę mnie i trojgu młodszego rodzeństwa. Zimą spędzaliśmy w Wiedniu, lato w dziedzicznym majątku, w południowej Austrii.

Nauczyciele nie skarżyli się na mnie; byłam pilną, obdarzoną wyborną pamięcią a nadewszystko ambicyą we mnie górowała. Znajomość języków francuzkiego i angielskiego doprowadziłam prawie do doskonałości; z geografii, astronomii, historii naturalnej i fizyki tyle sobie przyswoiłam, na ile pozwolił program wychowania kobiecego; z historii nauczyłam się więcej niż wymagano. Z biblioteki ojcowskiej wydobywałam grube tomy dzieł historycznych i wertowałam je w wolnych godzinach, sądząc, że każde wydarzenie, każde nazwisko, każda data przyswojona pamięci czyni mnie o wiele mądrzejszą. Grze na fortepianie za to

stawiała wytrwały opór. Nie posiadając ani talentu ani ochoty do muzyki, czułam, że na tém polu nie zrobię postępów. Prosiłam więc tak długo i usilnie, aby bezcelowe brzdąkanie nie skracało mi drogiego czasu, który innym naukom poświęcić pragnęłam, że dobry ojciec uwolnił mnie od muzykalnej pańszczyzny, ku wielkiemu zmartwieniu ciotki, która sądziła, że bez muzyki nie można być wykształconą.

10 marca 1857 r. obchodziłam siedmnastą rocznicę mych urodzin. „Już siedmnaście” zapisałam w dzienniku pod powyższą datą. To „już” jest całym poematem; niema wprawdzie przy nim żadnego komentarza, ale prawdopodobnie chciałam przez to powiedzieć: „i jeszcze nie uczyniłaś dla nieśmiertelności”. Dziś gdy spisuję wspomnienia, oddają mi czerwone zeszyty mego pamiętnika wielką przysługę; one to umożliwiają szczegółowe skreślenie minionych wydarzeń, które pamięć zachowała w niewyraźnych zarysach; pozwalają mi odtworzyć zapomniany bieg myśli i powtórzyć przebrzmiałe rozmowy.

W następnym karnawale miałam być w świat wprowadzoną. Nie cieszyłam się tém jak zazwyczaj cieszą się młode dziewczęta, bo umysł mój pożądał wyższych zaszczytów niż tryumfy balowe. Czego żądałam? Na to pytanie nie umiałabym sama odpowiedzieć; lecz prawdopodobnie, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, oczekiwałam... miłości.

W lecie zalecono ciotce kuracyą w Maryenbadzie. Uważała za właściwe wziąć mnie z sobą; chociaż uroczyste wprowadzenie mnie w świat dopiero przyszłej zimy nastąpić miało. Pozwolono mi ukazać

się na kilku mniejszych balach w kurhauzie; miał to być przedwstępny popis w tańcu i rozmowie, zapobiegający zbyt nieśmiałości i niezręcznemu wystąpieniu w sezonie karnawałowym.

Traf chciał, żebym na pierwszym reunie spotkała ową oczekiwaną miłość; przedmiotem jój był porucznik od huzarów. Wobec wojskowych cywilni wydali mi się podobni do chrabąszczy wobec motyli; wśród umundurowanych gości balowych najbardziej odznaczał się huzarzy a między nimi hrabia Arnold Datzky. Gdy zapytał: „Hrabianko, czy mogę panią prosić do kotyliona” — uczułam, że nie jestem dla niego obojętną.

— Ależ Marto! Marto! — upominała ciotka, gdym po tańcu bez tchu padła obok niej na krzesło.

— Przebac, cioteczko, przebac! — prosiłam — jam temu nie winna.

— Zachowanie się twoje w tańcu było niestosowne, nie wypada tak patrzeć w oczy tancerzowi.

Zaczerwieniłam się mocno; czyżbym rzeczywiście co przewiniła? Ale w takim razie mógłby powziąć o mnie złe wyobrażenie...

Od téj wątpliwości uwolnioną zostałam nie długo, bo po kolacyi hrabia, tańcząc ze mną walca, szepnął:

— Wysłuchaj mnie, pani, nie mogę inaczej postąpić: dziś jeszcze musisz się dowiedzieć, że cię kocham!

W tańcu nie mogłam mu przecież odpowiedzieć. Zrozumiał to pewnie, bo zatrzymał się; znaleźliśmy się w pustym kącie salonu, zdala od ciekawych uszu; mogliśmy tam swobodnie rozmawiać.

— Hrabianko, powiedz, czego się mogę spodziewać?

— Nie rozumiem pana...—skłamałam.

— Może pani nie wierzysz w miłość od pierwszego spojrzenia? Dotąd i ja uważałam to za bajkę, ale dziś doświadczyłem na sobie, że to jest prawdą.

Jakże mi serce biło!

— Na oślep powierzam się losowi — ciągnął dalej hrabia — ty, pani, lub żadna! Wydadz wyrok szczęścia lub śmierci... bo bez ciebie żyć nie chcę i nie mogę... chcesz zostać moją żoną?

Na takie pytanie musiałam wreszcie odpowiedzieć; szukałam jakiegoś dyplomatycznego wybiegu, który, nieodbierając nadziei, podniósłby moją godność, ale nie zdobyłam się na nic innego jak drżące, ciche „tak”.

— Zatem jutro mogę przedstawić prośbę moją ciotce pani i napisać do hrabiego Althaus?

Znów odpowiedziałam „tak” — tylko cokolwiek głośniejszym głosem niż poprzednio.

— Jakżem szczęśliwy! Więc i ty od pierwszego spojrzenia pokochałaś mnie?

Odpowiedziałam mu spojrzeniem — ale w nim wyczytał wyraźne potwierdzenie.

*

*

*

Osmnasta rocznica mych urodzin była dniem mego ślubu, wprawdzie została wprowadzona w „świat” i przedstawiona cesarzowej „jako narzeczona”.

na”. Po ślubie wyjechaliśmy do Włoch. W tym celu Arno wziął dłuższy urlop; o wystąpieniu ze służby wojskowej nie było mowy. Wprawdzie posiadaliśmy oboje znaczny majątek — lecz mąż mój kochał swój zawód i ja również. Dumna byłam z mego oficera i z radością oczekiwałam awansu na rotmistrza, pułkownika... Kto wie nawet, czy nie był mu przeznaczony los świetniejszy: może miał zabłysnąć w historii jako wódz znakomity.

Żałuję teraz bardzo, że szczęśliwa epoka mego narzeczeństwa i miodowych miesięcy stanowi przerwę w czerwonych zeszytach.

Były to świetne czasy, jakiś sen czarodziejski. Posiadałam wszystko, czego może pragnąć serce kobiety: miłość, bogactwo, stanowisko, majątek — a wszystko było po większej części tak nowe, tak niespodziewane, tak zdumiewające! Ja i Arno kochaliśmy się z całym zapalem młodości; on był dzielnym, zacnym, szlachetnie myślącym chłopcem, posiadał światowe wykształcenie i wesołe usposobienie, a ja dość rozsądną i dobroduszną stworzeniem. Byliśmy zupełnie szczęśliwi a wskutek tego księga zażeńskich przez długi przeciąg czasu pozostawała pustą.

Ale oto w pamiętniku znajduję się radosna notatka wygłaszająca zachwyty, z powodu macierzyńskiej godności. Pierwszego stycznia 1809 r. urodził nam się syn; to zdarzenie wprawiło nas w niesłychaną dumę, jakbyśmy byli pierwszą małżeńską parą, którą coś podobnego spotykało. Rozpisałam się o tej mojej godności w dzienniku, potomność powinna być o niej szczegółowo powiadomiona. Mój malutki, serdeczny

Rudzio był dla mnie istnym cudem świata. Młody ojciec był niemniej dumny ze swego potomka i roił dla niego świetny los w przyszłości. „Czém on będzie?” Takie pytanie zadawaliśmy sobie często przy kołysce Rudzia i zawsze jednoznaczny wyrok zapadał: „Będzie żołnierzem!” Czasem odzywał się słaby protest macierzyński: „A jeżeli zginie na wojnie?” — „Ach, cóż znowu — brzmiała odpowiedź ojca — każdy umiera tylko wtedy i tam, gdzie mu umrzeć przeznaczono. Następnych synów, jednego, w imię Boże, wychowamy na dyplomatę, drugiego na gospodarza, trzeciego na księdza; lecz najstarszy powinien obrać zawód najszczytniejszy — pójść w ślady ojca i dziadka: zostać żołnierzem.”

Takie było niezmiennie postanowienie. Dwumiesięczny Rudzio awansował na gefreitera. Wszak książęta domów panujących zaraz po urodzeniu otrzymują pułki, dlaczego nie mieliśmy również przyozdobić naszego malca idealną rangą? Prawdziwą krotochwilą była dla nas zabawa w żołnierze z naszym małym; Arno salutował zawsze, gdy mamka wносиła go do pokoju.

* * *

*

Pierwszego kwietnia awansował Rudzio z gefreitera na kaprała. Dzień ten jest pamiętny smutnym wydarzeniem, które zaciężyło mi na sercu i skłoniło do wynurzeń w czerwonym dzienniku.

Już od dawna na horyzoncie politycznym ukazywała się ciemna chmurka a we wszystkich gazetach i po wszystkich salonach rozprawiano żywo o możliwym jej wzroście. Dotąd nie zwracałam na to uwagi; chociaż mąż mój, ojciec i ich wojskowi przyjaciele często w mojej przytomności mówili: „Z włochami na coś się zanosi”, nie pojmowałam tego. Czyż miałam czas i ochotę zajmować się polityką! Chociaż dokoła rozprawiano z zapalem o stosunku Sardynii do Austrii i o postępowaniu Napoleona III, którego pomoc zapewnił sobie Cavour spółudziałem w wojnie krymskiej; chociaż mówiono o naprężeniu jakie alians francuzki wywołał w naszych stosunkach z sąsiadami włoskimi — nie zwracałam na to żadnej uwagi; lecz w owym pamiętnym dniu, 1-go kwietnia, mąż rzekł do mnie poważnie:

— Czy wiesz, mój skarbie — że wkrótce wybuchnie...

— Co wybuchnie, mój drogi?

— Wojna z Sardynią.

Przeraziłam się.

— I ty będziesz musiał pójść także?

— Spodziewam się.

— Jak możesz tak mówić? Opuszczać żonę, dziecko...

— Gdy powinność woła...

— Ach; to smutna, okropna powinność!

— Smutna? Taka rażna, wesola wojna jest czemś wspaniałym. Zresztą jesteś żoną żołnierza, nie zapominaj o tém.

Rzuciłam mu się na szyję.

— O, bądź spokojny, drogi mężu: umiem być odważną... Jakże często z bohaterami i bohaterkami historii odczuwałam to podniosłe uczucie, którego doznawać się musi idąc na wojnę. Gdybym mogła pójść z tobą — obok ciebie walczyć, zginąć lub zwyciężyć!

— Dzielnie mówisz, żonusi — ale niedorzecznie. Miejsce twoje przy kołysce małego, który także na obronę kraju wyrosnąć musi, przy naszym domowym ognisku.

Nie wiem dlaczego te słowa, które nieraz słyszałam i czytałam, brzmiały teraz jak frazes... Wszak ognisko domowe nie było zagrożonem, u bram miasta nie stały hordy barbarzyńskie, zaszło tylko polityczne nieporozumienie... Jeżeli mąż mój, uniesiony zapalem, chce iść na wojnę, to nie zmusza go do tego nagłaćca potrzeba obrony, dziecka, żony, kraju, ale nęci go wyprawa pełna przygód, chęć odznaczenia się. Tak, to jest ambicya — wywnioskowałam ostatecznie — piękna, uzasadniona ambicya, szczytna chęć spełnienia obowiązku.

Odtąd przez długi przeciąg czasu zapełniają czerwone zeszyty rozprawy o polityce: Ludwik Napoleon jest intrygantem... Austria nie może się spokojnie patrzeć na jego knowania, musi przyjsć do wojny. Sardynia zleknie się przemocy i ustąpi, pokój się utrzyma. Moje życzenia — wbrew wszelkim teoretycznym podziwom dawnych wojen — gorąco przemawiały teraz za utrzymaniem pokoju, lecz życzenia mego męża nie godziły się z mojemi. Nie mówił tego

wyraźnie, ale wiadomości o zwiększaniu się ciemnej chmurki oznajmiał zawsze z błyszczącemi oczyma.

Ojciec mój, stary generał austriacki, który walczył na polach Custozzy, był także zapalonym stronnikiem wojny. Pokonanie Piemontu było, jego zdaniem, igraszką dziecinną, i dla potwierdzenia tych zapatrywań sypał anegdotami o Radeckim, swoim dawnym, ukochanym wodzu. O grożącej nam wojnie słyszałam ustawiczne rozprawy ze stanowiska strategicznego, mianowicie rozważano szanse jak i gdzie nieprzyjaciel mógłby być pobity i korzyści, jakie ztąd miały dla nas wypaść. Lecz tego, że każda bitwa przegrana czy wygrana niezliczonych ofiar łez i krwi wymaga, nie brano bynajmniej pod uwagę; kwestye polityczne stawiano po nad wszelkie interesy humanitarne; w końcu wstydziałam się mych pojęć. Gdy czasem przyszło mi na myśl: „Na cóż przyda się zwycięztwo zabitym, nieszczęśliwym kalekom i biednym wdowom?” — w odpowiedzi przypominały mi się dytyramby szkolnych wypisów: „Sława wynagrodzi wszystko”. — „A jeśli nieprzyjaciel zwycięży?” — odezwałam się raz z tém zapytaniem w kole naszych przyjaciół wojskowych, lecz zostałam sromotnie wysmiana. Samo przypuszczenie jakiegóś wątpliwości jest niepatryotyczne; być z góry pewnym zwycięztwa jest to obowiązek żołnierza, więc i obowiązek jego żony.

*

*

*

Pułk mego męża stał w Wiedniu; z naszego mieszkania mieliśmy widok na Prater, zkąd przez otwarte

okna napływało ciepło, zapowiedź lata. Wiosna była cudowna; powietrze przepęniała balsamiczna woń fiołków, wcześniej niż innych lat rozwinęła się zieleność. Cieszyłam się obiecując sobie w przyszłym miesiącu przejażdżki po Praterze; w tym celu sprawiliśmy elegancki powóz i czwórkę węgierskich rumaków. Teraz nawet, korzystając z pięknych dni kwietniowych, jeździliśmy codziennie niemal po alejach Prateru, lecz to był dopiero przedsmak rozkoszy majowych. Byłe tylko wojna przed tym czasem nie wybuchła...

— Bogu dzięki — koniec wątpliwości — zawołał Arno, powróciwszy z mustry rannéj dziewiętnastego kwietnia — ultimatum stanowcze postawiono.

— Co to ma znaczyć? — zapytałam z przestachem.

— To znaczy, że wypowiedziano ostatnie słowo rokowań dyplomatycznych, które poprzedza wypowiedzenie wojny. Nasze ultimatum postawione w Sardynii, żąda jéj rozbroyenia, czego ona naturalnie nie uczyni; lada dzień przekroczymy zatem granicę.

— A może rozbroy się?

— W takim razie spór byłby załagodzony i pokój utrzymałby się.

Padłam na kolana; cicha, gwałtowna prośba z głębi méj duszy wzbila się ku niebu:

— Pokoju, Panie, pokój!

Arno podniósł mnie.

— Co czynisz, nierozsądne dziecko?

Zarzuciłam mu ręce na szyję i wybuchnęłam łkaniem; nie była to rozpacz, bo groźba nieszczęścia była

jeszcze wątpliwą — lecz wiadomość otrzymana tak mię wzruszyła, że wszystkie moje nerwy drżały.

— Marto, Marto, nie gniewaj mnie — upominał Arno — nie zapominaj, żeś córką generała, żoną porucznika, i — dodał żartobliwie — matką kaprała?

— Wybacz Arno... Ja sama nie pojmuję siebie... To tylko atak chwilowy... ja duszą całą sprzyjam chwale wojennéj... ale nie wiem dlaczego, gdyś powiedział, że wszystko zawisło od jednego słowa, które ma być wypowiedziane, od jednego „tak” lub „nie”, że owo „nie” ma być wyrokiem śmierci i rozlewem krwi tysięcy ludzi — zdało mi się, że obowiązkiem moim jest błagać Boga o pokój.

Wtém rozległ się głos dzwonka, spiesźnie otarłam łzy. Ktoby mógł tak wcześnie przychodzić?

Był to mój ojciec; wpadł pospiesznie, zadyszany, i rzucając się na fotel zawołał:

— No dzieci! czy wiecie już o wielkiej nowości, ultimatum...

— Właśnie opowiadałem o tém żonie.

— Powiedz, ojcze, czy myślisz, że to wojnę odwróci? — pytałam trwożnie.

— Nie słyszałem jeszcze, aby kiedykolwiek ultimatum wojnę odwróciło. Rozsądnie postąpiłoby wszakże to włoskie hultajstwo, gdyby wszelkie zrobiło ustępstwa, nie narażając się na drugą Nawarę... Ach, gdyby nasz Radecki nie był umarł w przeszłym roku, pomimo swych dziewięćdziesięciu lat stanąłby na czele szeregów — i ja bym także pomaszerowała... Pokazalibyśmy obaj, jak to się załatwia z tą włoską hołotą. Ale tym hultajom nie dość dawnéj, oni chcą drugą otrzymać

nauczkę! Tém lepiej: nasze lombardzko-weneckie królestwo ładnie się powiększy piemonckimi posiadłościami! Widzę już, jak nasze wojska wchodzą do Turynu.

— Ależ ojcze, mówisz tak, jakby wojna już była wypowiedziana i jakbyś jęj pragnał. A jeżeli Arno pójsé musi?

Tu znów łzy zakręciły mi się w oczach.

— To pójdzie.

— A moja obawa, a niebezpieczeństwo?

— Cóż znowu! Z wojny powraca się do domu, masz przykład na mnie. Niejedną kampanię odbyłem, i, Bogu dzięki, nieraz byłem ranny, a jednak żyję.

— Jeżeliby mój pułk nie miał być wysłany... — zaczął Arno.

— Ach prawda! — zawołałam radośnie — pozostaje jeszcze ta nadzieja.

— Poproszę o przeniesienie do innego — dokończył mąż.

— I nie odtrąca twęj prosby — upewniał go ojciec — Hess będzie głównym dowodzącym, a to mój przyjaciel.

Serce mi drżało z trwogi, lecz musiałam obu podziwiać; z takim spokojem mówili o przyszłej wyprawie, jakby o najweselszej przechadzce. Mój dzielny Arno chciał nawet jako ochotnik iść na wojnę — gdy go obowiązek nie powoła — a ojciec znajdował to prostym i naturalnym. Dodało mi to otuchy. Precz niebieskie trwogo; trzeba się okazać godną moich ukochanych, wznieść ponad samolubne obawy i przejąć myślą, że mąż mój jest bohaterem.

Zerwałam się i wyciągnęłam do niego obie ręce:
— Arno, dumną jestem z ciebie!

Ucałował moje ręce i zwracając się do ojca z rozpromienioną twarzą, rzekł:

— Dobrze wychowałeś córkę, mój ojcze!

Ultimatum odrzucono!

Stało się to w Turynie, 26 kwietnia. Kości rzucone — wojna się rozpoczęła.

Od tygodnia byłam przygotowaną do tęg katastrofy; pomimo to nadejście jęj zadało mi cios srogi. Ekając upadłam na kanapę i ukryłam twarz w poduszki, gdy mi Arno oznajmił tę wiadomość.

Usiadł przy mnie i pocieszał jak mógł.

— Odwagi, kochanie, upamiętaj się! Nie będzie tak źle, powrócimy wkrótce zwycięzko, a wtedy będziemy podwójnie szczęśliwi. Nie płacz, to mi serce rozdziera. Żałuję, że się zobowiązałam podążyć na plac boju; pomyśl jednak: gdy moi koledzy idą, jakim prawem ja mam pozostać w domu? Sama wstydzic byś się musiała za mnie... Muszę przecież otrzymać chrzest bojowy; dopóki to nie nastąpi nie będę się czuł prawdziwym mężem i żołnierzem.

Oparłam głowę na jego ramieniu, nie przestając płakać. Arno pocałował mię w czoło i odsunawszy delikatnie, podniósł się.

— Idę teraz do pułkownika. Wyplacz się... powrócę, spodziewam się zastać cię spokojną i wesłą; potrzebuję tego, aby mię nie ogarnęły smutne przeżucia. W tak stanowczej chwili moja żona nie



uczyni nic takiego, coby mi odwagę odjęło lub przytłumiło energię?

To rzekłszy poszedł.

Podniosłam się. Ostatnie jego wyrazy brzmiały mi jeszcze w uszach. Miał słuszość; moim obowiązkiem było nie przytłumiać jego odwagi, lecz, o ile można, podnieść ją. W ten sposób jedynie, my kobiety, możemy uwydatnić nasze uczucia szlachetne i uczestniczyć w sławie, jaką mężowie nasi na polach bitew zdobywają.

„Pola bitew”... to określenie nagle ukazało mi się w dwóch zupełnie odmiennych barwach: Jedno, brzmiało patetycznie, budziło podziw i uwielbienie, drugie zarysowało się brutalnie, ohydnie i krwawo, jako rzeź bez miłosierdzia. Ci biedni ludzie, spędzeni z rozmaitych stron, wyrwani z objęć żon i dzieci, będą leżeć na pobojowisku okryci krwawymi ranami — a wśród nich może... Na tę myśl głośny okrzyk wydarł się z méj piersi.

— Co się stało, pani hrabino? — zapytała wystraszona służąca, którą mój krzyk przywołał.

Spojrzałam na nią: miała oczy zapłakane. Domyślałam się, że i ona wiedziała już o wypowiedzianej wojnie, że będzie też musiała pożegnać kogoś drogiego sercu a zarazem czułam obowiązek ukoić tę siostrę po niedoli.

— To nic, Elżbieto — rzekłam do niej — ci co pójdą powrócą.

— O, dobra pani hrabino, nie wszyscy wrócą — odpowiedziała zalewając się łzami.

W téj chwili weszła ciotka, Elżbieta oddaliła się.

— Przechodzę cię pocieszyć, Marto — mówiła staruszka ściskając mnie — i zalecić, abys z poddaniem zniosła tę boleść, którą cię niebo nawiedziło.

— Wiesz już ciociu?

— Całe miasto wie o tém, ludzie cieszą się z wojny.

— Cieszą się?

— Ci wszyscy przynajmniej, którzy nie mają nikogo z bliskich pomiędzy idącymi na plac boju. Wiedziałam, że ty będziesz smutna i dlatego pospieszyłam tutaj. Ojciec też przyjdzie zaraz, ale nie po to, aby cię pocieszać, lecz aby ci winszować: on jest niezmiernie uradowany z wypowiedzianej wojny, bo uważa ją jako pole odznaczenia dla twego męża. Ma przecież rację: wojna to żywioł żołnierza... ty, moje dziecko, powinnaś tak samo myśleć. Obowiązek przedewszystkiem, zresztą, co ma się stać, stanie się.

— Tak, ciotko, masz słuszość: przeznaczenia odwrócić niepodobna.

— Czego Bóg chce... — szepnęła ciotka Marya.

— Trzeba dopełnić ze spokojem i poddaniem się.

— Dobrze mówisz, Marto; wszystko co nas spotyka dzieje się z woli Opatrzności; godzina śmierci każdegoznaczona już z chwilą jego urodzenia. A przecież za naszych drogiech wojaków modlić się będziemy tak usilnie i tak gorąco!

Jak deski zbawienia chwyciłam się pociechy wskazanej w modlitwie. Tak — podczas nieobecności męża będę tak usilnie błagać o opiekę niebios, że modlitwy moje odwrócą wszystkie kule od niego... Od-

wrócą?... Gdzież jednak?... W pierś inną, za którą również ktoś wznosi błagalne modlitwy?...

— Tak, ciociu, będziemy modliły się gorąco i Bóg nas wysłucha — odezwałam się, aby zagłuszyć uderzenia zbolalego serca. — Arno będzie ocalony.

— Widzisz, Marto, jakto w smutku dusza nasza zwraca się do religii; w szczęściu i powodzeniu ludzie łatwo zapominają o Bogu — gdy jednak choroba lub niebezpieczeństwo nam a bardziej jeszcze gdy ukochanym naszym zagraża, gdy jesteśmy przygnębieni nigdzie nie szukamy pociechy, tylko w Panu niewyczerpanej dobroci.

Drzwi się nagle otworzyły, do pokoju wpadł ojciec.

— Mamy wojnę! — wołał uradowany — chcą żebyśmy ich przetrzepali, ci hultaje... Wybornie! Przetrzepiemy i to porządnie.

*

*

*

W salonach i na ulicach o niczem inném nie mówiono, jak o wojnie; o nic innego nie modlono się po kościołach tylko o zwycięstwo; wszędzie spotykało się wzruszone oblicza i żywe rozprawy o wynikach wojny. Wazystko, co zazwyczaj zajmuje umysły ludzkie: teatr, sztuka, literatura, ustąpiło na plan odległy; zdawało się każdemu, że nie ma prawa myśleć o czém inném, gdy się rozgrywa ta wielka scena „losów świata”. A te przeróżne rozkazy wojenne, redagowane w zwycięzko brzmiących i sławę zwiastujących

frazesach, te szeregi ciągnące z rozwiniętymi sztandarami, przy dźwiękach muzyki, patryotyczne artykuły wstępne i mowy publiczne, wieczne odwoływanie się do honoru, obowiązku, odwagi, poświęcenia; obustronne zapewnienia, że jesteśmy niezwyciężonym, najdzielniejszym, do najwyższej potęgi przeznaczonym, najlepszym, najszlachetniejszym narodem: to wszystko wytwarza atmosferę bohaterstwa, która cały naród dumą napelnia, a w każdej pojedynczej jednostce budzi to przekonanie, że jest w wielkiej epoki, wielkim obywatelem.

Przymioty ujemne: zaboborność, zapaleczliwość, porywczosć, okrucieństwo, przypuszczamy że istnieją i ujawniają się, lecz przypisujemy je tylko nieprzyjacielowi, którego nikczemność jest oczywistą. Niezależnie od politycznej konieczności podjętej wyprawy, zadaniem moralnym jest pokonanie przeciwnika, karą, jaką wymierza duch cywilizacji... Ci włosi — to naród leniwy, fałszywy, lekkomyślny, próżny, Ludwik Napoleon — to niepoń, ambitny intrygant! Gdy 29 kwietnia ukazał się jego manifest wojenny z godłem: „Włochy wolne od morza Adryatyckiego” — jakież oburzenie wywołało to u nas! Odważyłam się zrobić nieśmiałą uwagę, że to jest właśnie piękna i niesamolubna idea, która roznieci zapał włoskich patryotów; lecz musiałam zamilknąć. Ludwik Napoleon zostanie złoczyńcą dopóki będzie naszym wrogiem; każdy czyn jego, uważał się z góry za niegodziwy.

W pierwszych dniach maja — a szczęściem, były to dnie zimne i dżdżyste, bo słoneczna wiosennie ra-

dosna pogoda byłaby jeszcze bolesniejszym kontrastem — miał wyruszyć pułk do którego zapisał się był Arnold... Noc poprzedzająca dzień wymarszu była straszna! Gdyby puszczał się w podróż niebezpieczną, rozstanie zasmuciłoby mnie niewypowiedzianie, lecz na wojnę! pod grad ognistych dział nieprzyjacielskich!... Dlaczego tej nocy w słowie „wojna” nie mogłam w żaden sposób odnaleźć owego wzniosłego, historycznego znaczenia, tylko śmiercią ziejącą ohydę?

Arnold zasnął; oddychał spokojnie i miał pogodny wyraz twarzy. Zapaliłam nową świecę i postawiłam ją za umbrellą; nie mogłam pozostać w ciemności. Usnąć nie mogłam w żaden sposób; chciałam przynajmniej napatrzeć się na to drogie oblicze. Otulona szlafrokiem, usiadłam przy łóżku; wsparłszy łokieć na poduszce patrzyłam na śpiącego i cicho płakałam...

— Kocham cię, kocham nieskończenie, mój jedyny — a ty opuszczasz mnie... Dlaczego los dla nas tak okrutny? Czyż będę mogła żyć bez ciebie? Obyś mi tylko prędko powrócił! O Boże, dobry Boże, litościwy Ojciec niebieski, dozwól mu wkrótce powrócić — jemu i wszystkim... Zeslij nam pokój! Dlaczego pokój nie może trwać wiecznie?... Tak byliśmy szczęśliwi... zbyt szczęśliwi... zupełne szczęście nie powinno istnieć na ziemi... Jak on śpi spokojnie... Mój drogi bohaterze! Jak ty tam spoczywać będziesz? Nie znajdziesz miękkiego, jedwabiem i koronkami osłoniętego łóża — tam czeka cię twarda, wilgotna ziemia...

I wydało mi się, że widzę na jego czole cięciem szabli rozwartą, krwią ociekającą ranę, lub kulą przeszytą pierś... Czułam ból jego. Takbym rada była objąć go i ucałować — lecz nie chciałam obudzić; potrzebował snu pokrzepiającego. Sześć godzin tylko... Tik-tak-tik-tak: nielitościwie szybko i nieubłalnie czas tak zdąża do celu. To monotonne cykanie zegara drażniło mnie niewysłownie.

Przymknęłam powieki, przytomność opuszczała mnie zwolna, zwiesiłam głowę na poduszki, zasnęłam także. Sen mój trwał krótką chwilę; zaledwie umysł pogrążył się w mgłę rozmarzenia, gdy nagle uczułam kurczowe ściskanie serca; doznawałam uczucia obawy, jak budząc się na okrzyk trwogi lub alarmu.

Gdym w ten sposób zbudziła się po raz dziesiąty czy dwunasty, dzień już był jasny a świeca paliła się jeszcze. Zastukano do drzwi.

— Już szósta, panie poruczniku — oznajmił ordynans.

Arnold zerwał się... Nadeszła więc chwila — trzeba było wyrzec najboleśniejsze słowo „żegnaj!”

Umówiliśmy się, że go nie odprowadzę na dworzec. Kwadrans mniej lub więcej — cóż to znaczyło? Bólu ostatecznego rozstania nie chciałam ujawniać wobec tłumu ludzi obcych; pragnęłam w samotności wymienić pocałunki pożegnania, aby potem paść na ziemię i jęczeć z rozpacz.

Arnold, ubierając się pośpiesznie, przemawiał do mnie pocieszająco:

— Odwagi, Marto! Za dwa miesiące najdłużej skończy się wszystko i powrócę do ciebie... Przecież

na tysiąc kul jedna trafia a ta nie koniecznie dla mnie jest przeznaczona? Iluż to powraca z wojny: twój ojciec, na przykład. Raz przecie stać się musiało. Wychojąc za żołnierza, wiedziałas, że w danym razie muszę stanąć w obronie kraju. Zresztą będę często pisywał, o ile można najczęściej, będziesz wiedziała jak raźnie i wesoło odbywa się kampania. Gdyby mię co złego spotkać miało, nie byłbym tak dobrej myśli... Pamiętaj o sobie i o Rudziu; on także zaawansuje, jeżeli ja awans zdobędę. Ucałuj go... nie chcę ponawiać wczorajszego pożegnania... Rad będzie kiedyś, gdy mu ojciec opowie, że uczestniczył w wielkich włoskich zwycięstwach 59 roku.

Słuchałam chciwie; jego słowa pełne otuchy uspakajały mnie. Szedł ochotczo i radośnie, boleść moja była więc nieusprawiedliwioną, dziecinną.

Znów zastukano do drzwi.

— Panie poruczniku, już czas.

— Zaraz idę — rzekł Arno i wyciągnawszy do mnie ręce mówił — Marto moja, droga żono, kochanie moje...

Padłam w jego objęcia; słowo „żegnaj” nie mogło przejść mi przez usta; czułam, że wypowiedziawszy je padnę zemdlona, a nie chciałam mu zatruwać spokoju i wesela w chwili odjazdu. Wybuch żalu zachowywałam na chwilę osamotnienia.

On jednak wyrzekł to rozdzierające słowo:

— Żegnaj, moja najdroższa, bywaj zdrowa! — i serdeczny pocałunek złączył nasze usta.

Nagle Arno zadrżał, pierś podniosła mu się konwulsyjnie, zakrył twarz obiema rękami i wybuchnął głośnym łkaniem.

To było nad moje siły, myślałam, że zmysły postradam.

— Arnoldzie, Arnoldzie! — wołałam, obejmując go — zostań, zostań!

— Panie poruczniku — zabrzmiał głos za drzwiami — spóźnimy się.

Jeszcze jeden pocałunek... ostatni — i wybiegł z pokoju.

*

*

*

Skubanie szarpi, czytanie dzienników, śledzenie poruszeń obu armii za pomocą szpilkowanych chorągiewek, wetkniętych w mapę placu bitwy, gorąca modlitwa w kościele o opiekę nad ukochanymi i o zwycięstwo dla nich, wreszcie rozmowy o wiadomościach wojennych — to były zajęcia wypełniające wszystkim nam odtąd całe dnie niemal; wszystkie inne sprawy zdawały się nie istnieć wcale.

Jedynym promieniem rozświetlającym moje życie były wiadomości od Arnolda; listy pisywał zwięzłe, nie posiadał bowiem szczególnego talentu korespondencyjnego, lecz przynosiły mi uszczęśliwiające dowody, że żył, że nie był raniony. Depesze nie mogły przychodzić regularnie, bo komunikacja była często przerwana, często też poczta polowa wpadała w ręce nieprzyjaciela.

Gdy kilka dni mijało bez wiadomości od Arnolda, a w dziennikach wydrukowano listę poległych, z jakąś obawą przebiegałam wzrokiem nazwiska! Gorączkowość nasza pod tym względem da się porównać z ciekawością, z jaką grający w loteryą przegląda listę numerów wygrywających; lecz życzenia dążą w kierunku odwrotnym, bo nie znalazłszy znajomego, drogiego nam nazwiska oddychamy swobodniej, z radością, z jaką oddycha gracz w loteryą przeczytawszy wiadomość o wygranej.

Gdym po raz pierwszy czytała nazwiska poległych, a właśnie od czterech dni nie miałam wiadomości od Arnolda, nie zobaczyłam na liście nazwiska „Arnolda Datzky”, złożyłam dziękczynnie dłonie i zawołałam: „Dzięki ci Boże!” Zaledwie jednak wypowiedziałam te słowa, gdy poczułam w nich rażący rozdźwięk; wzięłam znów listę do ręki i po raz drugi przebiegłam szereg nazwisk. Dziękowałam Bogu za to, że nie Arnold Datzky—lecz Adolf Schmidt i Karol Müller zostali zabitymi i że wielu innych poległo na placu boju. Toż samo dziękczynienie, również usprawiedliwione, byłoby się wzniosło do nieba z serc, które drżały obawą o Schmidta i Müllera, gdyby zamiast tamtych nazwisk znalazły nazwisko „Datzky”. Dlaczegożby moje dziękczynne modły miały być milsze niebu? Tak — owa przeraźliwa potworność mojej odezwy do Boga, to zarozumiałość i egoizm; sądziłam, że Arnold ocalał przez wzgląd na mnie, dziękowałam Bogu, że nie ja, lecz Schmidta matka, Müllera narzeczona płaczą nad tą listą z rozdartym sercem...

Tego dnia jeszcze odebrałam list od męża:

„Wczoraj mieliśmy walną bitwę — pisał — niestety, przegraliśmy ją. Pociesz się jednak, droga Maroto, następna bitwa przyniesie nam zwycięstwo. Był to mój pierwszy popis; stałem tam, gdzie kule najgęściej padały. Szczególnego doznawałem uczucia... opowiem ci o tém kiedyś; ci biedacy, którzy padają i którym pomóc nie można, pomimo ich żalosnych jęków — to jest wojna! Dowidzenia, moje serce. Gdy w Turynie podyktujemy warunki pokoju, przyjedziesz do mnie. Ciotka Marya zechce przez ten czas opiekować się naszym kapralem.”

Podobne listy były jasnymi promieniami mego życia, ale nocne widziadła zasnuwały je ponurym cieniem. Gdym, budząc się z głębokiego i błogiego zapomnienia sennego, uprzytomniła sobie straszną rzeczywistość z całą przerażającą możliwością, przejmował mnie ból nieznośny i przez długie godziny okazywałam się nie mogłam. Nie byłam w stanie pozbyć się myśli, że Arnold, w tej chwili może leży w jakim rowie, jęczy, kona, łaknąc kropli wody, wzywa mnie... Wtedy siłą wyobraźni starałam się przedstawić sobie chwilę jego powrotu i to mnie uspokajało nieco. Powrót wszakże był prawdopodobniejszym niż konieczność smutnej ostateczności; wyobrażałam sobie jak Arno wpadnie do pokoju a ja rzucę mu się w objęcia, jak go do kołyski Rudzia zaprowadzę i jak znowu będziemy szczęśliwi.

Ojciec był bardzo przygnębiony; złe wiadomości następowały jedne po drugich. Najpierw Motenbello, potem Magenta. Nie on jeden lecz cały Wiedeń

był tém zgnębiony; wszyscy zrazu byli tak pewni, że zwycięstwa uwieńczy każdy ruch naszego wojska, że miasto przystroi się chorągwiami a po kościołach zabrzmie dziękczynne „*Te deum*”; tymczasem chorągwie powiewały i hymny śpiewano w Turynie...

— Jak sądzisz, ojczulku — pytałam się — czy w razie jeszcze jednej przegranej, pokój mógłby być zawarty?

— Jakże ty możesz odzywać się z czemś podobnym? Będziemy się bili lat siedm, trzydzieści nawet, lecz musimy zwyciężyć i warunki pokoju podyktować. Czyż po to rozpoczynaliśmy wojnę, aby ją skończyć jaknajprędzej? W takim razie najlepiej było nie wypowiedzieć jęj wcale.

— To byłoby najlepsze! — szepnęłam.

— Jakto tracisz odwagę, i wyżej cenisz spokój osobisty niż powodzenie i chwałę własnego kraju?

— Gdybym Arnolda nie kochała tak bardzo, możebym myślała inaczej...

— Miłość małżeńska, uczucia rodzinne — to wszystko bardzo piękne... lecz w daną chwilę powinny stać na drugim planie.

Czy powinny?...

*

*

*

W liście poległych odnalazłam już nazwiska kilku znajomych oficerów, a pomiędzy innymi jedynego syna pewnej staruszki, którą wielce poważałam.

Chciałam tę biedaczkę odwiedzić; była to wizyta ciężka i przykra, pocieszać nie mogłam, chyba płakać z nią razem. Uważałam jednak, że obowiązek chrześcijański pójść nakazuje, i poszłam.

Znalazłszy się przed mieszkaniem pani von Ulsmann wahałam się długo, czy mam zadzwonić. Po raz ostatni byłam u niej na wieczorku tańczącym; miła, uprzejma staruszka była wtedy niezwykle ożywiona: „Marto, mówiła do mnie, w całym Wiedniu niema kobiet bardziej godnych zazdrości, jak my obie: ty masz najprzystojniejszego męża a ja najlepszego syna.” Dzisiaj wprawdzie, miałam jeszcze męża, kto wie jednak co jutro przyniesie. Bomby i granaty padały nieustannie; może w tej chwili byłam wdową... Stojąc u drzwi rozplakałam się; usposobienie to było odpowiednie do smutnej wizyty, pociągnęłam za dzwonek nikt nie otwierał; zadzwoniłam powtórnie — znów nic.

Wtém z innych drzwi wychyliła się głowa:

— Napróżno pani dzwoni, mieszkanie puste.

— Jakto? P. Ulsmann wyprowadziła się?

— Trzy dni temu odwiezli ją do zakładu obłąkanych.

Przez kilka minut stałam jak skamieniała; jakże musiała cierpieć ta nieszczęśliwa, jeśli ból obłądem się skończył!

A ojciec mój chce by wojna trzydzieści lat trwała — dla dobra kraju... Ileż matek nieszczęśliwych zginie przez ten czas z rozpacz.

Do głębi wzruszona zesłam ze schodów; postanowiłam odwiedzić jeszcze jedną znajomą, której mąż, jak i mój, znajdował się na wojnie.

Droga prowadziła przez ulicę Pańską, obok gmachu w którym „Towarzystwo pomocy dla walczących” założyło swe biuro. Nie istniało jeszcze wtedy sanitarne stowarzyszenie genewskie; jako zapowiedź tego rodzaju dobroczynnych, humanitarnych instytucyj, zawiązało się „Stowarzyszenie pomocy”, które miało za zadanie przyjmowanie, wysyłanie ambulansów i zaopatrywanie w bieliznę, szarpie, bandaże i t. p. Z różnych stron kraju napływały nader obfite ofiary; dla pomieszczenia ich musiano otworzyć składy, a zaledwie zapakowano i odesłano jedne zapasy, nagromadzały się nowe.

Wstąpiłam tam; czułam potrzebę złożenia komitetowi nieco pieniędzy. Znałam prezydującego, księcia C., zapytałam więc o niego.

— Nie ma go w téj chwili—odparł odzwierny—lecz wiceprezes, baron S., jest na górze.

To rzekłszy wskazał mi drogę do biura, gdzie przyjmowano ofiary pieniędzy.

Musiałam przejść kilka sal, gdzie na długich stołach leżały stosy bielizny, cygar, tytoniu—a zwłaszcza całe góry szarpi... Wzdrygnęłam się. Ileż ran musiało się krwawić, jeżeli tyle skubanki starczyło ledwie do ich opatrzenia? I znów powtórzyłam w duchu: „A ojciec chciał, aby wojna trwała lat trzydzieści! Ileż to jeszcze dzielnych żołnierzy umrze wskutek ran odniesionych?”

Baron S. przyjął mile dar mój i na zapytania o działalność Stowarzyszenia, udzielił mi uprzejmych objaśnień; z prawdziwą pociechą słuchałam ile dobrego dokonano. Wszedł właśnie pocztowy z nadesłanymi listami i oznajmił, że dwa wozy przesyłek z prowincyi są do odebrania, a po nim zjawił się stary, którego postawa wskazywała, że musiał kiedyś służyć wojskowo.

— Pozwól, panie baronie — rzekł wyjmując pugilares — dołączyć mój grosik wdowi do twego pięknego dzieła — i to powiedziawszy położył na stole banknot stuguldenowy. — Was, założycieli Stowarzyszenia, uważam za prawdziwych dobroczyńców... Jam stary żołnierz, więc umiem ocenić, jakim dobrodziejstwem jest ta instytucja dla biedaków, którzy walczą... Odbylem kampanię 1809 i 1813 roku — wtedy nie istniały żadne Stowarzyszenia, nie wysyłano dla rannych pak szarpi i bandaży... Iluż wtedy zginęło skutkiem upływu krwi, gdy felczerom zabrakło zapasów opatrunkowych. Zbawienną jest wasza działalność, zacni, szlachetni mężowie, nie wiecie nawet ile dobrze czynicie!

Kilka dużych łez spłynęło z oczu starca na jego siwe włosy.

Za drzwiami rozległy się głosy i kroki; drzwi otwarto naoziecz i gwardzista oznajmił:

— Jój cesarska wysokość, najjaśniejsza pani!

Wiceprezes wybiegł z pokoju, aby dostojnego gościa przyjąć, z należnemi honorami, lecz cesarzowa była już w sąsiedniej sali.

Z mego ukrycia przypatrywałam się młodej monarchini, która w skromnej, spacerowej sukni wydała mi się piękniejszą niż w okazałej dworskiej tualecie.

— Przychodzę — odezwała się do barona S. — bo dziś otrzymałam od cesarza list z placu boju pisany, w którym wspomina jak pożytecznymi i potrzebnymi okazały się dary „Stowarzyszenia pomocy dla walczących”; chciałam zatem sama komitetowi oświadczyć uznanie cesarskie.

Następnie rozpytywała o szczegóły działalności Stowarzyszenia i przeglądała nadesłane ofiary.

— Patrz hrabino — mówiła do towarzyszącej jej ochmistrzyni dworu, biorąc w rękę sztukę bielizny — jakie ładne płótno i jak dobrze uszyte.

Chciała zwiedzić inne pokoje i zwróciwszy się z tém żądaniem do wiceprezesa, opuściła salę; rozmawiała z nim z widoczném zadowoleniem i słyszałam jak mówiła:

— Piękną i szlachetną jest praca wasza...

Przyjaciółka, którą miałam odwiedzić, mieszkała w pobliżu, przy ulicy Kohlmarkt; po drodze wstąpiłam do księgarni by kupić nową mapę Włoch północnych, bo dawna zupełnie była podziurawiona szpilkami. Zastałam w sklepie kilku kupujących, wszyscy żądali map, planów, i t. p.

— Szanowna pani, życzy sobie zapewne mapy placu boju? — zapytał księgarz.

— Zgadłeś pan.

— Prawie nic innego nie kupują teraz.

Przyniósł czego żądałam i zawijając w papier, mówił do obok mnie stojącego pana:

— Złe czasy nastały, profesorze, dla piszących powieści i dzieła naukowe, nikt się o nic nie spyta. Podczas wojny nikogo nie interesują nauki i sztuki piękne, wojna dla autorów i wydawców to plaga.

— Plaga i dla narodu — zauważył profesor — bo następstwem takiej obojętności jest upadek umysłowy.

A mój ojciec chce — pomyślałam już po raz trzeci — aby dla dobra kraju wojna trwała lat trzydzieści...

— Więc interes pański źle idzie? — zapytałam, wtrącając się do rozmowy.

— Czy tylko mój? Zastój wszędzie i we wszystkim, łaskawa pani, — odpowiedział księgarz. — Z wyjątkiem dostawców dla wojska, niema ani jednego kupca, któremu by wojna nieobliczonych strat nie przyniosła. Wszystko wstrzymane; roboty w fabrykach, praca w polu, mnóstwo ludzi pozostaje bez zarobku, bez chleba. Papiery kredytowe spadają, przedsiębiorczość znikła, bankructwa mnożą się — słowem, nędza, straszna nędza!

Wyszedł z księgarni ze zwieszoną głową.

*

*

*

Przyjaciółkę moją zastałam w domu.

Hrabina Laura Griesbach jednakże ze mną przechodziła koleje; córka jenerała, podobnie jak ja, niedawno wyszła za mąż, za oficera, i równie jak ja została słomianą wdową. W jednym tylko przewyższyła mnie: oprócz męża, miała jeszcze w armii czynnej dwóch bra-

ci. Ale Laura nie była trwożliwego serca; pocieszała się przekonaniem, że jej ukochani zdrowi powrócą.

Powitała mnie radośnie.

— Jak to dobrze, Marto, żeś przyszła. Dlaczego jesteś blada i zgnębiona? Wszak niema złych wiadomości z placu boju?

— Nie, dzięki Bogu, lecz to wszystko takie smutne.

— Myślisz o naszych klęskach? Nie bierz tego zbyt do serca, jutrzejsze depesze mogą nam zwiastować zwycięstwo!

— Wojna sama przez się jest straszną... Czy nie lepiej było by gdyby wojen nieprowadzono?

— Cóżby się stało w takim razie z wojskiem?

Zastanowiłam się chwilę.

— Nie byłoby go wcale — rzekłam.

— Ależ to niemożliwe! Dreszcz mnie przejmuje gdy pomyślę, że na świecie istnieją sami cywilni... Na szczęście, to jest niemożliwe.

— Niemożliwe? Może masz rację. Chcę w to wierzyć, bo inaczej, nie pojmowałabym, dlaczego nie zrobiono tego dawno.

— Czego nie zrobiono?

— Nie skasowano wojen; wprowadzie z równym skutkiem mogłabym żądać, aby nie istniały trzęsienia ziemi...

— Nie rozumiem cię wcale. Co do mnie, jestem zadowolona z tej wojny, bo spodziewam się, że mój Ludwik się odznaczy. I dla braci dobra to sposobność; nie mogli się doczekać awansu a teraz mają wszelkie widoki.

— Czy dawno miałaś wiadomości? — przerwałam.

— Dawno już nie było listu. Wiesz jednak jak często komunikacja bywa przerywana; przypuszczam także, iż po całodziennym marszu lub zażartej bitwie żołnierze są tak zmęczeni, że im się pisać nie chce. Jestem o nich spokojna; Ludwik i bracia moi mają poświęcone szkaplerze — mama zawiesiła je każdemu z nich na szyi.

— Gdybym utraciła to przekonanie, że obecna wojna jest bezwarunkowo potrzebną i godziwą, to nie byłabym w stanie przebaczyć tym, którzy ją wywołali — odezwałam się nie słuchając Laury.

— Masz zapewne na myśli Ludwika Napoleona? Tak, to intrygant.

— On czy nie on, chciałabym niewzruszenie wierzyć, że ludzie niczem nie przyczynili się do wywołania tej wojny, że wybuchła sama, jak wybuchu zaraźliwa febra lub płomienista lawa Wezuwiusza.

— Jakaś ty egzaltowana, moja droga! Mówmy rozsądnie. Słuchaj: kampania nie długo się skończy i nasi mężowie wrócą jako, conajmniej, kapitanowie... Postaram się namówić mojego, żeby wziął urlop cztero lub sześciotygodniowy i pojechał ze mną do wód. Będzie to dla niego koniecznie potrzebnym i dla mnie również, po tym upale, nudach i trwodze. Bo nie myśl, żebym żadnej obawy nie czuła... Zrządzeniem woli Bożkiej może śmierć zabrać i kogoś z moich — a chociaż to śmierć chlubna i godna zazdrości... śmierć na polu sławy, byłoby rzeczą straszną... Biedna mama,

gdyby Gustawa albo Karola jakie nieszczęście spotkało... Lepiej nie mówmy o tém! Więc, aby odpocząć po wszystkich tych okropnościach, trzeba odbyć podróż do wód... Najlepiej do Karlsbadu; byłam tam raz za czasów panieńskich i bawiłam się wybornie.

— Ja byłam w Maryenbadzie, gdzie poznałam Arnolda... Lecz dlaczego tak siedzimy próżnując? Czy nie masz płótna na skubankę? Byłam dziś w Stowarzyszeniu pomocy i zgadnij; kogo tam widziałam?

Tu przerwał nam służący, który przyniósł list.

— Od Gustawa! — wykrzyknęła radośnie Laura, łamiąc pieczęć.

Zaledwie jednak przeczytała kilka wierszy, gdy krzyknęła, list wypuściła z dłoni i rzuciła mi się na szyję.

— Lauro, biedaczko moja, co się stało? — pytałam wzruszona — mąż twój?...

— O Boże, mój Boże! — łkała. — Przeczytaj...

Podniosłam list i zaczęłam czytać; mogę go przytoczyć dosłownie, bo uprosiłam potem Laury, żeby pozwoliła mi go przepisać dla zamieszczenia w dzienniku.

— Czytaj głośno — prosiła — nie mogłam skończyć.

Spełniłam jój żądanie:

„Kochana siostrzo! — opiewał list. — Wczoraj mieliśmy krwawą bitwę. Mnóstwo poległych będzie na liście; żebyś ty i biedna nasza matka nie dowiedziały się z niej o nieszczęściu, żebyś mogła matkę przygotować, zawiadamiam Cię niezwłocznie, że między tymi, którzy zaszczytną śmierć ponieśli, znajduje się i nasz

dzielny Karol” — przerwałam czytanie, aby ucałować biedaczkę.

— Do tego miejsca doszłam — szepnęła Laura z cicha.

Łzy stłumiły mój głos, gdy znów zaczęła:

„Mąż twój nie poniósł żadnego szwanku, ja również. Lecz wolalbym, żeby kula nieprzyjacielska mnie dosięgła: zazdroścę Karolowi bohaterskiej śmierci, padł na początku bitwy i nie wie, żeśmy ją przegrali. Widziałem jak padał, bo jechaliśmy obok siebie; zeskoczyłem z konia, żeby go podnieść; raz jeszcze spojrzał na mnie i skonał. Kula przeszła mu serce: śmierć nastąpiła szybko... Iluż leżało tam wśród wrzawy wojennej bez ratunku, w długich męczarniach, dopóki śmierć zbawcza nie uwolniła ich od cierpień! Był to dzień prawdziwie morderczy, tysiące zabitych pokrywało pobojowisko. Wśród poległych widziałem niejedno drogie, znane oblicze, między innemi i tego biednego Arnolda Datzky...”

W tej chwili padłam zemdlna na ziemię.

*

*

*

— Wszystko stracone, Marto! Solferino rozstrzygnęło: jesteśmy pokonani.

Temi słowy powitał mnie ojciec, gdy z rana siedziała w ogrodzie, w cieniu lip rozłożystych.

Powróciłam z małym Rudolfkiem do domu rodzicielskiego, a w tydzień po otrzymaniu strasznego

ciosu przeniosłam się z rodziną do Grumitz, naszej wiejskiej posiadłości w dolnej Austrii. Byłabym umarła z rozpacz w samotności; tu znajdowałam się wśród grona rodzinnego jak przed zamążpójściem: ojciec, ciotka, mały braciszek i dorastające siostry otaczali mnie, wszyscy starali się, o ile mogli łagodzić, moją boleść. Mój los smutny uświęcał mnie widocznie i wywyższał — stanowił pewien rodzaj zasługi. Do złagodzenia mej boleści najwięcej przyczyniło się też uczucie dumy, przeświadczenie o pewnej zasłudze, wynikającej z tą, żem męża na polu chwały utraciła.

Blizsze szczegóły śmierci Arnolda były mi wówczas jeszcze nieznane; tyle tylko wiedziałam, że znaleziono go nieżywym, poznano i pochowano. Ostatnia myśl jego zwróconą była zapewne do mnie, do naszego syna, a pociechą ostatniej chwili życia musiało być przekonanie, że spełnił swą powinność zaszczytnie.

— Jesteśmy pobici — posępnym głosem powtórzył mój ojciec, siadając przy mnie na ławce.

— Więc tyle ofiar poświęciliśmy daremnie! — westchnęłam.

— Zazdrościć im tylko możemy, bo nie widzą hańby naszej. Podźwigniemy się jednak, chociaż — jak słyszę — pokój ma być zawarty.

— Ach, dałby Bóg! — zawołałam. — Dla mnie nieszczęsnej zapóźno wprawdzie... lecz ocaleją tysiące.

— Ty zawsze myślisz o sobie i o jednostatkach, a tu chodzi o Austryę!

— Czyż naród nie składa się z jednostek?

— Państwo żyje dłużej i życie jego ma większą wartość niż życie jednostek; te giną, pokolenia przemijają, a państwo rozwija się, wzrasta w sławę, wielkość i potęgę, lub upada, kurczy się, znika, gdy pozwoli pokonać się. Więc też najpiękniejszym i najwznioślejszym zadaniem po wszystkie czasy jest całość, wielkość i chwała państwa.

Zapamiętałam te słowa i zapisałam je w czerwonym zeszytce. Wypowiadały tak silnie i zwięźle to, co ucząc się czułam w treści podręczników historycznych, a co w ostatnich czasach — po odjeździe Arnolda — zatarło w moim umyśle uczucie obawy i litości. Chwyciłam się znów tego całej siły, aby znaleźć pociechę, wmawiałam w siebie, że mój małżonek zginął za świętą sprawę, że nieszczęście moje jest także częścią wielkiej sprawy.

Podniosłe — choć i bolesne zarazem, wrażenie wywarło na mnie nabożeństwo żałobne w kościele Świętego Stefana, na którym byłam obecna w przeddzień mego odjazdu. Odprawiono tam wielką Mszę żałobną za poległych i pogrzebanych na obcej ziemi żołnierzy; w środkowej nawie wznosił się katafalk obstawiony mnóstwem świec jarzących i przyozdobiony godłami wojskowemi: sztandarami, bronią; z chóru brzmiało rzewne *Requiem*, a przytomni, w stroju żałobnym, płakali głośno. Każdy opłakiwał nie tylko swoją stratę, ale i tych wszystkich, którzy podobną śmiercią zginęli: wszak wszyscy ci biedni, dzielni towarzysze broni ponieśli swe życie za nas, to jest za kraj swój, za honor swego narodu. Te obłoki kadzideł, dźwięki dzwonów, tony organów, łyzy powszechnego bólu, były wdzięczną

niebu ofiarą; i Pan zastępów spuszczał swe błogosławieństwo na tych, którym ów katafalk wzniesiono...

We dwa tygodnie, po wiadomości o klęsce pod Solferino, nadeszła wiadomość o podpisaniu przedwstępnych warunków pokoju w Villafranco. Ojciec starał się dowieść mi, że ze względów politycznych pokój był koniecznym.

— Nie myśl, że się boimy... Choć na pozór wydaje się, że robimy pewne ustępstwa, nie pozwolimy się jednak poniżyć. Gdyby tu o nas szło tylko, to nie zaprzestalibyśmy wojny dla jednego Solferino. Dość posłać jeden jeszcze korpus a nieprzyjaciół musiałby opuścić Medyolan, lecz, trzeba ci wiedzieć Marto, że tu chodzi o co innego, o sprawy ogólne, o zasady. Wyrzekamy się dalszej wojny, aby zagrożone księstwa włoskie zasłonić, bo rozbójnik sardyński i jego sojusznik z pewnością by się na nie rzucili. Na Modenę, Toskanią, gdzie, jak wiesz, panują dynastye spokrewnione z naszym cesarskim domem, na Rzym, nawet na Papieża chcą się targnąć ci Wandalie. Tymczasem, zrzekając się Lombardyi, zachowujemy Wenecyą i możemy zasłonić południowe państwa włoskie i Stolicę Apostolską. Pojmujesz więc, że dla politycznych względów jedynie i w interesie równowagi europejskiej...

— Tak, ojcze — przerwałam — pojmuję to doskonale. Gdyby przed Magentą rządzić się chciało temi względami! — dodałam z goryczą a chcąc rozmowie nadać inny kierunek, wskazałam paczkę książek, tylko co nadesłanych z Wiednia.

— Patrz, ojcze, księgarz przysyła nam do przejrzenia ciekawe rzeczy.

— Ktoby w tak ważnej chwili mógł się zajmować jakimiś drukami? Związek państw włoskich, przewaga Austrii w związku niemieckim, to są rzeczy doniosłe. Zapamiętaj!

Zapamiętałam dobrze.

KSIĘGA DRUGA.

P o k ó j.

Cztery lata upłynęły; obie siostry moje, z których jedna kończyła lat siedmnaście a druga ośmnaście, miały być przedstawione u dworu; to było pobudką, która mię skłoniła ukazać się „w świecie”.

Czas miniony dokonał swego: złagodził moję boleść. Rozpacz przeszła w smutek, smutek w żal, żal w obojętność, ta na koniec w budzące się na nowo pragnienie życia. Pewnego dnia przyszedł do przekonania, że położenie moje było właściwie godne zazdrości: miałam lat dwadzieścia trzy, byłam piękna, bogata, wolna; a przytém posiadałam wysokie stanowisko, ślicznego synka i kochającą rodzinę — czyż nie dość warunków, aby czuć się zadowoloną z życia?

Krótką epoką mego pożycia małżeńskiego minęła jak sen. Kochałam męża całym sercem, on uczynił mnie bardzo szczęśliwą; strata jego zasmuciła mnie srodze, doprowadziła do rozpacz — lecz to wszystko minęło bezpowrotnie. Miłość nie zespoliła się jeszcze z moją duszą tak, abym nie była w stanie przeżyć

i przeboleć straty; życie nasze trwało zbyt krótko; uwielbialiśmy się jak para kochanków lecz nie byliśmy tak zbratani sercem i duchem, tak zjednoczeni wzajemnym szacunkiem i przyjaźnią, jak para małżonków po latach wspólnie przeżytych cierpień i radości. Ja też nie byłam dla męża najdroższym, nieodzownym skarbem; bo inaczej czyżby opuścił mię tak lekko — myślnie bez naglącej potrzeby; wszak pułk jego nie wyruszał wcale?

Cztery lata zmieniły mnie wielce: mój widnokrąg umysłowy rozszerzył się, nabyłam wiadomości i poglądów, o jakich nie miałam żadnego pojęcia wychodząc z domu, a i Arnold (teraz mogłam o tém sądzić) nie miał o nich najmniejszego wyobrażenia; gdyby mógł ożyć, byłby w niejednym kierunku zupełnie obcy moim poglądom.

*

*

*

„Hrabina Marta Datzky, bogata, młoda wdówka”, pod tą obiecującą nazwą figurowałam w spisie osób występujących w komedii „Wielki świat”. Muszę wyznać, że rola przypadła mi do gustu; nie mała to przyjemność odbierać wszędzie hołdy, być przedmiotem ogólnego uznania i pochwał; nie małe też to zadowolenie, po czteroletnim osamotnieniu o dostać się w wir rozrywek, poznawać ludzi głośnych, codzien — prawie brać udział w jakiejś świetnej zabawie — a przytém wiedzieć, że się jest głównym przedmiotem uwagi powszechniej.

Wszystkie trzy siostry przezwane zostałyśmy „boginiami z góry Idy” i trudno zliczyć jabłek, które młodzi Parysowie nam ofiarowywali; ja, naturalnie, otrzymałam palmę pierwszeństwa. W przekonaniu mojej rodziny, i w mojem własnem także, było rzeczą postanowioną, że należy abym wyszła za mąż powtórnie. Zdawało się, że wszyscy otaczający zapomnieli o istnieniu Arnolda — oprócz mnie jednej. Czas złagodził boleść, lecz nie zatarł w sercu pamięci o nim; można nie opłakiwać drogich zmarłych — żal nie zależy od naszej woli — lecz zapominać o nich nie godzi się. Milczenie rodziny o nieboszczyku było jakby drugą dlań śmiercią; sama przestałam myśleć o nim jak o umarłym. Codziennie opowiadałam Rudolfkowi o ojcu, a przy wieczornym pacierzu kazałam mu dodawać zawsze te słowa: „Boże daj, abym został dobrym i dzielnym człowiekiem, dla zadowolenia mego drogiego ojca”.

Bawiłyśmy się wybornie, ja niegorzej od sióstr; był to mój prawie pierwszy występ w wielkim w świecie. Po raz pierwszy ukazałam się jako narzeczona i młoda mężatka; to z porządku rzeczy oddalało wszystkich wielbicieli i konkurentów, a cóż może być większym powabem życia salonowego, jeśli nie wielbiciele? Szczególna rzecz jednak: jakkolwiek lubiałam być otoczoną ich rojem, żaden nie zrobił na mnie głębszego wrażenia; jakaś zaporą nieprzebyta dzielila nas, tę zaporę wzniosły moje samotne rozmyślenia i studia. Wszyscy ci świetni kawalerowie, których zajmował jedynie sport, gra, plotki dworskie a co najwyżej ambitne nadzieje (powiększają części byli to wojskowi)

nie mieli najmniejszego pojęcia o rzeczach, o ideach poważnych, które ukazały mi książki. Wiedza i jej sprawy były dla nich zupełnie obcemi a przynajmniej nie zdawały się obchodzić ich wcale.

Z grona tej młodzieży nie wybrałabym żadnego na męża; zresztą nie było mi pilno wyrzec się wolności, która tak mi się podobała. Umiałam moich konkurentów trzymać na wodzy, żaden nie ośmielił się oświadczyć i nikt nie mógł ubliżająco powiedzieć o mnie: „Ona pozwala sobie nadskakiwać.” Gdyby jednak serce moje zapłonęło miłością, wtedy, korzystając z prawa do szczęścia, przysługującego mojej młodości, wyszłabym powtórnie za mąż.

Tymczasem bawiłam się ochotczo; taniec, teatr, stroje, wszystko mię zajmowało. Nie zaniedbywałam przytém Rudolfka ani własnego wykształcenia; wprawdzie nie zagłębiałam się w studia filozoficzne, lecz śledziłam bacznie ruch umysłowy, kupowałam najznakomitsze dzieła literatury europejskiej i czytałam je pilnie, nie pomijając nawet rozpraw naukowych. To sprawiało, że wzmiankowana zaporą, oddzielająca moje życie umysłowe od otaczającej mnie młodzieży, wzrastała coraz bardziej; dobrze mi jednak z tem było. Chętnie byłabym wprowadziła do mego salonu kilka osobistości świata literackiego i naukowego, lecz było to rzeczą niemożliwą w kółku w jakim się obracałam. W Austrii żywioły mieszczańskie nie łączyły się podobnie z „towarzystwem”; później dopiero weszło w modę wprowadzanie do arystokratycznych salonów przedstawicieli nauki i sztuki; ale wtedy, kto nie miał przystępu do dworu, kto nie mógł się wylegitymować

z szesnatu co najmniej pokoleń, był z „towarzystwa” wykluczony. Zwykle moje otoczenie byłoby niemile zdziwione, spotkawszy u mnie ludzi nie należących do naszej sfery, nie wiedzianoby jak się względem nich zachować. Z drugiej strony ludzi uczonych, utalentowanych literatów i artystów nie mogły zajmować kwestye tego rodzaju, jak: u kogo tańczono wczoraj i u kogo będziemy tańczyć jutro—u Schwarzenbergów, Palavicinich, czy na dworze, o miłości jaką wzbudziła baronowa Pacher, komu odmówiła hrabianka Palfy, ile posiadłości ma książę Croy, z jakiej rodziny pochodzi młoda Almasy: z Festeticzów, czy Wenkheimów, a czy ta Wenkheim, której matka była z domu Khevenhüller, i t. d., i t. d. W tym sensie mniej więcej toczyły się nasze rozmowy. Nawet ludzie wykształceni i dowcipni, bo i takich posiadaliśmy w naszych kołach, uważali sobie za obowiązek w tym samym bezmyślnym tonie prowadzić rozmowę.

Jakże chętnie po obiedzie wcisnęłabym się do grona podróżników, profesorów, pisarzy i innych znakomych mężów, rozprawiających o ważnych zagadnieniach, gdyby to było możliwe; niestety, musiałam z paniami rozmawiać o tualetach i przyszłym balu.

*

*

*

— Kochana Marto, pozwól sobie przedstawić podpułkownika, barona Tilling—wygłosił mój kuzyn, Konrad Althaus.

Skłoniłam głowę. Kuzynek oddalił się a przedstawiony milczał; sądząc, że zaprasza do tańca, wstałam i podniosłam lewą rękę, chciałam ją oprzeć na ramieniu barona.

— Wybacz, hrabino — odezwał się on z przelotnym uśmiechem, który odkrył dwa rzędy lśniaco-białych zębów — nie umiem tańczyć.

— Tém lepiej — odparłam siadając — schroniłam się tutaj, żeby odpocząć cokolwiek.

— Hrabino, prosiłem o zaszczyt przedstawienia się tobie, gdyż mam ci coś zakomunikować.

Podniosłam na niego wzrok zdziwiony. Twarz barona była poważna; imponująco wyglądał w ogóle: niezbyt młody, musiał już mieć około czterdziestu lat, kilka siwych włosów srebrzyło mu się na skroni, słowem postać cała odznaczała się szlachetnością i była sympatyczna. Przywykłam każdego nowopoznanego badać spojrzeniem: „Czy baron przedstawia się w roli konkurenta? Czy przyjęłabym go?”—zapytałam sama siebie i na oba pytania odpowiedziałam bez namysłu „nie”. Twarz jego nie miała tego wyrazu, jaki zwykle czytamy na obliczu mężczyzn, którzy z pewnym „zamiarem” zbliżają się do nas.

Baron Tilling nie skorzystał z zaproszenia aby zajął obok mnie miejsce.

— Nie chcę się zbyt długo naprzykrzać, hrabino, to co mam jój oznajmić jest wręcz przeciwne atmosferze balowej. Czy nie mógłbym złożyć pani wizyty w domu; wskaż łaskawie godzinę najwygodniejszą dla ciebie.

— Przyjmuję w soboty od drugiej do czwartej.

— Wtedy salon pani musi być podobny do ula.

— Ja zaś, królowa, siedzę w komórcze... Piękny komplement baronie!

— Nigdy się nie silę na grzeczności — zaprzeczył baron poważnie. — Wybacz pani gdy powiem, że muszę się widzieć z nią tylko.

— Podniecasz moję ciekawość, baronie... Zatem czekam cię jutro, będę w domu dla pana, dla nikogo więcej.

Podziękował ukłonem i oddalił się.

Gdy wkrótce potem zjawił się kuzyn Althaus, przywołałam go i zażądałam wiadomości o baronie Tillingu.

— Więc podobał ci się? Czyżby tak silne wywarł wrażenie? Dowiedz się jednak, że chociaż nie jest żonaty, nie jest też wolny; przebąkują coś o jego miłości dla pewnej dostojnej piękności. Pułk jego niedawno tu przeniesiony, więc nie widywano go w towarzystwach; zdaje się nawet, że jest nieprzyjacielem zabaw i wszelkich rozrywek; poznałem go w klubie szlacheckim, gdzie codziennie przepędza kilka godzin, w bibliotece, nad dziennikami lub przy partyi szachów. Ze zdziwieniem zobaczyłem go tutaj; jego obecność tłumaczę tem tylko, że jest krewnym gospodyni domu. Pożegnawszy się z tobą zaraz wyszedł.

— Przedstawiłeś go innym paniom?

— Nie, tobie jedynéj. Lecz nie wyobrażaj sobie zaraz, żeś go zdaleka oczarowała, i że dlatego pragnął cię poznać. „Nie mógłbyś mnie pan objasnić — zapytał — czy hrabina Datzky, z domu Althaus, prawdopodobnie pańska kuzynka, jest tu obecna?

Muszę się z nią widzieć.” — „Jest”, odpowiedziałem i wskazując na ciebie dodałem — „siedzi tam, w rogu, na kanapie.” „To ta?” — mruknął. — Bądź pan łaskaw przedstawić mnie.” Chętnie zgodziłem się na to, nie przeczuwając że, pozbawię cię spokoju.

— Nie mów niedorzeczności, Konradzie, nie tak łatwo pozbawić mię spokoju. Tilling? Jaka to rodzina? Pierwszy raz słyszę takie nazwisko.

— Szczęśliwiec! — wykrzyknął Konrad. — Ja przez trzy miesiące napróżno wyczerpywałem wszystkie możliwe sposoby, aby pozyskać względy twoje, a ten zimny podpułkownik — gdyż pozwól to sobie powiedzieć, że ma pozór odłam marmuru — przyszedł, spojrzał i zwyciężył. Pytałaś, o rodowód Tillingów? Zdaje się, że pochodzą z Prus, ale ojciec jego służył w Austrii. Jego matka także z Prus pochodzi. Zauważyłaś pewnie akcent jego wymowy?

— Mówi po niemiecku doskonale.

— Naturalnie, wszystko wydaje ci się w nim doskonałem — rzekł Konrad, poczem wstał i dodał: — Pozwól, że cię pozostawię samotnym marzeniom i pójdę rozmawiać z paniami, które...

— Ciebie znajdują przeslicznym! — rozśmiałam się mimowoli.

Opuściłam bal wcześniej; siostry pozostać mogły pod opieką ciotki, mnie nie zatrzymywało. Straciłam ochotę do tańca, czułam się zmęczoną i pragnęłam samotności. Dlaczego? Przecież nie dlatego, by marzyć o Tillingu? Takby się jednak zdawało, bo do północy pisałam w pamiętniku, streszczając rozmowę z nim i dodając uwagi w tym sensie: „Tilling jest

interesujący. Kobieta, która go kocha, w tej chwili myśli zapewne o nim. A może on kłęczy u jej nóg, ona nie czuje się samotną, tak strasznie samotną... Ach, ukochać kogo tak serdecznie! Nie Tillinga przecież, jego nie znam wcale... Nie zazdroszczę go księżniczce, lecz zazdroszczę jej uczucia miłości”.

Gdym się rano obudziła, najpierw przyszedł mi na myśl Tilling. Zapowiedział na dzisiaj swą wizytę, bo ma mi zakomunikować coś ważnego. Dawno już nie mnie tak nie zaciekawilo.

Wydałam polecenie, aby o naznaczonej godzinie nie przyjmowano nikogo prócz oczekiwanego. Siostry tylko co wyszły: niezmordowana opiekunka, ciotka Marya, poprowadziła je na ślizgawkę.

Udałam się do małego saloniku; miałam na sobie suknię z fioletowego aksamitu (blondynkom w fioletowym kolorze do twarzy), wzięłam książkę do ręki i czekałam. Nie długo trwało oczekiwanie: w kilka minut po drugiej stawił się baron Tilling.

— Jak widzisz, hrabino, ściśle stosuję się do uzyskanego pozwolenia—rzekł całując mię w rękę.

— Z czego jestem niezmiernie rada — odparłam z uśmiechem, wskazując mu krzesło;—rozbudziłeś pan moję ciekawość w wysokim stopniu.

— W takim razie, bez omówień, przystąpię do rzeczy. Wczoraj nie chciałem poruszać téj sprawy, by nie zachmurzyć wesołości pani...

— Przerażasz mię pan.

Tilling milczał przez chwilę.

— Byłem pod Magentą — rzekł wreszcie.

— I patrzyłeś pan na śmierć Arnolda! — zawołałam.

— Tak, hrabino, mogę opowiedzieć szczegóły o jego śmierci.

— Mów pan — szepnęłam drżąc całą.

— Nie lękaj się, hrabino. Gdyby ostatnie jego chwile były tak okropne jak innych towarzyszy, nie mówiłbym o nich pani: niema nic smutniejszego jak widzieć, że ktoś nam bardzo drogi poniósł śmierć pełną męczarni. Tu tak nie było.

— Zdejmujesz mi pan wielki ciężar z serca. Opowiadaj, proszę, dalej.

— Nie będę powtarzał czezych frazesów, jakimi pocieszają zazwyczaj rodzinę poległego. Mniemam, że przyniosę pani prawdziwą pociechę, upewniając, że mąż jej umarł bez cierpień, nie myśląc o śmierci; był zawsze pewny, że go nic złego nie spotka. Często opowiadał mi o swém szczęściu rodzinném, pokazywał portret młodej, pięknej małżonki i dziecka swego, zapraszał, bym po skończonej kampanii odwiedził go w domu. W czasie strasznej rzezi pod Magentą, znalazłem się wypadkiem obok niego. Oszczędzę pani opisu scen poprzedzających—te nie dadzą się opowiedzieć. Ludzie wojowniczego ducha, wśród dymu bojowego i gradu kul, opanowani bywają jakimś zawrotem głowy, który nie pozwala im widzieć, co się dokoła dzieje; Datzky należał do rzędu tych ludzi. Oczy jego ciskały błyskawice, dłoń mierzyła celnie, odurzał się zapalem wojennym; ja, trzeźwy, widziałem to dobrze. Wtém pada bomba. Potwór ten pęka i kładzie trupem dziesięciu ludzi: między nimi był

Datzky. Nie krzyknął nawet, w jednej chwili już nie żył. Pospieszaliśmy do rannych, by, jeśli można, udzielić pomocy; okazała się niemożliwą. Wszyscy byli straszliwie pokaleczeni, pasowali się ze śmiercią, wydani na pastwę strasznyemu cierpieniom...

Baron umilkł na chwilę.

— Mąż pani miał śmierć lekką — począł znów. — Gdy po skończonej bitwie zbieraliśmy poległych i rannych, znalazłem go na tém samym miejscu, w tém samym położeniu, z tym samym pogodnym wyrazem na twarzy; oto co chciałem ci powiedzieć, hrabino. Właściwie mogłem to być uczynić dawno, a ponieważ nigdzie pani nie spotkałem, mogłem napisać — lecz myśl tę powziąłem dopiero wczoraj, gdy mi kuzynka oznajmiła, że między innymi oczekuje także pięknej wdowy po Arnoldzie Datzky'm. Przebac, że wywołałem te bolesne wspomnienia; sądzę wszakże, iż spełniłem obowiązek i uwolniłem panią od przykrych wątpliwości.

Wstała a ja wyciągnęłam do niego rękę.

— Dziękuję ci, baronie — rzekłam ocierając łzy. — Ofiarowałeś mi dar cenny: pewność, że śmierć mego drogiego męża była wolna od bólu i męczarni... Zostań pan jeszcze, proszę, chciałabym pomówić z panem... W opowiadaniu pańskim brzmiała nuta, która potrafiła pewną strunę mych myśli. Powiedz baronie bez ogródki: nienawidzisz wojny?

Twarz jego sposepniała.

— Wybacz, hrabino, w tym przedmiocie odpowiedzieć nie mogę. Przykro mi też bardzo, że dłużej zatrzymać się nie jestem w stanie, czekają na mnie.

Twarz moja przybrała wyraz chłodnej obojętności; uczułam się dotkniętą.

— Nie zatrzymuję, panie podpułkowniku — rzekłam chłodno.

On skłonił się i wyszedł nie rzekłszy już słowa.

*

*

*

Karnawał dobiegł końca, Róża i Lili ubawiły się niezmiernie; każda liczyła co najmniej pół tuzina konkurentów, lecz żaden nie stanowił pożądaney partyi, żadna nie natrafiła jeszcze na „swego”. Tém lepiej: użyją jeszcze przez lat parę swobody pańskich, zanim wpręgna się w jarzmo małżeńskie.

Co się zaś tycze mnie, tak brzmią w pamiętniku moje wrażenia karnawałowe:

„Rada jestem, że się już skończyły zabawy; zaczynały mnie nudzić swą jednostajnością. Zawsze te same osoby, te same rozmowy, zawsze jedni i ci sami danserzy — bo czy to będzie poręcznik od huźarów, czy poręcznik od dragonów, czy rotmistrz od ułanów, wszyscy oni stanowią jeden bardzo powszedni szablon; człowieka interesującego nie znalazłam w salonach. Jeden jedyny, który bezwarunkowo.. o tym nie mówmy lepiej, ten oddany swój księżniczce. Bardzo piękna, przynaję, lecz nie sympatyczna.”

Chociaż karnawał minął ze swemi balami, nie ustały pomimo to rozrywki towarzyskie. Wieczory, obiady, koncerty sypały się jedne po drugich. Wido-wiska teatralne rokowały wiele przyjemności ale do-

piero po świętach. Przez wielki post trzeba zachować umiarkowanie w rozrywkach.

Zebrań unikałam nietylko z pobudek religijnych ale dlatego, że straciłam nagle upodobanie do nich. Lubiałam posiedzieć w domu, bawić się z synkiem, a gdy malec spać poszedł, siąść przy kominku z jaką dobrą książką. Czasem przychodził ojciec i gawędził godzinę lub dwie; naturalnie, żeśmy rozmawiali o odbytą kampanii. Powtórzyłam ojcowi powieść Tillinga o śmierci Arnolda, lecz wysłuchał jej bez zajęcia; dla niego obojętnym było, czy ktoś kona boleśnie czy bez cierpienia.

— Zginać na pobojuwisku — mówił — jest rzeczą tak zaszczytną, że nie należy zwracać uwagi na szczegóły wycierpianego przy tém bólu fizycznego.

W ustach ojca brzmiało to „zginać” odcieniem zazdrości, zdawało się, że śmierć na polu bitwy jest jego marzeniem.

Inaczej śmierć taką pojmował Tilling: opiszawszy dziesięciu nieszczęśliwych rozszarpanych przez odłamki bomby, głos jego brzmiał spółczuciem i wzruszeniem.

Nie powtórzyłam ojcowi słów Tillinga, bo czułam instynktownie, że wydadzą mu się niedość rycerskiemi, przez to zmniejszy się jego szacunek dla barona, a to by mi przykrość sprawiło. Zresztą ta nierycerska może lecz bezwątpienia ludzka odraza, z jaką patrzył na straszliwą śmierć swych spółtowarzyszy i z jaką opowiadał mi o niej, przeniknęła moje serce.

Chciałam pomówić z Tillingiem w tej kwestyi, lecz zdawał się unikać spotkania się ze mną. Dwa ty-

godnie upłynęły od jego wizyty lecz nie mogłam go dostrzedz gdziekolwiek w towarzystwie. Widziałam go tylko dwa czy trzy razy na Ringu i raz w teatrze Burgu: skłonił mi się z szacunkiem, odkloniłam się uprzejmie — i nie więcej. Nie więcej?... Dlaczegoż wtedy biło mi tak serce, dlaczego nie mogłam potem długo zapomnieć jego ukłonu?

— Kochana córko, mam prośbę do ciebie — z temi słowy wszedł raz do mnie ojciec — przynoszę ci coś, — dodał, kładąc jakąś paczkę na stole.

— Prośba a do tego podarunek? — rozśmiałam się. — To przekupstwo!

— Wysłuchaj mojej prośby, zanim rozwiniesz podarunek. Otóż, wydaję dziś nudny obiad.

— Wiem: trzej starzy generałowie z żonami...

— I dwaj ministrowie także z żonami; słowem, sztywna, usypiająca uroczystość.

— Nie będziesz przecie wymagał ojcze, żebym ja towarzyszyła...

— Będę wymagał; bo ponieważ panie zaszczycają mnie swemi odwiedzinami, powinna też kobieta robić honory domu.

— Ten obowiązek przyjęła ciotka Marya...

— Znów ją dziś napastuje ból głowy; nie mi więc nie pozostaje...

— Tylko poświęcić swą córkę, podobnie jak ojcowie starożytni, np. Agamemnon Ifigenię? Cóż robić, poddaje się.

— Zresztą, znajdzie się między moimi gośćmi kilku młodszych: Doktor Bresser, który w ostatniej

chorobie tak znakomicie mnie pielęgnował, podpułkownik Tilling.

Zaczerwieniłam się nagle, ojciec to spostrzegł.

— Co ci jest? — spytał.

— Nic... nic... pragnę jaknajprędzej zobaczyć coś mi przyniósł — to rzekłszy zaczęłam rozwijać paczkę gorączkowo.

— Nie spodziewaj się naszyjnika z pereł: to są bagatelki dla Rudolfa.

— Żołnierze blaszani! Ależ ojcie, czteroletnie dziecko nie może...

— Ja mając trzy lata bawiłem się już żołnierzami, nigdy nie jest na to zawcześnie... Bębny, szable, musztry, komenda: to rozbudza zamilowanie do zawodu wojskowego!

— Mój Rudolf nie będzie żołnierzem — przerwałam.

— Marto! Przecież wiem, że życzeniem jego ojca...

— Arnold nie żyje, dziś Rudolf do mnie wyłącznie należy, a ja nie chcę...

— Żeby najpiękniejsze, najzaszczytniejsze obrał powołanie?

— Nie chcę by życie mego jedyne go dziecka było wystawione na ryzykowne losy wojny.

— Ja także byłem jedynakiem a przecież zostałem żołnierzem. Arnold, o ile mi wiadomo, nie miał również rodzeństwa, a twój brat Otto jest tak samo jedynym synem lecz pomimo to oddał go do akademii wojennej. Tradycja naszych rodów wymaga,

żeby latorośl Datzkych i Althausów poświęconą została na usługi kraju.

— Krajowi nie tyle jest potrzebny jak mnie.

— Och, gdyby wszystkie matki podzielały twe zapatrywania!

— Nie byłoby wtedy ani przeglądów, ani parady — nie byłoby wałów z ludzi do wystrzelania, ani „bydła na rzeź”, jak mówicie.

Ojciec zmarszczył się, ramionami wzruszył.

— To mi pojęcia! — rzekł pogardliwie. — Na szczęście chłopiec nie będzie pytał o twoje pozwolenie; krew żołnierska płynie w jego żyłach, więc, choć on twój syn jedyny, nie pozostanie w domu. Powinnaś wyjść za mąż, Marto, w twoim wieku nie należy pędzić samotnego życia. Powiedz mi: czy żaden z konkurentów nie znalazł łaski w twych oczach? Na przykład, rotmistrz Oleński, jest śmiertelnie w tobie zakochany, sam mi to wyznał; dzielny człowiek!

— Nie stworzony na męża.

— A major Millersdorf?

— Nie mówmy o tym, mój ojcie. O której godzinie ma być ten obiad, kiedy mam się stawić? — zapytałam aby przerwać rozmowę.

— O piątą. Przyjdź wcześniej o jakie pół godziny. Bywaj zdrowa, ucałuj Rodolfa — przyszłego naczelnego wodza wojsk cesarsko-królewskich.

*

*

*

„Uroczystość sztywna i usypiająca”, tak określił ojciec obiad przez siebie wydany; jabym tak samo za-

patrywała się na tę ceremonię, gdyby nie gość jeden, którego obecność szczególnie mnie wzruszała...

Baron Tilling zjawił się przed samym obiadem; zaledwie kilka słów zamienił z nim zdołałam, gdy powitał mnie w salonie, a przy stole, gdzie siedziałam między dwoma siwymi jenerałami, baron się znajdował tak daleko, że nie mogłam go wciągnąć do naszej rozmowy. Pocieszałam się tém, że powróciwszy do salonu zwabię do siebie Tillinga i poproszę, iżby jeszcze raz opowiedział o śmierci Arnolda. Pragnęłam znów usłyszeć tę intonacją głosu, która tak sympatycznie na mnie wywarła wrażenie.

Wykonanie zamiaru okazało się zrazu niemożliwém; obaj siwi starszycy towarzyszyli mi wiernie nawet w salonie, gdy czarną kawę rozlewała. Do tego w półkole otoczyli mnie ojciec, minister, doktor Bresser i Tilling także, lecz rozmowa stała się ogólną. Reszta gości, między nimi wszystkie panie, zasiedli w przeciwnym końcu salonu, gdzie nie palono, nasze kółko, upoważnione przezemnie, otaczało się kłębam dymu.

— Nie będziemy mieli wkrótce wojny? — odezwał się któryś z jenerałów.

— Mówią, że zanoszą się na wojnę z Francją — zauważył drugi.

— Czy zawsze ma nam wojna zagrażać? — wtrąciłam, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi.

— Prędnij z Włochami — zapewniał ojciec. — Musimy odebrać Lombardję... Chciałbym jeszcze dożyć takiego wkroczenia do Medyolanu jak w 49 roku,

pod dowództwem Radeckiego. Było to w przesłiczny słoneczny poranek.

— Znamy wszyscy historią wkroczenia do Medyolanu — przerwałam.

— A historią dzielnego Hupfauf?

— Znam także i znajduję wstrętą w najwyższym stopniu.

— Czy ty się znasz na tém!

— Opowiedz ją, Althaus, myśmy jej nie słyszeli — odezwał się minister.

Ojciec nie dał się prosić i zaczął mówić:

— Hupfauf służył w pułku strzelców tyrolskich; był on mistrzem w strzelaniu do celu, nie zdarzyło mu się chybić. Gdy się medyolańczycy zbuntowali, prosi o pozwolenie dostania się na dach katedry wraz z czterema towarzyszami, aby ztamtąd strzelać do rokoszan. Pozwolono mu, a on dokonał niesłychanej rzeczy! Towarzysze jego broń mu tylko nabijali, a ten hultaj palił bezustanku, i wyobraźcie sobie w ten sposób sprzątnął dziewiędziesięciu włochów!

— Ohydny człowiek! — zawołałam. — Każdy z zabitych przez niego miał może matkę, żonę, dzieci i cenił zapewne życie.

— Każdy z nich był nieprzyjacielem, moje dziecko, to zmienia postać rzeczy.

— Bardzo słusznie — odezwał się doktor — dopóki pojęcia nieprzyjacieli będą prawomocne, dopóty przykazania ludzkości nie uzyskają powszechnego uznania.

— A pan co na to, baronie? — spytałam.

— Jaby temu zuchowi dał order, dla przyozdobienia dzielnej piersi, i kulę, któraby jego serce kamienne przeszyla; jedno i drugie byłoby zasłużone.

Rzuciłam na mówiącego ciepłe, dziękczynne spojrzenie; wszyscy jednak, z wyjątkiem doktora, zdawali się niemile tém dotknięci.

Przed ósmą goście zaczęli wychodzić. Ojciec ich zatrzymywał i ja przebąknęłam kilka obowiązkowo uprzejmych wyrazów, lecz na próżno. Każdy miał jakąś wymówkę: tego oczekiwano w klubie, tamten miał jakieś zebranie; jedna z pań miała zamówioną rolę w operze i chciała widzieć czwarty akt, „Hugonotów”, a druga spodziewała się gości w domu.

Tilling i doktor, którzy równocześnie ze wszystkimi powstałi, żegnali się ostatni.

— I panów wypędza coś ważnego?—zapytał ich ojciec.

— Właściwie nie—odpowiedział Tilling z uśmiechem—ale ponieważ wszyscy wychodzą, byłoby nie stosownością zostawać.

— To samo i ja powiedzieć mogę—wtrącił doktor.

— Nie puszczam was, kiedy tak—zawołał ojciec i w kilka minut potem zasiadł z doktorem do partyki pikiety, a baron Tilling zajął miejsce obok mnie, przy kominku.

— Ten obiad miał być „usypiająco nudnym”? Doprawdy rzadko kiedy przyjemniej czas spędziłam—pomyślałam, głośno zaś odezwałam się:

— Właściwie, powinienem panu zrobić wymówkę, baronie: dlaczego po pierwszej wizycie zapomniałeś pan o moim domu?

— Nie zachęciłaś mnie pani, bym powrócił.

— Wszak powiedziałam, że w soboty...

— Tak, wiem, od drugiej do czwartej... Tego nie możesz wymagać odemnie, hrabino. Otwarcie mówiąc: nie znam nic więcej męczącego jak etykietalne wizyty i to w t. z. „dnie przyjęć”. Wchodzi się do salonu napełnionego obcymi, składa się ukłon gospodyni domu, zajmuje się miejsce w końcu półkola, słucha się uwag o pogodzie, a jeżeli przypadkiem trafi się na znajomego sąsiada dorzuca się i własne spostrzeżenia; z gospodynią domu zaledwie słów kilka zamienić mogę, bo co chwila wchodzi gość nowy, którego ona powitać musi; po dziesięciu minutach wstaję wraz z innymi; żegnam gospodynię i wychodzę... Daruj, hrabino, to przekracza moje słabe zdolności towarzyskie.

— Pan w ogóle zdajesz się unikać towarzystwa, nie pokazujesz się nigdzie. Czy jesteś odludkiem?... O nie, cofam to pytanie. Z tego coś pan mówił przed chwilą, wnoszę, że kochasz wszystkich ludzi.

— Kocham ludzkość, to prawda, lecz kochać wszystkich ludzi to niemożliwe. Zbyt wielu między nimi niegodziwych, ograniczonych, egoistów, okrutnych—tych kochać nie mogę, chociaż żałuję ich, że wychowanie i okoliczności nie dozwoliły im stać się godnymi miłości.

— Okoliczności i wychowanie? Wszak charakter zawisł głównie od wrodzonych skłonności, pan sądzisz inaczej?

— Co pani nazywasz wrodzonymi skłonnościami jest niczem inném, jak zbiegiem okoliczności.

— Więc zdaniem pańskim, człowiek niegodziwy nie jest odpowiedzialny za złe czyny i dlatego nie należy go nienawidzić?

— Przyczyna nie usprawiedliwia wniosku: nie winien jest bezwątpienia — ale pomimo to godzien nienawiści. Pani również niewinna jesteś temu, żeś piękna, a przecież jesteś godną najwyższych holdów...

— Baronie! Zaczęliśmy poważną rozmowę, jak na rozsądnych ludzi przystało, czyż zasługuję byś mię pan uważał za lalkę żądną komplementów?

— Przebacz pani — nie w tej myśli to powiedziałem.

Tilling z wyrazem podziwu i tklivości spojrział na mnie; nie spuściłam oczów, chociaż powinnam była to uczynić. Czułam, że się rumienię i wiedziałam, że jeżeli znajdował mnie przystojną, to w tej chwili wydać mu się musiałam stokroć piękniejszą.. Zakryłam twarz wachlarzem i odezwałam się tonem obojętnym:

— Dałeś pan doskonałą odpowiedź ministrowi...

Tilling wstrząsnął głową, jakby budząc się ze snu.

— Ja?... Odpowiedź?... Nie przypominam sobie. Przeciwnie: zdaje mi się, że go rozgniewał uwagę o tym Springauf-Hopsauf — czy jak tam ten dzielny strzelec się zowie.

— Hupfauf.

— Do twego przekonania, pani, trafiły jedynie moje słowa; innych musiałem obrazić mojem oświadczeniem, jak na cesarsko-królewskiego podpułkownika nadzwyczaj niewłaściwém... Posądzić o „kamienne serce” tego, co tak dzielnie zmiatał wrogów, to bluźnierstwo! Wiadomo, że żołnierz im obojętniej zabija tém więcej zyskuje uznania.

— Dlaczego wstąpiłeś pan do wojska?

— Tém pytaniem dowodzisz pani, żeś mnie zrozumiała. Nie ja, nie trzydziestodwuletni Fryderyk Tilling, który odbył trzy kampanie, obierał ten zawód, lecz dziesięcio czy dwunastoletni Fredzio, który wzrastał bawiąc się drewnianymi konikami ulańskimi i blaszanymi żołnierzami, którego ojciec udekoroowany jenerał, i wuj porucznik, zachęcali pytaniami: „Chłopcze czém będziesz? Wszak prawda, że dzielnym żołnierzem, z prawdziwą szablą?”

— Dla mego Rudolfa dostałam dziś także pudełko blaszanych żołnierzy, lecz nie dam mu ich. Dłaczegóż jednak, gdy Fredzio wyrósł na Fryderyka, nie zmieniłeś pan nienawistnego zawodu.

— Nienawistnego? To przesada. Nienawidzę tego *stanu rzeczy*, który na ludzi wkłada barbarzyński obowiązek prowadzenia wojny, ponieważ jednak istnieje, ponieważ jest nieunikniony, nie mogę mieć żalu do ludzi, którzy poddają mu się ulegle i poświęcają dla niego siły, zdrowie a nawet życie. Gdybym porzucił służbę wojskową, czyżby przez to ów stan rzeczy się zmienił? Bezwątpienia nie.

— A w innym zawodzie nie przyniosłbyś pan więcej pożytku krajowi?

— Wątpię. Nic nie znam gruntownie, oprócz wojskowości. Zresztą i w tym zawodzie można się stać pożytecznym, dlatego nie widzę konieczności porzucać szeregów.

— A jednak czujesz pan wstręt do przelewu krwi?

— Gdy idzie o obronę życia własnego, ustaje osobista odpowiedzialność za zabójstwo. Wojnę nazywają często, i bardzo właściwie, gromadnym morderstwem, lecz żaden z nas, żołnierzy nie uważa się za mordercę. To prawda, że widok krwi jest dla mnie nad wyraz przykry, że patrząc na pobojowisko czuję żal i wstręt; cierpię wobec tego, cierpię nadmiernie... ale wszakże niejeden marynarz podlega chorobie morskiej podczas burzy, mimoto nie opuści okrętu, odbywa podróż za podróżą.

— Podróż należy do potrzeb naturalnych, wojna zaś jest zabytkiem barbarzyństwa.

— Niestety uprawnionym! Każdy z nas isć musi gdy go powołają a jednostka widząc, że towarzyszą jej setki, nabiera otuchy i przekonania...

W ten sposób prowadziliśmy rozmowę dość długo przyciszonym głosem, by grającym nie przeszkadzać — a być może i dlatego, by rozmowa nasza nie doszła do ich ucha zapatrywania nasze wywołałyby gorący protest ojca. Tilling odmalował mi kilka epizodów wojennych i doznana przytęm odrazę; ja opowiadałam mu o spostrzeżeniach wyczytanych w książkach, gdzie dowodzono, że żądza wojownicza zmniejsza się w miarę wzrostu cywilizacji.

Uważałam to za dowód wielkiego zaufania, że Tilling w tej kwestyi tak się przedemną otwarcie wynurzył; czułam, że jakiś prąd sympatyczny przepłynął z duszy jego do mojej.

— Co wy tam szepeccie! — odezwał się do nas ojciec tasując karty. — Nad czém radzicie?

— Opowiadałam hrabinie wspomnienia z odbytych kampanij.

— Nawykła do takich opowiadań od dzieciństwa, i ja opowiadałam jej czasem podobne historie. Sześć kart, doktorze, i kwarta major.

Nawiązałam poważną rozmowę na nowo.

Podeczas gdy Tilling mówił a głos jego brzmiał serdecznym zaufaniem, nie wiem dlaczego przyszła mi na myśl księżniczka; przypomnienie to dreszczem mnie przejęło, odwróciłam głowę, czując, że się mienie na twarzy.

Tilling przerwał zaczęte zdanie.

— Czemu na twarzy twojej ukazała się chwilka niezadowolenia, hrabino? — zapytał dotknięty. — Czy powiedziałem co takiego, co się pani nie podoba?

— Nie, nie... to była tylko myśl przykra. Mów pan dalej.

— Nie pamiętam już o czém mówiłem; lepiej wyznaj mi pani tę myśl przykrą. Ja tak otwarcie spowiadałem się przed tobą, wywzajemnij się, hrabino.

— Nie mogę panu powiedzieć o czém myślałam.

— Nie możesz pani powiedzieć? Pozwól mi zgadywać?... Czy to tyczyło się pani?

— Nie.

— Więc mnie?

Skloniłam głowę.

— I pani tego powtórzyć nie możesz?

— Nie łam pan sobie głowy: odmawiam wszelkich objaśnień! — to rzekłszy powstałam spojrzawszy na zegar.

— Już wpół do dziesiątej... Muszę cię pożegnać, ojcze.

Ojciec przerwał grę i zapytał:

— Wybierasz się zapewne na wieczór?

— Nie, wracam do domu; wczoraj późno się położyłam.

— Zatem jesteś śpiąca? Baronie, to wcale nie-pochlebne dla ciebie.

— Mylisz się ojcze—protestowałam śmiejąc się—baron temu nie winien... Przeciwnie, bardzo zajmującą prowadziliśmy rozmowę.

Pożegnałam ojca i doktora; Tilling prosił bym mu pozwoliła odprowadzić się do powozu. W przedpokoju sam otulił mię płaszczem i podał ramię by sprowadzić ze schodów. Gdyśmy schodzili zatrzymał się na chwilę i zapytał z powagą:

— Powiedz, hrabino, czym cię nie rozgniewał przypadkiem?

— Mogę pana zapewnić, że nie.

— To mię uspokaja.

— Pomógł mi wsiąść do powozu, uściśnął silnie moją rękę i złożył na nią pocałunek.

— Kiedy mogę odwiedzić panią?

— W soboty jestem...

— W domu. Rozumiem: więc nigdy.

Uklonił się i cofnął.

Chciałam jeszcze coś powiedzieć, lecz służący zatrzasnął drzwiczki karety.

Wcisnęłam się w kąt powozu i byłabym chętnie płakała łzami przekory, jak rozdane dziecko. Byłam zła na siebie: jak mogłam postąpić tak obojętnie, tak niegrzecznie, tak prawie impertynencko z człowiekiem, dla którego czułam taką sympatyą... Księżniczka temu winna, znienawidziłam ją! Cóżby to było?... Zazdrość?...

Nagle pojęłam przyczynę mego postępków: kochałam Tillinga.

*

*

*

Nazajutrz zapisałam w pamiętniku następne słowa: „Kłamstwem jest to, co wczoraj pomyślałam, a przynajmniej przesadą. Prawda: czuję sympatyą dla tego szlachetnego i rozumnego człowieka, lecz miłość? — o nie! Nie narzucę przecież serca temu, który kocha inną. On także ma dla mnie sympatyą, zgadzamy się w wielu poglądach; mnie jedną może wypowiada tak otwarcie swoje zapatrywania, lecz to nie dowodzi jeszcze miłości. Żem go nie zachęciła, aby przyszedł o inną porze nie w ten nienawistny dla niego dzień etykietałnego przyjęcia, mogło mu się wydać mało uprzejmym po tak szczerzej wymianie myśli... Może to lepiej. Gdy parę tygodni upłynie po wczorajszych wrażeniach, które mną tak głęboko wstrząsnęły, będę znów mogła spokojnie spotkać

Tillinga. Prawdziwą przyjemność znaleźć można w jego towarzystwie, on tak odmienny od wszystkich. Rada jestem, że mogę dziś mówić o tém spokojnie; wczoraj już się obawiałam, że straciłam spokój serca, że zagościła w niem dręcząca zazdrość... dziś obawa pierzchła."

Tego samego dnia odwiedziłam moję przyjaciółkę, Laurę Griesbach, u której dowiedziałam się o śmierci Arnolda. Z pomiędzy wszystkich znajomych mi młodych kobiet odwiedzałam ją najczęściej; stosunek nasz był bardzo serdeczny. Nie dlatego, żebyśmy się z sobą zupełnie zgadzały albo rozumiały wzajemnie, ale dziećmi będąc bawiłyśmy się z sobą, wyszedłszy zamąż znalazłyśmy się na jednakowych stanowiskach społecznych; widywałyśmy się wtedy prawie codziennie, ztąd wynikała zażyłość, której, pomimo różnicy naszych charakterów, nie zamącił dotąd nawet cień niezgody. Duchowa strona mego życia była jęj całkiem nieznana, bo rzadko można się wynurzyć przed kimś zupełnie.

Do kilkogodzinnej pogadanki z Laurą nastrożczało się zawsze sporo przedmiotów: wspomnienia dzieciństwa, nasze dzieci, wydarzenia i zajścia w naszym kółku towarzyskiem, stroje, teatr, zabawy i. t. p. Dodam jeszcze, że syn Laury, Ksawery, był rówieśnikiem mego Rudolfa i ulubionym jego towarzyszem, a jęj dzieściomiesięczną córeczkę, Beatryksę, przeznaczałyśmy zartem na przyszłą Rudolfovą hrabinę Datzky.

— Widzę cię nareszcie! — powitała mnie Laura. — W ostatnich czasach prowadziłaś życie pustelnicy, nawet mego przyszłego zięcia nie miałam zaszczytu

oglądać u siebie; Beatryksa poczyta mu to za złe... Opowiadaj teraz, co porabiasz?... jak się miewają Róza i Lili? Dla Lili mam bardzo interesującą wiadomość, mąż mój przyniósł ją wczoraj z klubu: ktoś, o kim myślałam, że stara się o ciebie, jest w nięj zakochany... ale o tém opowiem ci później. Jaką śliczną masz suknię, od Fraciny, nieprawdaż? Poznałam od razu, ona ma właściwy sobie artystyzm... A kapelusz od Gindreau? Bardzo ci w nim do twarzy... Robi teraz i kostiumy, nietylko kapelusze... Wczoraj na wieczorze u Dietrichisteinów, Nina Chotek miała tualeteę od Gindreau, wyglądała w nięj prawie ładnie...

W tym sensie prowadziłyśmy rozmowę dość długo, nareszcie skierowałam ją zręcznie na obiegające w naszym „kółku” plotki i, o ile mogłam najswobodniej, zapytałam:

— Czyś słyszała o stosunku księżniczki z baronem Tillingiem?

— Słyszałam coś o tém, ale to bardzo stara historia. Dziś powszechnie wiadomo, że księżniczka kocha się w aktorze z Burgu. Czy interesuje cię ten baron Tilling? Rumienisz się? Nie pomoże zaprzeczanie, przyznaj się lepięj! I tak długo pozostawałaś obojętną, nie czuła... miałabym prawdziwą satysfakcją widzieć cię zakochaną... Tilling naturalnie nie byłby stosowną dla ciebie partją, masz odpowiedniejszych konkurentów; on podobno nie świetnie stoi finansowo. Zresztą, ty sama jesteś dość bogata ale on zastary dla ciebie... Ileż lat miałby teraz twój biedny Arnold? Nigdy nie zapomnę chwili, gdy czytałaś list brata. Wojna jest zwyczajem fatalnym, cho-

ciaż nie dla wszystkich. Mąż mój, na przykład, pragnie nowój wojny; radby się odznaczyć. Pojmuję to; gdybym była żołnierzem, pragnęłabym również odznaczyć się jakimś wielkim czynem.

— Zostać kaleką albo być zabitym?

— O tém nie pomyślałabym nigdy. Nie trzeba o tém myśleć; śmierć spotyka tylko tych, którym jest przeznaczoną; twojem przeznaczeniem było zostać młodą wdową.

— Więc dlatego musiała się toczyć wojna z Włochami?

— A jeżeli mnie przeznaczono zostać żoną młodego stosunkowo generała.

— To niezadługo musi przyjść do nieporozumienia politycznego, aby Griesbach prędko awansował? Naznaczasz bardzo prosty przebieg sprawom świata. Co chciałaś mi powiedzieć o Lili?

— Wasz kuzyn, Konrad, jest w niej zakochany; przypuszczam, że się wkrótce oświadczy.

— Wątpię. Konrad Althaus jest bałamut i hulaka, nie myśli o małżeństwie.

— Oni wszyscy jednakowi a przecież się żenią. Czy myślisz, że on się Lili podoba?

— Nie nie zauważyłam...

— Byłby bardzo dobrą partją; po śmierci wuja Drontheim'a odziedziczy dobra Selawetz. A propos Drontheim'a, czy wiesz, że Ferdynand Drontheim, ten, który stracił majątek w Monaco, ma się żenić z córką bankiera? Spodziewam się, że nikt ję nie przyjmie w towarzystwie. Będziesz dziś na wieczorze w ambasadzie angielskiej? Nie? Masz racją, bo

na tych rautach ambasadorskich nie można się czuć tak prawdziwie w swoim kółku: tylu tam cudzoziemców, o których się nie wie, czy są ludźmi dystygowanymi; zapraszają każdego przejeżdżającego anglika, który się przedstawi w poselstwie, choćby to był jaki mieszczanin, przemyslowiec albo coś w tym rodzaju. Anglicy podobają mi się jedynie w wydawnictwach Tauchnitz'a. Czytałaś już „Jane Eyre”? Śliczna powieść, nieprawdaz? Gdy Beatryks zacznie mówić, wezmę do niej bonę angielską. Z francuzki Ksawerka nie jestem zadowolona. Co? już odchodzisz?

— Tak, moja droga, muszę jeszcze oddać parę wizyt... Bywaj zdrowa.

Nie dałam się namówić, żeby pozostać „choćaj pięć minut”, pomimo, że owe wizyty były zmyślone. Zwykle całemi godzinami słuchałam bezmyślniej paplania przyjaciółki, ale dziś niemogłam. Opanowała mnie jakaś tęsknota... Gdyby to była rozmowa jak wczoraj wieczór — ach! ten Tilling... Zatem mój domysł był prawdziwym... Jakaś zmiana zaszła we mnie; przeniesioną zostałam w świat innych uczuć; owe błache sprawy, które całkiem pochłaniały moję przyjaciółkę: tualety, bony, małżeństwa i spadki — wszystko to było tak poziome, nic nie znaczące... Tilling jest wolny: księżniczka „zakochana w aktorze z Burgu”, nigdy ję zapewne nie kochał...

*

*

*

Kilka dni minęło lecz nie spotkałam Tillinga; umyślnie bywałam w teatrze, na zebraniach, w nadziei że go zobaczę — na próżno!

Dzień przyjęcia sprowadził mnóstwo gości, tylko on się nie zjawił; nie spodziewałam się go nawet, bo nie wyglądał na to, by potem co wyrzekł odprowadzając mnie do powozu: „rozumiem – więc nigdy” – mógł ukazać się w moim salonie. Sprawiał mu wtedy przykrość, dlatego oczywiście mnie unika, a ja pragnęłam go zobaczyć, naprawić moję poprzednią niegrzeczność i doczekać się znów takiej godzinki rozmowy jak wtedy, w domu mego ojca.

Zamiast Tillinga następna sobota sprowadziła przynajmniej jego kuzynkę, u której go poznałam na balu. Gdy weszła serce uderzyło mi żywo; nareszcie dowiem się coś o tym, co myśl moję zajmuje. Nie zdobyłam się jednak na odpowiednie zapytanie; czułam, że nie zdołam wymówić pewnego nazwiska bez zdradzieckiego rumieńca; rozmawiałam więc z przybyłą o wielu różnych przedmiotach, między innemi i o pogodzie, tylko nie o tém, co mi na sercu leżało.

— Marto — rzekła tamta niespodzianie — mam polecenie dla ciebie: mój kuzyn, Fryderyk, przesyła ci ukłony; odjechał wczoraj.

Czułam, że błędną.

— Odjechał? Dokąd? Czy pułk jego przeniesiono.

— Nie. Wziął kilkudniowy urlop i pospieszył do Berlina, bo matka jego jest umierająca. Żal mi biedaka, wiem jak matkę ubóstwiał.

We dwa dni później otrzymałam list obcą mi zaadresowany ręką; pieczętka pocztowa wskazywała, że przychodził z Berlina. Zanim rzuciłam okiem na

podpis, wiedziałam, że to było pismo Tillinga. Brzmiało ono jak następuje:

„Berlin, ulica Fryderyka 8, 30 marca 1863 r.
Godzina pierwsza w nocy.

Droga Hrabino! Muszę przed kimś ból mój wypowiedzieć... Dlaczego pani właśnie? Czyż posiadam do tego prawo? Nie, ale jakiś pociąg nieprzeparty zmusza mnie. Wiem, mogę liczyć na twe współczucie.

Gdybyś znała umierającą, byłabyś ją kochała. Jakież to serce tkliwe, jaki umysł jasny, teraz grób to wszystko pochłonie — niema nadziei!

Cały dzień spędziłem u jej łoża i noc tu przepędzę; ostatnią noc dla niej...

Biedaczka cierpiała, strasznie. Teraz uspokoiła się; siły znikają, puls ustał prawie; oprócz mnie czuwają jeszcze siostra Jój i doktor.

Straszne jest rozstanie z życiem! Wiemy, że każdemu sądzone, nie chcemy jednak wierzyć, że zabierze naszych ukochanych. Czém dla mnie była Matka, trudno wypowiedzieć.

Wie, że umiera; gdym przybył dziś rano, powitała mnie okrzykiem radosnym.

— Nareszcie widzę cię jeszcze, mój Fryderyku! Tak się obawiałam, żebyś nie przybył za późno.

— Wyzdrowiejesz, matko! — zawołałam.

— Nie, nie; nie spodziewam się tego, mój synu. Słowami zdawkowej pociechy nie odbieraj uroczystego nastroju ostatnim chwilom, jakie z sobą przepędzimy. Pożegnajmy się.

Łkając padłem przy łóżku na kolana.

— Ty płaczesz, a ja nie mówię ci: „Nie płacz”. Miło mi, że pożegnanie ze starą, najlepszą twą przyjaciółką tyle boleści ci sprawia. Jest to rękojmią, że nie zapomnisz mnie tak prędko.

— Nigdy, matko!

— Byłeś dla mnie zawsze dobrym synem; z wyjątkiem trosk, jakie mi sprawiały twoje choroby w dzieciństwie, z wyjątkiem obawy, gdyś był na strasznój, długiej wojnie, doznawałam zawsze z twego powodu najmielszych uczuć. Błogosławię cię za to, moje dziecko.

Znów nastąpił atak boleści; serce mi pęka, gdy patrzę na jej rysy cierpieniem wykrzywione i słyszę rozdzierające jęki. Śmierć—to straszny, to zawzięty tyran... I pomyśleć, że ludzie czasem samowolnie i radośnie jedni drugich mordują, kiedy śmierć tyle cierpień sprawia.

Noc przeraźliwie długa; gdyby biedna nasza chora spać mogła, ale leży z otwartymi oczyma. Spędzam półgodziny nieruchomie przy jej łóżku, potem skradam się do tego arkusika, by skreślić kilka wyrazów, by się podzielić bolem własnym z sercem, które, wierzę, odezwie się dla mnie spólcuciem.

7-ma godzina. Już po wszystkim...

— Żegnaj mój synu — były ostatnie jej słowa; następnie zamknęła oczy i zasnęła. Śpij spokojnie moja matko!

Z płaczem całuję ukochane Pani ręce, Jój zbolały

Fryderyk Tilling.”

List ten posiadam dotąd; jakże zmięta i wyblakła jest ta ówiartka! Wyblakłość ta jest nie tylko dziełem ubiegłych dwudziestu pięciu lat, lecz także łez moich i pocałunków, jakimi pokrywałam ukochane pismo. „Zbolały”, tak — ale ja po przeczytaniu tego listu byłam w duszy najmocniej rozradowana; chociaż w liście nie było słowa o miłości, jednak stanowił dowód, że jestem kochaną. To, że przy łóżu konającej matki, pragnął ból swój wyplakać przedemną, a nie przed księżniczką, musiało zniweczyć wszelkie wątpliwości.

Tego samego dnia posłałam do Berlina wieniec z białych kamelij i jedną rozkwitającą, czerwoną różę. Czy on się domyśli, że te białe, bezwonne kwiaty przeznaczałam zmarłej, jako symbol żałoby, a płomienną różyczkę — jemu?

*

*

*

Trzy tygodnie minęły.

Konrad Althaus oświadczył się o Lili i dostał odkosza; nie doprowadziło go to do rozpacz, jak przedtem bywał częstym gościem w naszym domu a w towarzystwach nie przestał nam nadskakiwać. Powiedziałam mu raz, że podziwiam jego niewzruszoną wierność.

— Ciesz się to wielce — mówiłam — że się nie gniewasz; lecz widzę też, że miłość twoja dla Lili nie była tak gwałtowną jak utrzymujesz, gdyż wzgardzone uczucie długo bardzo pamięta doznana urazę.

— Mylisz się, kuzynko — odparł — kocham Lili szalenie. Najpierw zdawało mi się, że serce wybrało ciebie, okazywałaś się jednak dla mnie tak chłodną, że m zdołał w samą porę stłumić kielkujące uczucie; potem przez czas pewien zajmowałem się Różą, aż ostatecznie uczucia moje stałe poświęciłem Lili, i pozostanę jój wiernym do końca życia.

— To na ciebie niepodobne.

— Lili albo żadna!

— Lecz ona tobie nie sprzyja, mój Konradzie?

— Czy sądzisz, że byłbym pierwszy, który, otrzymawszy odkosza, oświadcza się téj saméj pannie po raz drugi i trzeci, z równie niepomysłnym skutkiem, a za czwartym razem zostaje przyjęty, choćby dlatego, by koniec położyć natręctwu?... Lili nie jest we mnie teraz zakochana, to prawda, ale pewien jestem, że z czasem przywiązanie moje wzruszy ją i wzbudzi wzajemność; wtedy, droga Marto, musisz mię przyjąć za szwagra. Spodziewam się, że nie będziesz przeciwna moim zamiarom?

— Owszem, będę ci pomagać; podoba mi się twoja stałość. W ten sposób powinniście zawsze starać się o naszą miłość. Kochać i zdobywać, szczytna to zasada, lecz młodzież nasza nie zadaje sobie tego trudu; nie chce ona zdobywać szczęścia, lecz pragnie zrywać je bez kłopotu, jak kwiat przy drodzeli...

Dowiedziałam się, że Tilling od dwóch tygodni już powrócił do Wiednia, nie przyszedł jednak mnie odwiedzić; nie mogłam się spodziewać, że go spotkam w salonach, bo żaloba nie pozwalała mu bywać w towarzystwach, miałam wszakże nadzieję, że będzie

u mnie lub napisze przynajmniej; tymczasem dnie miały lecz nie odbierałam ani listu, ani oczekiwanéj wizyty.

— Nie pojmuję co się z tobą dzieje, Marto — odezwiała się ciotka — od jakiegoś czasu jesteś w tak złym humorze, tak roztargniona, że nie wiem nawet jak to nazwać... Żle, bardzo źle robisz, że nie wybierasz żadnego z swych konkurentów. To życie samotne, powtarzam raz jeszcze, nie jest odpowiednie dla ciebie. Splen, który cię teraz opanował, jest jego następstwem.

— Aby pójść za mąż potrzeba kogoś kochać, a żaden z moich konkurentów nie podoba mi się.

Sprowadziłam rozmowę na inny przedmiot, zaczęłam mówić o Rudolffu, tym sposobem uniknęłam nieprzyjemnych dla siebie uwag.

Nazajutrz poszłyśmy z ciotką i siostrami do kościoła, gdzie się odbywała wspaniała ceremonia omywania nóg starcom, był to bowiem Wielki Czwartek; ceremonia, dopełniana jak zawsze przez parę cesarską, trwała długo a gdym znużona nią wyszła na ulicę, stanął przedemną Tilling i rzekł kłaniając się:

— Dzięki ci, hrabino, za wspaniały wieniec.

Podalał mu rękę, niezdolna wymówić słowa.

Powóz nasz zajechał, musiałyśmy wsiadać, Róża popychała mnie naprzód; Tilling podniósł rękę do czoła i chciał się cofnąć; wtedy, czyniąc gwałtowny wysiłek, przemówiłam głosem, który mnie saméj wydał się obcym:

— Będę w domu w niedzielę, od drugiej do trzeciej.

Sklonił się w milczeniu a myśmy wsiadły do powozu.

— Zaziębiłaś się pewnie, Marto — zauważyła siostra, gdyśmy ruszyły z miejsca, — wypowiedziała swoje zaprosiny zupełnie ochrypłym głosem. Dlaczego nie przedstawiłaś mi tego melancholijnego oficera? Nie zdarzyło mi się widzieć twarzy bardziej smutnej.

*

*

*

W oznaczonym dniu, o naznaczonej godzinie stawił się u mnie Tilling; przedtem umieściłam następnny przypisek w pamiętniku.

„Przeczuwam, że dzień dzisiejszy rozstrzygnie o mym losie; tak mi uroczyście i błogo w duszy, jestem pełna otuchy. Muszę utrwalić to usposobienie na tych kartkach, aby kiedyś, gdy je będę przeglądać po latach wielu, ta chwila, której z takim wzruszeniem oczekuję, żywo stanęła mi w pamięci. Może stanie się inaczej niż myślę, może zupełnie tak samo... w każdym razie pragnę się przekonać, o ile rzeczywistość odpowiedziała przeczuciu. On mnie kocha, o tém przekonał mnie list jego, pisany przy łożu umierającej matki; że jest nawzajem kochany musiała mu powiedzieć różyczka w przesłanym wieńcu... Teraz spotkamy się bez świadków, do głębi wzruszeni, on spragniony pociechy, ja zaś pocieszyć pragnąca: sądzę, że nie zamienimy słów wiele... ze łzami w oczach, dłoń w dłoni, zrozumiemy się doskonale... Już pięć

minut po drugiej, lada chwila nadejść może... Ktoś dzwoni... ach, jakże mi serce bije, drzę, czuję, że...”

Tyle zdążyłam napisać. Ostatnie wiersze nakreślone prawie nieczytelnie dowodzą, że bicie serca i drzenie nie były figurą retoryczną.

Rzeczywistość nie odpowiedziała oczekiwaniom; w ciągu półgodzinnnej wizyty zachował się Tilling umiarkowanie i chłodno; prosił abym mu przebaczyła, że się ośmielił pisać, abym to pominięcie etykiety policzyła na karb tego, że w podobnie bolesnych chwilach ludzie nie zdają sobie sprawy ze swych czynności. Opowiedział mi niektóre szczegóły z ostatnich chwil i z życia swjej matki, lecz ani słowa o tém, czego się spodziewałam; więc i ja stawałam się coraz umiarkowaną, coraz chłodniejszą. Gdy wstał, by mnie pożegnać, nie zatrzymywałam go i nie zapraszałam.

Po odejściu Tillinga pobiegłam do otwartego dziennika i dopisałam:

„Czuje, że — wszystko skończone... Okropnie się zawiodłam, on mnie nie kocha i teraz będzie myślał, że jest mi równie obojętny jak ja jemu. Zachowywałam się prawie odpychająco. Czuje, że nie powróci więcej, a przecież nie ma dla mnie na świecie równie jak on dobrego, szlachetnego, rozumnego człowieka! Tak jak ja bym cię kochała, nie kocha cię żadna, a najmniej ta księżniczka, do której powróciłeś widocznie. Mój drogi Rudolfe, ty będziesz moją pociechą i osłodą. Odtąd nie dam przystępu do mego serca innj miłości prócz miłości macierzyńskiej... Gdy mi się uda wychować cię na takiego człowieka

jak tamten — gdy kiedyś tak oplakiwać mnie będziesz, jak on oplakuje swą matkę, cel mój osiągniętym zostanie.”

Piękna, wiosenna pogoda zabłysła w poniedziałek wielkanocny; zwyczajem uświęcona w tym dniu tłumna przejażdżka po Praterze, zapowiedź wielkiego, majowego corso, wypadła świetnie. Pamiętam jeszcze jak ta świetność, to wesele świąteczne i wiosenne sprzeczne były ze smutkiem napelniającym moje serce, a jednak nie byłabym się wyrzekła mego smutku, nie chciałabym odzyskać tej wesołości i próżni serca, które zniknęły od dwóch miesięcy, odkąd poznałam Tillinga. Z tém tkliwém uczuciem, napelniającém me serce, gdy drogi obraz stawał w pamięci, nie mogłam się rozstać.

Nie spodziewałam się, żeby tu, w Praterze, wśród zgiełku światowej wesołości, zobaczyła przedmiot mych marzeń. A jednak, gdym roztargnionym wzrokiem powiodła po alei, ujrzałam zdala pędzącego w naszą stronę oficera, w którym odrazu poznałam Tillinga. Skoro się zbliżył i salutując minął nas, odpowiedziałam na jego ukłon nietylko ukłonem, lecz kilkakrotném skinieniem ręki; w téj samej chwili pomiarkowałam, że popełniam niewłaściwość nie dającą się usprawiedliwić.

— Komu dawałaś takie znaki? — zapytała Lili — może ojcu? Ach, wiem już — dodała — tam jedzie nieodstępny Konrad, na niego kiwałaś ręką.

Ukazanie się Konrada było bardzo w porę; wdzięczna byłam kuzynkowi.

— Patrz Lili — rzekłam — jaki on pocciwy, przyjechał pewnie dla ciebie. Powinnaś zlitować się nad nim. O, gdybyś wiedziała jak to słodko kochać kogoś, nie zamykałabyś swego serca.

Lili popatrzyła na mnie zdziwiona.

— A jeżeli on mi jest obojętnym?

— Może kochasz innego?

Potrząsnęła głową.

— Biednaś ty!

Przejechałyśmy jeszcze dwa czy trzy razy aleję tam i napowrót, lecz nie ujrzałam już więcej tego, kogo szukały moje oczy; opuścił zapewne Prater.

*

*

*

W kilka dni później, w godzinie poobiedniej, zjawił się u mnie Tilling; nie zastał mnie samęj, był ojciec i ciotka a oprócz tego Lili, Róża, Konrad Althaus i minister znajdowali się również w salonie.

Zaledwie zdołałam powstrzymać okrzyk zdziwienia; wizyta była tak niespodziewana a zarazem taką radością mnie przejęła. Prędko jednak minęła radość, bo Tilling, powitawszy obecnych i siadając naprzeciw mnie, odezwał się tonem obojętnym:

— Przychodzę pożegnać cię, hrabino; za kilka dni opuszczam Wiedeń.

— Na jak długo? dlaczego? dokąd? po co? — pytali wszyscy jednocześnie, a ja milczałam.

— Może na zawsze; przenoszę się do innego pułku, do Węgier — odpowiedział Tilling.

Przez ten czas zdołałam się uspokoić.

— Zbyt szybko powziąłeś pan decyzję—rzekłam siląc się na spokój. — Czém cię nasz Wiedeń zraził, że chcesz go pan tak nagle porzucić?

— Zbyt ożywiony i wesoły, a ja tęsknię za samotną puszcią.

— Cóż znowu! — zauważył Konrad, — im smutniejsze usposobienie, tém bardziej powinniśmy szukać rozrywki. Wieczór spędzony w teatrze Karola odziała bardziej orzeźwiająco, niż rozmyślania samotne.

— Wojna, raźna, wesoła wojna, oto coby cię najskuteczniej wyleczyło z melancholii—poważnie odezwał się ojciec. — Niema jak wojna na wszelkie strapienia. Tylko że jakoś się na nią nie zanos! Zagraża nam nudny, fatalny pokój....

— Jak dziwaczne zestawienie wyrazów — wtrąciłam, nie mogąc się powstrzymać od téj uwagi:— Wojna i—wesoła; pokój i—zagraża nam.

— Bezwątpienia—potwierdził minister,—na horzonce politycznym nie można teraz dojrzeć żadnej ciemnej chmurki; lecz chmury piorunowe zjawiają się nagle i nigdy nie tracimy szansy, że jakieś, choćby nie nieznaczące, nieporozumienie sprowadzi nam wojnę. Mówię to dla pocieszenia pana, pułkownika. Bo co do mnie, który mocą mego urzędu zajmuję się tylko wewnętrznymi sprawami państwa, muszę życzyć, bezwątpienia, jaknajdłuższego pokoju, gdyż on jedynie sprzyja pomyślnemu przeprowadzeniu spraw należących do mego wydziału. Nie przeszkadza mi to jednak uznawać słuszności życzeń tych, którzy z militarnego stanowiska, bezwątpienia....

— Pozwól mi, ekscelencyo—przerwał Tilling — zastrzedz się od przypuszczenia, jakobym wojny miał pragnąć, a zarazem pozwól, że zaprotestuję przeciw założeniu, że stanowisko militarne ma być inne niż ludzkie. Jesteśmy po to, by kraju bronić, gdy mu nieprzyjaciół zagraża, podobnie jak straż ogniowa jest na to, by gasiła pożar gdy wybuchnie — nie idzie zatem by żołnierz miał prawo pragnąć wojny a strażak pożaru. I jedno i drugie jest nieszczęściem, wielkiem nieszczęściem, a człowiek nie powinien cieszyć się z nieszczęścia swych spółbraci.

— O zacny, drogi mężu! — pomyślałam w duchu, Tilling zaś dalej mówił:

— Wiem o tém, że dla jednego pożar a dla drugiego wojna przedstawia pole do odznaczenia się; lecz jakże małoduszny i ciasnego umysłu byłby człowiek, gdyby osobiste korzyści wydały mu się tak olbrzymie, żeby nie dozwalały mu dostrzedz płynących z jego egoizmu klęsk ogólnych, jakże nielitościwy byłby i okrutny, gdyby, widząc, nie odczuwał ich. Pokój jest najwyższém dobrodziejstwem, albo raczej nieobecność jego najwyższém złem, jest on, jak pan mówiłeś, jedyném położeniem sprzyjającym rozwojowi interesów handlowych i chciałeś pan wielkiemu ułankowi tego narodu, armii, przyznać prawo odwracania tego pomyślnego stanu rzeczy a przyzywanie zgubnego? Te „słuszne” życzenia chcesz hodować, aż wyrosną na żądania, a następnie spełniać je może? Prowadzić wojny żeby zająć i zadowolnić armią—domy podpalać, żeby straż nabyła doświadczenia i zdobyła pochwały!

— Porównanie twoje chrome, kochany pułkowniku—odparł ojciec, wbrew swemu zwyczajowi tytułując Tillinga, może dla ostrzeżenia go, że sposób jego myślenia nie zgadza się z zawodem. — Pożary zarządzają tylko szkody, gdy wojny przynoszą krajowi wielkość i potęgę. Jakże powstały i wzrosły państwa, jeśli nie przez zwyciężkie wyprawy? Ambicya osobista nie jest dla żołnierza jedyną wojenną podniecią; przedewszystkiém narodowa duma znajduje tu najobfitszy pokarm; jedném słowem, patryotyzm....

— Nie pojmuję, rzeczywicie — przerwał Tilling—dlaczego my, wojskowi, uważamy, że to uczucie, wrodzone prawie każdemu człowiekowi, ma być wyłącznie przywilejem naszym? Każdy kocha skibę, na której wzrósł, każdy pragnie podźwignienia i dobrobytu dla swych spółziomków, lecz szczęście i sławę można zdobyć innemi środkami, nietylko przy pomocy wojny; można się chlubić innemi czynami także prócz czynów wojennych. Ja naprzykład, bardziej się szczycę naszym Anastazym Grünem niż którymkolwiek feldmarszałkiem.

— Jakże można porównywać poetę z feldmarszałkiem!—zawołał mój ojciec.

— Niekrwawe wawrzyny daleko piękniejsze przecież.

— Ależ, kochany baronie — odezwała się nareszcie ciotka,—nie słyszałam nigdy wojskowego, któryby odzywał się w ten sposób. Gdzież się podzieje zapal wojenny, waleczność?

— Łaskawa pani, te uczucia nie są mi obce. Ożywiony niemi poszedłem po raz pierwszy na wojnę,

mając lat dziewiętnaście. Gdy jednak zobaczył rzeczywistość téj rzezi, gdy się stał świadkiem rozpasanej zwierzęcości, zapal mój ostygł i następnie szedłem na bitwę nie z ochotą lecz z rezygnacją.

— Posłuchaj pan, ja więcćj odbyłem kampanij i dość scen okropnych widziałem, a jednak zapal nigdy mnie nie opuszczał. Gdy w 49 roku, już w podeszłych latach, maszerował z Radeckim, doznawałem tego samego uczucia radości jak idąc po raz pierwszy.

— Wybacz, ekscelenco, pan należysz do starszej generacyi, do téj, w której duch wojowniczy był daleko żywszy niż u nas, a mało jeszcze było rozpowszechnione spółczucie, pragnące usunąć wszelką nędzę, która teraz ogarnia coraz szersze koła.

— Co to pomoże? Nędza będzie zawsze, temu zaradzić niepodobna, jak niepodobna obejść się bez wojny....

— Temi słowy, hrabio, zaznaczasz dawne, dziś już bardzo zachwiane stanowisko, z jakiego w przeszłości zapatrywaliście się na wszelkie zło, mianowicie stanowisko rezygnacyi, z jaką uważaliście je za rzecz nieuniknioną, niezbędną. Gdy już raz jednak na widok nędzy powstanie w duszy pytanie pełne wątpliwości: „Czy tak być powinno?“, to serce nie może pozostać obojętném i, obok spółczucia, rodzi się żal jakiś, nie żaden osobisty, lecz — jakby to wyrazić? — wyrzut sumienia.

Ojciec wzruszył ramionami.

— Mogę pana upewnić jedynie—rzekł—że nietylko my starzy wspominamy z dumą i z radością odyte kampanie, lecz większość młodych i najmłodszych

na zapytanie, czy chętnie pójdzie na wojnę, odpowie żywo: „Z ochotą—z wielką ochotą.”

— Najmłodszy—tak, zapewne. Ci mają jeszcze w sercu entuzjazm zaszczeplony w szkole. Z młodych zaś wielu odpowie także „z ochotą”, bo według ogólnych pojęć odpowiedź taka jest męską i dzielną, zaś szczerze „niechętnie” może być łatwo poczytane za tchórzstwo.

— Ach—rzekła Lili, wzdrygnawszy się,—jabym się też bała.... Strasznie być musi, gdy kule ze wszystkich stron lecą, gdy co chwila śmierć grozi!

— W pani ustach młodziutkich brzmi to bardzo naturalnie,—odparł Tilling—ale my wypierać się musimy popędu samozachowawczego, żołnierz zapierać się musi litości i spólcucia dla przyjaciół wrogów dotkniętych tą olbrzymią klęską, bo podobnie jak trwoga tak i wszelki sentymentalizm, wszelka tkliwość będą mu za złe poczytane.

— Lecz tylko na wojnie, kochany baronie, tylko na wojnie—rzekł ojciec;—w życiu prywatnym jesteśmy, Bogu dzięki, miękkiego serca.

— Przyznaję to. Z chwilą wypowiedzenia wojny wszystkie okropności przestają się uważać za takie; dzieci w swoich zabawach rządzą się czasem taką umową: „Jeżeli zrobię to lub owo, to nie będzie to”; podczas wojny rządzą się takimi dobrowolnymi umowami ludzie dojrzały. Zabójstwo nie jest zabójstwem, łupiestwo nie jest łupiestwem lecz „rekwizycją”; palące się wioski nie są klęską pożaru lecz „zdobytą pozycją”. Wszystkie ustawy prawodawstwa nie są tępem, czém są zazwyczaj, dopóki nie rozegra się partya.

Lecz jeżeli czasem sfolguje gorliwość nasza, jeżeli umówione „to nie jest to” na chwilę wyjdzie nam z pamięci, i pojmiemy otaczające sceny w całej ich rzeczywistości, równie jak i niezgłębione nieszczęście, które gromadne zbrodnie uważa nie za to czém one są, wtedy ogarnia nas pragnienie jeszcze jednej zbrodni, aby pozbyć się nieznośnego bólu, sprawionego tą świadomością rzeczy—pragnie się umrzeć....

— W istocie, tak jest—zauważyła ciotka zastanawiając się,—takie przykazania, jak: „nie zabijaj, nie kradnij, kochaj bliźniego swego jak siebie samego, przebaczej twym nieprzyjaciółom”....

— „To nie jest to”—powtórzył Tilling.—A teraz, hrabino—dodał powstając,—przebac mi, żem tak przykrą wywołał dyskusyą i pozwól, że cię pożegnaj.

Gwałtowne wzruszenie mną owładnęło. Wszystko, co powiedział, czyniło mi go jeszcze stokroć droższym.... I miałam go pożegnać, może nigdy więcej nie zobaczyć? Tu, wobec wszystkich, zamienić obojętne słowo pożegnania i na tęp poprzestać?... Nie mogłam się na to zgodzić: byłabym głośnym wybuchnęła płaczem, gdyby się za nim drzwi zamknęły. Dopuścić tego nie powinnam.

— Jeszcze chwilkę, baronie — rzekłam — mam panu pokazać fotografią, o której mówiliśmy.

Spojrzał zdziwiony, bo nigdy o żadnej fotografii nie było mowy, lecz poszedł za mną w przeciwną stronę salonu, gdzie na stole były porozkładane różne albumy i gdzie znaleźliśmy się dość daleko od wszystkich. Otworzył album a Tilling pochylił się nad nim; wtedy szepnęłam drżącym głosem:

— Nie puszczę pana w ten sposób.... Ja chcę, ja muszę z panem się rozmówić.

— Jestem na twe rozkazy, hrabino, słucham.

— Nie, nie teraz. Musisz przyjść.... jutro, o tej samej porze!

Zdawał się wahać.

— Rozkazuję panu.... przez wspomnienie matki pańskiej, którą opłakiwaliśmy razem.

— O Marto!

W ten sposób wymówione imię moje przeniknęło mnie promieniem radości.

— Jutro więc — powtórzyłam patrząc mu w oczy.

— O tej samej godzinie.

Porozumieliśmy się; wróciłam do towarzystwa, Tilling zaś wyszedł, ucałowawszy przed tem moją rękę i skłoniwszy się obecnym.

— Osobliwszy człowiek — zauważył mój ojciec potrząsając głową.—To co mówił, nie znalazłoby pochwały w wyższych sferach.

*

*

*

Gdy nazajutrz wybiła naznaczona godzina, wydałam rozkaz, żeby nikogo nie wpuszczano.

Oczekiwałam nastąpić mającej rozmowy z uczniem dziwnej trwogi, błogięj niecierpliwości i pewnego zakłopotania; nie wiedziałam dobrze sama, co mam mu powiedzieć—nie zastanawiałam się nad tem wcale. Gdyby Tilling był zapytał: „A więc, hrabino, co

chciałaś mi oznajmić czego żadasz?”—nie mogłabym mu przecież odpowiedzieć z całą otwartością: „Mam panu oznajmić, że cię kocham, życzę sobie, żebyś pozostał,” lecz w tak oschłej formie nie będzie mnie pewnie badał, i zrozumiemy się przecież bez takich kategorycznych pytań i odpowiedzi. Głównie idzie o to, aby zobaczyć go raz jeszcze; jeżeli mamy się rozstawać, to wprawdzie wyrzec musimy kilka słów serdecznych, zamienić czule pożegnania....

Na samą myśl łzy stanęły mi w oczach.

W tej chwili wszedł oczekiwany.

— Stawiam się na twój rozkaz, hrabino i.... Co pani się stało? — przerwał.—Płakałaś? I znów płaczesz?

— Ja?... nie... Dym był w pokoju, kominiek... Siadaj pan... Cieszę się, żeś przyszedł.

— A ja szczęśliwy jestem, żeś mi pani przyjść kazała. Pamiętasz, kazałaś mi przyjść w imieniu mojej matki.... Na to się powołując postanowiłem wypowiedzieć wszystko, co mam na sercu. Ja...

— Dlaczego zatrzymujesz się pan?

— Trudnięj wypowiedzieć niż sądziłem.

— Okazałaś mi pan tyle zaufania owęj bolesnej nocy, gdyś czuwał przy łożu umierającej, dlaczego teraz straciłaś zaufanie?

— W tej uroczystej chwili nie byłem panem siebie, od tego czasu znów mię zwykła nieśmiałość opanowała. Uznaję, że wtedy przekroczyłem granice, i aby nie powtórzyć tego więcej uciekałem od pani...

— Tak w istocie: zdajesz się pan unikać mnie. Dlaczego?

— Dlaczego? Ponieważ.... ponieważ ubóstwiałam panią!

Nic na to nie odpowiedziałam, i aby ukryć wzruszenie, odwróciłam głowę; Tilling milczał także.

Nareszcie uspokoiłam się i przerwałam milczenie:

— Dlaczego chcesz pan opuścić Wiedeń?

— Z tej samej przyczyny.

— Czy nie możesz pan cofnąć postanowienia?

— Mógłbym, bo jeszcze przeniesienie nie za-
twierdzone.

— W takim razie zostań pan.

— Marto! — zawołał, ujmując dłoń moje.

Już po raz drugi nazwał mnie po imieniu; dwie te sylaby brzmiały upajająco.... Musiałam na to odpowiedzieć podobnie słodkimi dźwiękami, w których mieściło się to wszystko, co napędliało me serce; podnosząc wzrok ku niemu szepnęłam:

— Fryderyku!

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł mój ojciec.

— Ah, jesteś. Służący powiedział mi, że niema cię w domu, odpowiedziałem mu na to, że chcę zaczekać dopóki nie powrócisz.... Dzień dobry, baronie! Zdziwiony jestem, zastając cię tutaj po wczorajszym pożegnaniu.

— Wyjazd zaniechany, ekscelencyo, przyszedłem więc....

— Złożyć powitalną wizytę mojej córce? Bardzo pięknie. A teraz, powiem ci, Marto, co mię sprowadza. Jest to sprawa familijna....

Tilling wstał.

— Przeszkadzam może.

— To co mam powiedzieć, nie jest tak pilne.

Wysyłałam w duszy ojczulka z jego sprawami familijnymi do antypodów; bardziej nie w porę nie mogła się zjawić żadna przeszkoda. Nie pozostało Tillingowi nic innego jak pożegnać się, lecz potem co zaszło, oddalenie nie było rozstaniem: myśli nasze i serca były połączone.

— Kiedy będę mógł widzieć panią? — zapytał zcicha, całując mię w rękę na pożegnanie.

— Jutro o dziewiątej rano w Praterze, konno — odpowiedziałam mu również cicho.

Ojciec pożegnał odchodzącego dość zimno, a gdy się za nim drzwi zamknęły zapytał przybierając surową minę:

— Co to ma znaczyć? Każesz mówić, że niema cię w domu, tymczasem zastaję cię sam na sam z tym panem?

Zaczerwieniłam się, po części z gniewu, po części z pomieszanania.

— Jakaż to sprawa familijna, którą....

— Chciałem oddać twego adoratora, aby ci powiedzieć, co myślę i co uważam za bardzo ważną sprawę familijną. Ty, hrabina Datzky, urodzona Althaus, narażasz swoją dobrą opinię.

— Kochany ojcie, najlepszego stróża mojej opinii i honoru posiadam w osobie Rudolfa Datzky, co się zaś tyczy ojcowskiej władzy hrabiego Althaus, to pozwól sobie przypomnieć z całém uszanowaniem, że jako samodzielna wdowa, wyrosłam już z niej. Jeżeli

zechcę powtórnie wyjść zamaż, to zastrzegam sobie, że wyborem moim kierować będzie serce.

— Może chcesz się wydać za Tillinga? Ale to byłoby prawdziwem nieszczęściem dla rodziny. Wołałbym.... nie, wolę tego nie mówić ty nie zrobisz tego!

— Cóżbys mógł temu zarzucić, ojcze? Sam proponowałeś mi niedawno pułkownika, kapitana i majora, Tilling jest już nawet podpułkownikiem.

— To jest właśnie najgorsze. Gdyby był cywilnym, możnaby mu wybaczyć zapatrywania, jakie wygłaszał wczoraj, lecz u wojskowego są one prawie zdradą... Zapewne chętnie podałby się do dymisyi, aby się nie narażać na niebezpieczeństwo nowej wyprawy, której cierpienie i trudów obawia się widocznie, a ponieważ nie posiada majątku, więc mądrze obmyślił ożenić się bogato. Mam jednak w Bogu nadzieję, że do tego celu nie nada się kobieta, będąca córką starego żołnierza, który odbył walecznie cztery kampanie, a dziś jeszcze gotów jest wyruszyć z młodzieńczym zapalem,—wdowa po dzielnym, młodym wojaku, który na polu chwały zaszczytną śmierć znalazł.

Mówiąc to ojciec chodził po pokoju wielkimi krokami, twarz jego była mocno zaczerwieniona a głos drżał ze wzruszenia; i ja byłam do głębi wzruszona. Ta cała frazeologia, ta czcza gadanina pompatyczna, z jaką napadano na ukochanego przezemnie człowieka, oburzała mnie, ale nie mogłam odpowiedzieć; czułam, że obrona moja nie zdoła zniweczyć niesprawiedliwości, jaka spotykała Tillinga. Fałszywy sąd mego ojca, o wczoraj wypowiedzianych zapatrywaniach, pochodził z zupełnego niezrozumienia rzeczy; ojciec

poprostu nie dostrzegał wcale stanowiska, z jakiego Tilling przemawiał. Nie mogłam mu otworzyć oczu, nie mogłam go nauczyć, by inną skalą, nie żołnierską, która według pojęć generała Althausa była najwyższą, mierzył sposób myślenia i uczucia, któremi się rządził tamten. Gdym jednak w milczeniu słuchała tej napaści, tak że ojciec mógł sądzić, iż mię zawstydzili i zamiary moje stłumił w samym zarodzie, czułam podwójną tęsknotę za tym zapoznanym człowiekiem i tém więcej utrwaliłam się w postanowieniu oddania mu ręki.

Na szczęście, byłam wolną.

* * *

*

Nazajutrz o dziewiątej zrana powóz mój zatrzymał się przed Praterem; dosiadłam wierzchowca, którego masztalerz za powozem prowadził, ale zaledwie ujechałam sto kroków, usłyszałam za sobą tętent szybko pędzącego konia.

— Dzień dobry, Marto, zabrzmiał głos nieustraszonego Konrada—dobrze, że cię spotykam.

Nie rada byłam spotkaniu, lecz Prater nie był moim prywatnym parkiem, nie mogłam zakazać, iżby nikt prócz mnie nie miał tu wstępu.

Konrad zamierzał oczywiście towarzyszyć mi w przejażdżce; wtém zdaleka ujrzałam Fryderyka von Tilling zbliżającego się ku nam.

— Przyznasz kuzynku, że jestem wiernym sprzymierzeńcem—odezwałam się. — Masz dowody, jak się staram dobrze usposobić dla ciebie Lili?

— Wiem o tém, najlepsza z kuzynek.

— Nawet wczoraj wieczorem wychwalałam jój znów twoje zalety... bo rzeczywiście jesteś zacnym chłopcem, uprzejmym, względny i dyskretnym.

— Zapewne kuzyneczka żąda czego odemnie?

— Tak. Bądź łaskaw uderzyć swego konia szpicrutą i popędzić dalej....

Tilling był blisko. Konrad popatrzył najpierw na niego, potem na mnie, nie rzekłszy słowa, skinął głową z uśmiechem i popędził jakby go kto gonił.

— Znów ten Althaus! — były pierwsze słowa Tillinga, gdy zwróciwszy konia obok mnie jechał.

Ton jego głosu i wyraz twarzy znamionowały zazdrość. Ucieszyło mnie to, on zaś spytał:

— Czy uciekł tak odemnie, czy też koń go poniosł?

— Odprawiłam go, ponieważ....

— Hrabino Marto, że też zawsze muszę panią spotykać z tym Althausem! Świat mówi o nim, że jest zakochany w swojej kuzynce?

— To prawda.

— Że stara się o jój względy?

— Tak jest rzeczywiście.

— I nie jest pozbawiony nadziei?

— Nie zupełnie.

Tilling umilkł; spojrzałam na niego z uśmiechem szczęścia na twarzy.

— Wzrok pani zadaje kłam słowom — wyrzekł po chwili; — spojrzenie twoje mówi: „Althaus kocha bez nadziei.”

— Przedewszystkiém nie kocha mnie, stara się o moję siostrę, Lili.

— Zdejmujesz mi pani kamień z serca. Ten człowiek był także jedną z przyczyn, dla których chciałem Wiedeń opuścić.

— Jakie były inne przyczyny?

— Obawa coraz bardziej wzrastającej miłości, której nie mógłbym dłużej ukrywać, nie chciałem zaś stać się śmiesznym i nieszczęśliwym zarazem.

— Czy i dziś czujesz się pan nieszczęśliwym?

— O Marto!... Od wczoraj jestem prawie nieprzytomny, obawiam się nawet, żeby to nie był sen słodki, po którym obudzić mnie może smutna, bolesna rzeczywistość. Miłość moja jest w pojęciach światowych szaleństwem... Cóż mogę pani ofiarować? Dziś uśmiechają mi się twoje łaskawe względy, przenoszące mnie do siódmego nieba, jutro, lub trochę później, może mnie wtrącis w przepaść rozpacz... Sam siebie nie poznaję: mówię tak przesadnie — ja, który byłem zawsze spokojnym, rozsądnym człowiekiem, nieprzyjacielem wszelkiej egzaltacji... Ale wobec ciebie nic nie wydaje mi się przesadzonem: od ciebie zależy uczynić mię szczęśliwym lub nieszczęśliwym...

— Pomówmy także o moich wątpliwościach; księżniczka...

— Więc ta plotka doszła i do pani?

— Pan to nazywasz plotką?

— Nieinaczej. Serce księżniczki zmienia często lokale, obecnie zamieszkuje w teatrze zamkowym. Możesz mi wierzyć, hrabino, że nie miałem i nie mam

dla niej żadnych obowiązków, zresztą czyż opuściłbym Wiedeń, gdyby te pogłoski były uzasadnione?

— Zazdrość nie wnioskuje. I ja także nie ka-
załabym przyjeżdżać tu panu, gdybym się chciała
spotkać z moim kuzynem.

— Trudno mi, Marto, jechać tak spokojnie
obok ciebie.... Pragnąłbym klęczeć u stóp twoich,
pragnąłbym przynajmniej do ust przycisnąć twę
rękę...

— Drogi mój Fryderyku—rzekłam tklawie—dla
nas zbytecznemi są podobne objawy uczuć, słowami
można hołdy składać.

Umilkliśmy na chwilę.

— Odkąd mnie kochasz, Marto?—zapytał pierw-
szy Tilling.

— Od owego obiadu u mego ojca—odpowiedzia-
łam.—A pan?

— Pan! Ten „pan” jest dysonansem, Marto. Je-
żeli mam odpowiadać, sformułuj inaczej pytanie.

— A.... ty?—spytałam powtórnie.

— Ja? Zapewne także od owego wieczoru,
lecz zrozumiałem to dopiero przy łożu śmiertelném
mojej biednej matki.... Z jakąż tęsknotą myśli moje
dążyły do ciebie!

— I ja tak myślałam. Tyś jednak nie rozumiał,
co znaczyła czerwona różyczka, wpleciona pomiędzy
białe kwiecie śmierci, gdyż nie byłbyś mnie tak unikał
po powrocie. Dotąd nie pojmuję przyczyny tego
unikania ani też powodu, dlaczego chciałeś odjeź-
dzać.

— Bom nigdy nie śmiał marzyć, abys mi chcia-
ła być wzajemną. Dopiero gdyś kazała mi do siebie
przyjść, przez pamięć na matkę, dowiedziałem się, że
mi sprzyjasz, że mogę mieć nadzieję pojąć za żonę
najzaciejszą z kobiet.

— Więc gdybym ci się sama nie narzuciła, nie
byłbyś raczył starać się o mnie?

— Masz tylu konkurentów...

— Ich się nie bierze przecież w rachubę. Wszyscy
prawie czekają tylko na to, żeby pochwycić wdowę
z majątkiem.

— To mnie właśnie powstrzymywało, owo „bo-
gata wdowa”; ja nie posiadam majątku, zalety tedy
byłyby bardzo nierówne. Wolałbym umrzeć z miłości
niż zostać posądzonym, szczególnie przez kobietę któ-
rą uwielbiam, o to, o co właśnie obwiniłaś cały hufiec
konkurentów.

— Nie byłabym zdolna posądzić cię o jakies
nizkie zamiary, Fryderyku....

— Zkąd ta ufność? Znasz mnie tak mało...

Zaczęliśmy badać się nawzajem. Po zapytaniu
„odkąd” się kochamy, nastąpiło „dlaczego?” Mnie
pociągnął do niego sposób w jaki wyrażał się o woj-
nie; co w cichości mego ducha myślałam i czułam, są-
dząc, że niema wojskowego, któryby podobnie myślał
a tém mniej jeszcze, któryby śmiał to wyrazić, on poj-
mował jaśniej, czuł silniej, wypowiadał otwarcie. Wi-
działam, że umysł jego wznosi się nad pojęcia spół-
czesne i to stanowiło, można powiedzieć, podstawę
mojej miłości dla niego. Oprócz tego znalazło się
wiele bardzo jeszcze powodów mojej miłości: miał tak

piękną, mężką postawę, głos jego brzmiał łagodnie a zarazem stanowczo, był wzorowym synem....

— A ty, dlaczego mnie kochasz? — zapytałam z kolei.

Popatrzył na mnie i odparł wolno:

— Kocham cię, Marto, dlatego że cię kocham.

*

*

*

Wprost z Prateru pojechałam do ojca.

Przewidywałam, że to co mam oznajmić wywoła nie mile uwagi, lecz chciałam tę nieuniknioną nieprzyjemność zbyć jaknajprędzej i stawić jej czoło pod pierwszym wrażeniem świeżo zdobytego szczęścia.

Ojciec siedział jeszcze przy śniadaniu nad dziennikami porannymi, wraz z ciotką Maryą, gdy weszła do jego gabinetu; oboje tak wczesnymi odwiedzinami zdziwili.

— Marta? Tak wcześnie? W amazonce — co to ma znaczyć? — zapytał ojciec.

Uściskałam go a siadłszy na fotelu odpowiedziałam:

— Przybywam oznajmić ważną wiadomość.

— I zapewne pilną jak widzę — zauważył ojciec. — Mów, jesteście ciekawi.

Czyż miałam rozwodzić się długo, zaczynać od wstępu i przygotowań? Nie, lepiej prosto z mostu.

— Jestem narzeczoną — rzekłam.

Ciotka załamała ręce, ojciec zmarszczył czoło.

— Spodziewam się przecież... — począł.

Nie pozwoliłam mu skończyć.

— Narzeczoną człowieka, którego całém sercem kocham, poważam i ufam, że on potrafi uczynić mnie zupełnie szczęśliwą — mówiłam; — moim narzeczonym jest baron Fryderyk Tilling.

Ojciec zerwał się z krzesła.

— Otóż macie... I to po tém wszystkiem, com ci wczoraj powiedział!

Ciotka kiwała głową.

— Wolałabym usłyszeć inne nazwisko; baron Tilling nie jest partją dla ciebie, to golec, zresztą jego zasady i pojęcia wydają mi się...

— Jego zasady i pojęcia najzupełniej zgadzają się z moimi, a powtóre nie potrzebuję szukać tak zwanéj „partyi”. Ojcie, mój najdroższy ojcie, nie mąć mi szczęścia, wszak ty mnie kochasz!

— Ależ dziecko moje — odezwał się ojciec nieco ulagodzony, — właśnie twoje szczęście mam na względzie; czyż będąc na twojem miejscu, mógłbym być szczęśliwym z wojskowym, który ciałem i duszą nie jest żołnierzem?

— Gdy pomyślę, żeś odmówiła księciu — westchnęła ciotka — a teraz, zamiast się wznosić, zstępujesz ze stanowiska towarzyskiego...

— Jacy wy niedobrzy jesteście oboje, a jednak mówicie, że mię kochacie! Przychodzę do was z wiadomością, że czuję się zupełnie szczęśliwą, a wy, zamiast się tém cieszyć, wynajdujecie różne żółcią zaprawne przyczyny...

W przeciągu pół godziny udało mi się przekonać moich staruszków; sądziłam, że ojciec będzie stawiał żywszy opór i prawdopodobnie, gdybym wystąpiła

tylko z oświadczeniem moich zamiarów i skłonności, byłby usiłował energicznie zamiary i skłonności owe przytłumić, ale wobec tego „faiit accompli” widział, że opór na nic się nie przyda. Może też przejednał go wpływ szczęścia przepelniającego me serce, jaśniejącego w mych oczach, drżącego w mym głosie.

Gdym wstała by go pożegnać, ucałował mnie serdecznie i obiecał przyjść wieczorem aby powitać przyszłego zięcia.

Na herbatę zebrało się u mnie kółko rodzinne; przedstawiłam Fryderyka von Tilling, jako mego narzeczonego.

Róża i Lili były zachwycone, Konrad Althaus wykrzyknął: „Brawo, Marto! Ty, Lili, bierz z nięj przykład!” Ojciec albo już zdołał przezwyciężyć poprzednią niechęć, lub ukrył ją przez miłość dla mnie, a ciotka Marya była wzruszona i uprzejma.

— Małżeństwa Bóg kojarzy — rzekła — każdy otrzymuje co mu przeznaczono. Przy błogosławieństwie Bożem będziecie szczęśliwi.

I mój Rudolf został przedstawiony przyszlemu „nowemu papie”; szczególnego uczucia, szczęścia i błogości doznawałam, gdy ten mój ukochany ujął go w ramiona, ucałował serdecznie i powiedział: „Z ciebie, chłopcze, zrobimy człowieka”.

W ciągu wieczora ojciec poruszył kwestyą opuszczenia służby:

— Tilling, porzucisz zawód wojskowy prawdopodobnie? Nie będąc zwolennikiem wojny...

Fryderyk podniósł głowę zdziwiony.

— Nie potrzeba być zwolennikiem wojny, aby spełniać służbę wojskową—odparł—podobnie jak...

— Wiem, wiem — przerwał ojciec — powiedziałeś to już onegdaj: podobnie jak strażak nie potrzebuje być zwolennikiem pożarów.

— Mogłbym więc zestawień przytoczyć: lekarz nie koniecznie ma być zwolennikiem raka i tyfusu, lub sędzie wielbicielem kradzieży. Ale zawód porzucić? Co mogłoby mnie skłonić do tego?

— Skłonić mogłaby chęć oszczędzenia żonie przykrości życia garnizonowego — zauważyła ciotka — i obawy w razie wojny... Chociaż obawa to nierozsądna; komu przeznaczono doczekać starości, ten żyje długo, pomimo wszelkich niebezpieczeństw.

— Najusilniejszych dołożę starań, by przyszłej mojej małżonce oszczędzić, o ile możności, wszelkich nieprzyjemności życia — rzekł Tilling; — większą jednak nieprzyjemnością niż życie garnizonowe byłby mąż bez zajęcia i zawodu. Obawa, iż moje wystąpienie z wojska mógłby ktokolwiek poczytać za lenistwo lub tchórzostwo, byłaby dla nięj bolesniejszą niż obawa wojny. Nie myślałem o tém nigdy, spodziewam się, że i pani Marta również?

— A gdybym postawiła to za warunek?...

— Nie uczynisz tego. Pani jesteś bogatą, ja nie nie posiadam prócz stopnia wojskowego i widoków przyszłego awansu — tego dziedzictwa nie wyrzeknę się; sprzeciwia się to wszelkiej godności i moim pojęciom o honorze.

— Brawo! mój synu... teraz pogodziliśmy się zupełnie; grzechem byłoby porzucić karierę. Nie za długo pewnie zostaniesz pułkownikiem i dojdiesz bezwątpienia do rangi generała; ostatecznie możesz zostać komendantem twierdzy, gubernatorem albo ministrem wojny.

Milezałam. Nie chodziło mi bynajmniej o tytuł pani komendantowej; najmiliej byłoby mi spędzić życie w wiejskim ustroniu, przy boku ukochanego męża; lecz pomimo to, podobały mi się myśli, jakie wypowiadał Fryderyk; obraniały go one od skazy podejrzenia, jakie wyraziłbył ojciec i jakie z pewnością potwierdziłby także świat.

— Tak, pogodziliśmy się zupełnie — ciągnął dalej ojciec. — Bo, prawdę powiedziawszy, sądziłem, że głównie o to ci chodzi... Nie spoglądaj na mnie tak gniewnie, chciałem powiedzieć, że przez ożenienie będziesz mógł powrócić do życia prywatnego, lecz postąpiłbyś bardzo niewłaściwie, nawet względem Marty; ona jest przecie dzieckiem żołnierza, wdową po żołnierzu i nie mogę uwierzyć, aby mogła pokochać jakiego cywilistę.

Tilling uśmiechnął się, rzucił na mnie spojrzenie, które mówiło wyraźnie: „znam cię lepiej”, lecz głośno odpowiedział:

— I ja tak myślę.

*

*

*

We wrześniu tegoż samego roku odbył się nasz ślub. Fryderyk uzyskał dwumiesięczny urlop na od-

bycie poślubnej podróży; pierwszym naszym etapem był Berlin. Wyraziłam życzenie złożenia wieńca na grobie matki Fryderyka i rozpoczęcia podróży tą właśnie pielgrzymką.

Pierwszą wizytę w Berlinie, po bytności na cmentarzu, złożyliśmy siostrze nieboszki; poznawszy przymioty serca i wykształcony umysł téj kobiety, mogłam wnosić jak godną kochania i niepospolitą musiała być matka Fryderyka, jeżeli podobną była do pani Kornelii von Tessow. Ta ostatnia była wdową po generale pruskim i matką jedyne go syna, który wtedy właśnie został porucznikiem.

Nie spotkałam w życiu piękniejszego młodzieńca jak Gotfryd Tessow. Wzruszającym było wzajemne przywiązanie matki i syna. Widząc jak pani Kornelia dumna była z Gotfryda, jaką miłością on ją otaczał, cieszyłam się w myśli nadzieją tych czasów, kiedy mój Rudolf dorośnie. Jednego tylko zrozumieć nie mogłam i powiedziałam to Fryderykowi:

— Jak może pozwolić na to matka, by jedyne jej dziecko obrało zawód tak niebezpieczny jak służba wojskowa?

— Dlatego, kochanie — odpowiedział Fryderyk — że są myśli, które nikomu nie przychodzą do głowy, względy, których nikt nie przypuszcza. Do takich należy niebezpieczeństwo zawodu wojskowego; myśli podobnej nigdy się nie przypuszcza, według mniemania powszechnego, tchórzostwem jest przewidywać coś podobnego: z niebezpieczeństwa zawsze wyjdziemy cało a ofiarą śmierci padną inni. Człowieka każdego śmierć czeka, a przecież nikt o śmierci nie myśli!

Zresztą, czy może być dla pruskiego szlachcica stanowisko więcej stosowne niż oficera kawalerii?

O ile mi się zdaje, podobałam się także ciotce Kornelii.

— Ach — szepnęła raz — że też moja biedna siostra nie doczekała téj radości... Posiadać taką synowicę, widzieć Fryderyka szczęśliwym, byłoby to ziszczenie najgorętszych jéj życzeń! Marzyła zawsze, żeby się ożenił, ale on miał tak wielkie wymagania...

— Nie tak bardzo wielkie, cioteczko, jeżeli zadowolnił się moją osobą...

— Wyciągasz mnie na komplement. Chciałabym, żeby Gotfryd mógł taki sam los wygrać, ale będę musiała pewnie długo czekać: on ma dopiero lat dwadzieścia.

— Nie jedną pannę głowę już zawrócił, i nie jedno serce złamał...—rzekłam żartobliwie.

— Mylisz się: niema lepszego i uczciwszego chłopca! Żona jego będzie bardzo szczęśliwą.

— Jak żona Fryderyka?

— Za lat dziesięć dopiero możemy o tém mówić; w pierwszych tygodniach poślubnych wszystkie małżeństwa są szczęśliwe; lecz nie wyrażam wątpliwości co do mego siostrzeńca i co do ciebie, jestem nawet przekonana, że szczęście wasze będzie trwałem.

Z Berlina udaliśmy się do miejsc kąpielowych; z wyjątkiem krótkiej podróży do Włoch z Arnoldem, po której zostało mi tylko niewyraźne wspomnienie, nigdzie z domu nie wyjeżdżałam. Poznawanie świata,

ludzi, zwyczajów sprawiało mi wielką przyjemność; gdyby nie Rudolfek, którego zostawiłam w domu, byłabym proponowała Fryderykowi, żebyśmy odbyli podróż na około ziemi. Fryderyk na podobną propozycję prawdopodobnie by odpowiedział, że urlop jego ma trwać tylko dwa miesiące, oraz wyszukałby inne powody odmowy.

Dopiero w podróży zauważyłam, że Fryderyk znał doskonale język francuzki i angielski; to podniosło mój szacunek dla niego jeszcze o jeden stopień. Coraz nowe odkrywałam w nim przymioty: łagodność, wesołość, wrażliwość na wszelkie piękno. Podróż po Renie zachwyciła go, w teatrze lub w sali koncertowej, słuchając znakomitej gry artystów, widziałam jak oczy jego świeciły blaskiem doznawanej przyjemności.

Dwa miesiące ubiegły szybko, Fryderyk prosił o przedłużenie urlopu, lecz odmowną dostał odpowiedź. Było to pierwsze zmartwienie od chwili mego zamażpójścia, gdy nadszedł ów papier urzędowy, w suchych słowach nakazujący nam powrót.

— I to ludzie nazywają wolnością! — zawołałam rzucając na stół rozkaz.

Fryderyk uśmiechnął się.

— Ja bynajmniej nie wyobrażam sobie, żebym był wolny, moja królowo.

— Gdybym była twoją królową, mogłabym ci rozkazać, żebyś pożegnał zawód wojskowy i mojej służbie poświęcił się jedynie.

— W téj kwestyi porozumieliśmy się już...

— I, niestety! musiałam się poddać twój woli; to nie dowodzi wcale, żebyś był moim niewolnikiem, mój kochany, dumny *panie!*

*

*

*

Powróciwszy z podróży, udaliśmy się do małego miasteczka w Morawii, gdzie pułk Fryderyka stał załogą; była to twierdza Ołomuniec. O życiu towarzyskiem nie można było myśleć, żyliśmy więc w zupełnym odosobnieniu. Poza godzinami, które poświęcaliśmy służbie, on, jako podpułkownik, swym dragonom, ja, jako matka, Rudolfkowi, oddani byliśmy sobie wyłącznie. Z żonami kolegów męża zamieniłyśmy ceremonialne wizyty, lecz nie zawiązywałam bliższych stosunków; nie miałam najmniejszej ochoty słuchać plotek miejskich i historyj o służących. Fryderyk również unikał karcianych zebrań u pułkownika i bankietów oficerskich.

Mieliśmy zajęcie stokroć szlachetniejsze; świat w którym obracaliśmy się, zasiadłszy wieczorem przy wrzącym samowarze, był o całe niebo odległy od świata w jakim przebywało towarzystwo ołomunieckie. „O całe niebo” — w dosłownym znaczeniu, bo z wielkim upodobaniem zwracaliśmy się w naszych umysłowych wycieczkach do firmamentu; czytaliśmy razem dzieła naukowe, oznajmujące z cudami wszechświata, przebiegaliśmy głębokości ziemi i niebieskie przestrzenie, wnikaliśmy w tajemnice mikroskopijnego świata, a im potężniej roztaczał się przed naszymi oczami

majestat przyrody, témbardziej karłały rozmiary koła, w jakim kurczyły się sprawy ołomunieckie. Nie ograniczaliśmy się wszakże na wiadomościach przyrodniczych, lecz obejmowaliśmy i inne gałęzie wiedzy, nie pomijając nawet dzieł poetów i powieściopisarzy; w ten sposób wieczorne czytania stały się prawdziwą ucztą duchową.

Stosunek Fryderyka z Rudolfkiem był dla mnie przedmiotem zachwytu; ojczym kochał pasierba bardzo, bawił się z nim, figlował, sprawiał coraz nowe niespodzianki. Fryderyk utrzymywał wprawdzie, że nie był z natury szczególnym miłośnikiem dzieci, lecz malec był synem jego Marty, a nadto miłym i serdecznym dzieckiem. Często snuliśmy projekta co do jego przyszłości: na żołnierza się nie zda, więc do naszego planu wychowawczego nie wchodziły ćwiczenia militarne; najprawdopodobniej zostanie ziemianinem. Dla przyszłego dziedzica majoratu Datzkych, który przypadał nań po śmierci stryja Arnolda, znajomość tego zawodu jest konieczną.

Na Boże Narodzenie wybraliśmy się do Wiednia, żeby spędzić święta w kółku rodzinnym; ojciec pogodził się najzupełniej z moim mężem. Ponieważ Fryderyk nie chciał porzucić służby wojskowej, wszystkie wątpliwości i dawniejsze podejrzenia zostały rozwiązane. A jednak ojciec i ciotka utrzymywali po cichu, że się minęła ta świetna karyera; jedynie widok szczęścia mego przejednał ich dla Fryderyka.

Wigilią spędziliśmy wesoło; zapalono wielką choinę i wymienialiśmy wzajem podarunki. Królem uroczystości, najobficiej obdarowanym, był naturalnie

mój Rudolf; o nikim jednak nie zapomniano: Fryderyk otrzymał odemnie przedmiot, na widok którego nie zdołał powstrzymać okrzyku radości. Był to srebrny przycisk, wyobrażający tarczę herbową, na której wyryć kazałam słowa: „Najszlachetniejszemu z mężów, najszczerzej przywiązana żona.”

Mój pan podziękował mi za to gorącym uściskiem...

W pierwsze święto Bożego Narodzenia cała rodzina zebrała się na obiad u ojca; z obcych byli tylko jego ekscelecya minister, którego z powodu przysłówia nazywaliśmy „Bez wątpienia”, i doktor Bresser. Gdyśmy siedzieli u stołu, żywo stanął mi w pamięci ów wieczór, podczas którego uświadomiła nam się nasza miłość. Doktorowi przyszło na myśl to samo, bo zapytał mnie:

— Czy przypominasz sobie pani, pewien wieczór... Było nas czworo: ja grałem w piketę z ojcem pani, a tam, przy kominku, gwarzyli dzisiejsi baronostwo Tilling. Zdawało się wam zapewne, że gra pochłonęła całą moją uwagę, jednak obserwowałem was uważnie i, nie wiem dlaczego powziąłem przekonanie, że się pobrać musicie. Teraz, gdy znów was obserwuję, widzę z radością, że jesteście i pozostaniecie szczęśliwem małżeństwem.

— Podziwiam pańską domyślność, doktorze. Tak, jesteśmy szczęśliwi, ale przyszłość nie od nas zależy... Nad każdym szczęściem unosi się niebezpieczeństwo...

— Czego się pani obawiasz?

— Śmierci.

— Młodym i zdrowym ludziom, jak państwo, ona nie zagraża.

— Co pomoże żołnierzowi młodość i zdrowie?

— Oddał podobne myśli, kochana baronowo, nie mamy na widoku żadnej wojny. Czy nie prawda, ekscelecycjo, że obecnie horyzont polityczny jest zupełnie pogodny?

— Przeciwnie — odparł minister — zasnuwa go czarna, ciężka chmura.

— Co pan przez to rozumiesz? — zawołałam żywo a dreszcz niepokoju wstrząsnął mną nagle.

— Dania zanafto sobie pozwala...

— Dania! — powtórzyłam odetchnawszy. — Więc chmura ta nam nie grozi? W każdym razie przykro słyszeć, że gdziekolwiek bić się będą; ponieważ walczyć mają duńczycy nie austriacy, budzi to we mnie społeczenie nie obawę.

— Nie potrzebujesz się obawiać, chociażby i austriacy brali udział w wojnie — zauważył ojciec. — Bronić praw Szlezwigo-Holsztynu przeciw przemocy duńczyków, nie nie ryzykujemy. Nie idzie tu o terytorium austriackie, którego utratę mogłoby spowodować niepomysłna wojna...

— Gdyby wojska nasze iść musiały na wojnę, nie myślałabym o podobnych rzeczach, jak terytorium austriackie, szlezwigo-holsztyńskie pretensje i przemoc duńska! Zajmowałoby mnie wtedy niebezpieczeństwo grożące życiu naszych najdroższych; a ono pozostaje równie wielkiem, czy wojna toczy się z tego, czy z innego powodu.

— Losy jednostek nie wchodzi w rachubę, moje dziecko, gdy idzie o sprawy dziejowej doniosłości — począł ojciec, a wpadłszy na ulubiony temat zaczął go, swoim zwyczajem, nicować na wszystkie strony.

Fryderyk nie brał udziału w tej rozmowie, zajęty był żywą i wesołą dysputą z Lili. Spojrzawszy na niego, uczulam nagle jakiś ból w piersi; wojna... on, mój jedyny, musiałby pójść... mógłby zostać kaleką, być zabitym...

— Powiedz nam, pan — zwróciłam się głośno do ministra — czy położenie rzeczywiście tak groźne? Czy wy, ministrowie i dyplomaci, nie potraficie zapobiedz wybuchowi wojny, tej niszczytelce szczęścia ludzkiego?

— Utrzymanie wieczystego pokoju, przyznaję, zadań ludzkości, bezwątpienia należy do najszczytniejszych ale jest ono dzisiaj mrzonką. Obowiązkiem naszym jest czuwać nad interesami naszych państw i dynastyj, przeciwdziałać niebezpieczeństwom zagrażającym ich potędze, wreszcie strzedz gorliwie honoru państwa.

— Jednym słowem — przerwałam — macie postępować według takiej zasady wojennej: nieprzyjacielowi, a jest nim każde obce państwo, szkodzić o ile się da; uparcie obstawać przy tém, że się ma racją, choćbyśmy widzieli, że jej nie mamy wcale, nieprawdaż?

— Bezwątpienia.

— Choćbyśmy przez swój upór niesprawiedliwy wywołali szereg bitew a raczej morderstw? To niegodziwość!

— Hm... to jedyne wyjście baronowo. Jakże rozstrzygnąć inaczej spór międzynarodowy?

— A jak rozstrzygają się sprawy pomiędzy ludźmi rozsądnymi i słusznymi?

— Przed trybunałem, ale narody nie podlegają mocy trybunałów.

— Tak samo jak dzieci — odezwał się doktor. — Zatem narody w stosunkach swych są jeszcze nieucywilizowane i wiele czasu upłynie nim dojdą do tego, że ustanowią międzynarodowy sąd polubowny.

— Do tego nigdy nie przyjdzie! — rzekł ojciec. — Są rzeczy, które dają się jedynie wywalczyć, okupić krwią... Chociażby ustanowiono taki sąd polubowny, silne rządy nie poddałyby się jego wyrokom, podobnie jak człowiek honoru otrzymanej obelgi nie zanieśnie do rozpatrzenia sądu ale stanie na placu i rozprawi się pierś w pierś z przeciwnikiem.

— Pojedynki są równie zwyczajem barbarzyńskim.

— Nie zmienisz go jednak, doktorze.

— Lecz bronić także nie będę.

— A ty, Fryderyku, co mówisz na to? — zwrócił się ojciec do mego męża. — Czy, otrzymawszy policzek, należy iść do sądu i żądać pięć florenów odszkodowania?

— Nigdy!

— Wyzwalbyś obrażającego?

— Ma się rozumieć.

— Widzisz, doktorze, widzisz Marto! — mówił ucieszony ojciec. — Słyszeliście? nawet Tilling, który przecież nie jest zwolennikiem wojny, przyznaje rację bytu pojedynek.

— Tego nie powiedziałem. Mówiłem, że zmuszony pojedyńkowałbym się—jak to już zresztą nieraz czyniłem; jak poszedłem kilkakrotnie na wojnę i jak pójdę jeszcze przy pierwszej zdarzonej sposobności. Stosuję się do ustaw honoru, lecz to nieznaczy, żeby ustawy te odpowiadały mojemu ideałowi obyczajowemu. Z czasem zmieni się i pojęcie o honorze: otrzymana niesłusznie zniewaga nie będzie plamieć znieważonego lecz znieważyciela.

Spór ciągnął się dość długo; z zachwytem słuchałam Fryderyka, z jakim przekonaniem, jak śmiało bronił swoich poglądów; jego dowody były tak jasne, zestawienia tak trafne i dosadne, że tylko niechęć na rzeczy patrzeć zdrowo mogli im zarzucić przesadę. A do takich należy mój ojciec i jemu podobni...

KSIEGA TRZECIA.

R. 1864.

Bawiliśmy w Wiedniu jeszcze dwa tygodnie. Nie były to dla mnie wesołe czasy. Zapowiedź wojny, o której pisały wszystkie dzienniki, stała się wtedy przedmiotem wszystkich rozmów, odebrała mi spokój. Mąż mój, który z dniem każdym stawał mi się droższym, mógł być powołany na plac boju, narażony na niebezpieczeństwo, na śmierć może... Zostając pod wpływem obawy, nie mogłam mieć humoru, swobodnej myśli. Wypadków choroby, śmierci, pożarów i powodzi — klęsk wyrządzanych przez przyrodę, mamy także wiele, lecz przywykliśmy nie myśleć o nich; są one zresztą koniecznością; po co więc stwarzają sobie ludzie samoświadomość klęski, poco wstrząsają, za pobudką resztek barbarzyńskich poglądów, i tak już chwiejnym gmachem ziemskiego szczęścia?

Ludzie przywykli uważać wojnę za zjawisko niezależne od ich woli, jak trzęsienia ziemi i powódź, dlatego jaknajmniej o niej myślą; ja nie umiałam się pogodzić z takim zapatrywaniem. Cóż nas obchodzi Szlezwig, Holsztyn i duńska konstytucya? Co nam do tego, czy „traktat książęcy” znosi lub zatwierdza ustawy z 13 listopada 1863? Ale we wszystkich dziennikach i rozmowach roztrząsano tę kwestyą, jakby coś niesłychanie ważnego, coś co ma świat przeistoczyć. Wobec zajęcia się tą w rzeczywistości bańką mydlaną, nikt nie śmiał postawić zapytania: „Czy nasi mężowie i synowie powinni ginąć lub nie”?

Chwilowo tylko skłaniałam się do zapatrywań ogólnych; było to wtenczas, gdy pojęcie obowiązku żywo stawało mi w myśli. Tak, należymy do związku niemieckiego i wspólnie ze sprzymierzonymi powinniśmy walczyć za prawa uciśnionych spółbraci niemieckich. Wniosek ten łagodził cokolwiek moję nienawiść wojny. Gdybym jednak mogła przewidzieć, jak we dwa lata potem to braterstwo niemieckie zmieniło się w zjadłą nieprzyjaźń; jak wtedy rozniecano w Austrii zawiść do prusaków, zapamiętałaj niż obecnie nienawiść do duńczyków, byłabym wówczas się już przekonała, że powody, któremi usprawiedliwiają wszelkie wojny, są czczemi frazesami i wybiegiem.

Wigilią Nowego Roku przepędziliśmy znów u ojca. O północy ojciec do góry podniósł szklanke ponczu i przemówił uroczysto:

— Niechaj wyprawa, która nas czeka w rozpoczynającym się roku, okryje sławą naszą armię!...

Słyszając to postawiłam swoją szklanke i dopiero wtedy ją podniosłam, gdy ojciec, kończąc toast, rzekł:

— I niechaj los oszczędzi naszych ukochanych.

Kiedy powróciliśmy do hotelu, rzuciłam się Fryderykowi na szyję.

— Mój jedyny, mój Fryderyku! — zawołałam.

— Co tobie, Marto? — zapytał łagodnie. — Płaczesz... dziś, przy Nowym Roku? Dlaczego rok 1864 łzami witasz? Czy nie jesteś szczęśliwą? Może sprawiłem ci jaką przykrość?

— Ty? O nie, nie! zanadto mnie uczyniłeś szczęśliwą i dlatego obawiam się...

— A! żoneczko moja przesadna, wierzy zapewne w zawistne bogi, które niweczą każdą chwilę szczęścia ludzkiego?

— Nie bogi lecz ludzie nierozumni ściągają na głowy własne łzy i rozpacz.

— Masz na myśli przypuszczalną wojnę? Jeszcze nie postanowiono, po cóż smucić się przedwcześnie? Kto wie, czy przyjdzie do starcia, czy ja pójsć będę zmuszony?... Chodź, żoneczko, siądźmy; nie trwój łez twych dla przypuszczeń.

— I przypuszczenie może być bolesném. Gdyby to była już pewność, Fryderyku, nie siedziałabym tak spokojnie obok ciebie, ale krzyczałabym, jęczała... Samo przypuszczenie, samo prawdopodobieństwo, że w tym roku może mi cię wydrzeć rozkaz wojenny, wystarcza, by pogrążyć mnie w rozpacz.

— Nie myślmy o straszném „co być może”, droga Marto, cieszymy się życiem, miłością spólną, odrzućmy z przed oczu złowrogię obrazy.

— Mówisz, Fryderyku, jakby los nasz zawisł nie od nieopatrzności, okrucieństwa i przesądów naszych własnych spółbraci. Powiedz na czém polega konieczność tej wojny z Danią?

— Wojna nie rozpoczęła się jeszcze...

— Wszak mi się wolno na mój nierozsądek uskarżać? Dopomóż mi w tém Fryderyku, nie pocieszaj mnie darmo jałowemi wykretami, ty sam im nie wierzysz, sam czujesz do nich odrazę. Szczerze, prawdziwie mnie pocieszysz, jeżeli potępisz zwyczaj barbarzyński, jeżeli zapłaczesz nad tém, co mnie i tysiące innych unieszczęśliwić może.

— Dobrze, mój skarbie; gdy nadejdzie ta fatalność, spełnię twe żądanie; nie będę ukrywał nienawiści i wstępu, jakim mnie przejmują nakazane morderstwo ludzi... Ale dziś nie poddawajmy się rozpacz, może też dobry Bóg odwróci groźną, krwawą klęskę...

Długo jeszcze Fryderyk uspakajał mnie, jak mógł nasuwał wątpliwości co do zapowiedzianej wojny a jego łagodne, przekonujące słowa wlewały balsam do rozżalonej duszy.

*

*

*

Do Ołomuńca powróciliśmy 10 stycznia.

Wojna wisiała na włosku; w Wiedniu słyszałam jeszcze głosy utrzymujące, że kwestya duńsko-hol-

sztyńska może się rozstrzygnąć na drodze dyplomatycznej, lecz w kołach wojskowych naszej załogi fortecznej wyłączano wszelką możliwość pokoju. Usposobienie było w ogóle radosne: widoki odznaczenia się, awansu zajmowały wszystkich; jedni marzyli o idealnej sławie, inni mieli na uwadze li tylko materialne względy.

— Będzie to wojna jakich mało! — mówił pułkownik, gdyśmy u niego wraz z innymi oficerami i ich żonami byli na obiedzie. — Naszemu terytorium nie grozi niebezpieczeństwo, naród żadnych klęsk nie poniesie, bo teatrem wojny będą cudze obszary. W takich okolicznościach można walczyć z podwójną przyjemnością.

— A mnie — odezwał się młody porucznik — zachwyca szlachetna idea: obrona uciśnionych braci naszych. Prusacy z nami idą, albo raczej my z nimi, to zapewnia zwycięstwo i zacieśni węzły związku narodowego. Idea jedności narodowej...

— Nie mów pan lepiej o niej — przerwał pułkownik z pewną surowością. — Nie przystoi austriakowi to bałamuctwo. Ono wywołało wojnę w 59 roku; wszak na tym koniku jeździł Ludwik Napoleon żądając „Włoch dla włosków”? To zasada nie dla Austrii: czesi, węgry, niemcy, kroaci — gdzież tu jedność narodowa? Znamy jedną tylko zasadę, która nas wszystkich jednoczy, a tą jest: przywiązanie do panującej dynastji. Ta okoliczność, że idziemy walczyć z Niemcami i dla Niemców nie powinna nas zachwycać.

Lecz serce moje zapłonęło tylko na chwilę, bo na dnie jego spoczywało uczucie silniejsze niż wszelkie

interesy polityczne — przywiązanie do męża. Życie jego było mojem najwyższym szczęściem; kiedy ono miało być narażone, mogłam tylko przeklinać wojnę, bez względu na to, czy chodzi o Szlezwig i Holsztyn, czy o Japonię.

Dni następne przepędziłam w niesłychanej trwodze: 16 stycznia państwa związku wystosowały do Danii żądanie, aby w przeciągu dwudziestu czterech godzin zniosła prawo, przeciw któremu holsztyńskie stany i rycerstwo wzywają opieki związku. Dania odmówiła. Odmowa była przewidziana; wojska pruskie i austriackie już stały nad granicą i 1 lutego przekroczyły Ejderę.

Krwawa zabawka rozpoczęła się; z tego powodu ojciec napisał do nas list pełen uniesień radosnych.

„Cieszcie się, dzieci! — były słowa listu. — Zdarza się nam sposobność naprawić cieżgi otrzymane w 59 roku, zwracając je duńczykom. Gdy zwycięzko powrócimy z północy, będziemy mogli pomyśleć o włochach; prusacy pozostaną naszymi sprzymierzeńcami, wtedy odwetujemy na amatorach makaronu doznana klęskę; nie pomogą im nawet intrygi Ludwika Napoleona”.

Ku wielkiemu niezadowoleniu oficerów, pułk Fryderyka nie został wysłany ku granicy. To wywołało znów ojcowską kondolencję:

„Szczerze żałuję, — pisał — że Tilling, służy w pułku, który nie został powołany do rozpoczęcia wojny, zapowiadającej się tak pomyślnie; pozostaje wprawdzie jeszcze nadzieja, że powołają go później.

Marcie, naturalnie, przypada to do gustu; cieszy ją niezawodnie, że nie potrzebuje się obawiać o męża a i Fryderyk, przyznać trzeba, nie jest przyjacielem wojny; lecz sądzę, że on ją potępia tylko z zasady, to jest, wołałby z tak zwanych humanitarnych względów, żeby do wojny nie przyszło; ale gdy ją już mamy, chciałby pewnie wziąć w nią udział, bo to schlebia dzielności męskiej. Powinnoby się zawsze wysyłać całą armię na nieprzyjaciela; zbyt przykro żołnierzowi pozostawać w takim razie w domu”.

— Fryderyku mój, czy tobie przykro pozostać przy mnie? — zapytałam, przeczytawszy list.

Przycisnął mnie do serca; ta milcząca odpowiedź była wystarczającą.

A jednak pomimo szczęśliwych warunków nie byłam spokojną; wszak lada dzień mógł nadejść rozkaz wymarszu. Oby ta nieszczęsna wojna jaknajprędzej się skończyła... Gorliwie czytywałam sprawozdania z placu boju i pragnęłam gorąco, by związkowi szybkie, stanowcze odnieśli zwycięstwa. Przyznaję, że to życzenie było niepatryotyczne. Jeżeli pragnęłam zwycięstwa dla wojsk naszych, to jedynie z pobudek czysto osobistych, z obawy, aby powodzenie strony przeciwniej nie powołało na plac boju Fryderyka. Cóż mogło mnie obchodzić, czy Szlezwig należy do Danii lub nie? Wreszcie cóż to obchodziło samych duńczyków i holsztynów? Czyż nie pojmowały oba te narody, że to ich kierownicy kłócą się o posiadanie władzy, że w tym wypadku nie chodzi im bynajmniej o ich dobro lub krzywdę, lecz o zachcianki traktatu

książęcego i Augustenburga? — „Dania do Ejdery!”, wołają duńscy patryoci. „Chcemy mieć księciem Fryderyka Augustenburskiego!”, krzyczą lojalni holsztyni. Artykuły naszych dzienników i rozmowy polityków naszych były naturalnie prześiknięte zasadą, że sprawa, za którą „my” walczymy, jest sprawiedliwszą, z rozwoju historycznego wynikającą i niezbędnie potrzebna dla utrzymania „równowagi europejskiej”. W Kopenhadze zaś, w artykułach wstępnych i w rozmowach politycznych, broniono oczywiście z równą dobitnością zasady przeciwniej. Dlaczego nie rozważyć raczej obustronnych praw, ku porozumieniu wzajemnemu, a gdy to się nie uda, wezwać na sędziego polubownego trzecie państwo? Dlaczego zawsze krzyczeć tylko obustronnie: „Ja, ja mam słuszość”! I to nazywają „polityką zewnętrzną”! Jest to zewnętrzna i wewnętrzna dzikość, międzynarodowe barbarzyństwo...

* *

*

Z placu boju nadchodziły dobre wiadomości; związkowi zwyciężali nieustannie. Po pierwszych starciach duńczycy musieli ustąpić; Szlezvig i Jutlandy aż do Limfiordu zajęli nasi, a nieprzyjaciół trzymał się tylko w szanцах Düppelu i na Alzen.

Wiedziałam wszystko dokładnie, bo na stołach znów się pojawiły szpilkami najeżone mapy, na któ-

rych, w miarę nadchodzących wiadomości, oznaczało się poruszenia i stanowiska wojsk.

— Jeżeli teraz weźmiemy jeszcze szançe Düppelu, albo zdobędziemy Alzen — mówili obywatele ołomuńscy (bo nikt nie rozprawia tak chętnie o czynach wojennych per „my” jak ci, którzy nigdy nie byli na wojnie) — wojna się skończy... Teraz pokazali austriacy co umieli! I prusacy biją się doskonale. Rezultat będzie taki, że zdobędziemy całą Danię i przyłączymy ją do związku; chlubną to i szczęśliwa wojna!

Ja także z całego serca pragnęłam zdobycia Düppelu; im rychlej, tém lepiej, zwrot ten byłby decydujący, położyłby kres wojnie. Spodziewałam się, że wtedy wszystko skończyłoby się, zanim pułk Fryderyka otrzyma rozkaz wymarszu.

Wreszcie 14 kwietnia zdobyto szançe Düppelu.

Wiadomość wywołała taką radość, jakby za owe mi szanćami znajdował się raj ziemski. Ścisniano się na ulicach: „Wiedzą już? Düppel... Dzielne nasze wojsko”! We wszystkich kościołach odśpiewano *Te Deum*, a kapelmistrze zabrali się gorliwie do komponowania; jak z rogu obfitości posypały się: marsze „Na szançe Düppelu”, galopady „Atak na Düppel” i t. p.

Tylko koledzy mego męża i ich żony znajdowali ziarnka goryczy w kielichu radości: nie być tam, nie uczestniczyć w takim tryumfie — to prawdziwe nieszczeście!

Zwycięztwo sprawiło mi wielką radość; zaraz po niem nastąpiła konferencya w Londynie i wyjednała

zawieszenie broni. Jakąż ulgę przynosi to słowo „Zawieszenie broni”!... Pomyślałam wtedy raz pierwszy: jak swobodnie odetchnąłby świat cały, gdyby wszędzie zabrzmiało: „Złóżmy broń — złóżmy ją na wieki!” Zapisałam te słowo w czerwonym zeszytce, lecz obok w nawiasie dodałam trwożliwie: „Marzenie”!

Według mego mniemania nie ulegało żadnej wątpliwości, że kongres londyński położy kres wojnie; związkowi zwyciężyli, szance Düppel były zdobyte a te szance grały tak wielką rolę w ostatnich czasach, że zdobycie ich wydawało się ostatecznym rozstrzygnięciem politycznego sporu.

Ale układy ciągnęły się nieskończenie; czyżby Dania jeszcze się zamierzała bronić? Układy byłyby dla mnie prawdziwą torturą, gdybym od początku nie była przekonaną, że wynik ich będzie zadawalniający. Skoro przedstawiciele państw potężnych, a przytem rozumni i dobrze myślący ludzie, łączą się, aby osiągnąć cel tak pożądanym jak zawarcie pokoju, jakżeby to mogło im się nie udać? Tem straszniejszego doznałam zawodu, gdy po dwumiesięcznych rozprawach nadeszła wiadomość, że kongres, nic nie zrobiwszy, rozwiązał się.

We dwa dni później nadszedł rozkaz wymarszu dla Fryderyka.

Na przygotowanie się i pożegnanie miał dwadzieścia cztery godziny tylko.

Było to 20 czerwca zrana; wszystkie szczegóły tego pamiętnego dnia wyryły się w mojej pamięci. Na dworze panował nieznośny upał. W moim pokoju

okna zasłonięte były roletami; w lekkiej sukni leżałam na szezlongu, sennie rozmarzenie przymykało mi powieki. Obok, na stoliczku, stał wazon z bukietem róż silnie woniejących; przez otwarte okno płynęły dźwięki odległych ćwiczeń na trąbce. Wszystko to działało usypiająco; nie zupełnie wszakże straciłam świadomość. Byłam na wpół uspioną — zapomniałam o mych troskach, o niebezpieczeństwach wojny; wiedziałam tylko, że żyję, że róże upajającą woń roznoszą, że mąż lada chwila wejść może, a widząc mnie uspioną zbliży się cicho, aby nie obudzić. I rzeczywiście: za chwilę otworzyły się drzwi przeciwnie; nie podnosząc powiek, przez wąską szparkę między rzęsami zobaczyłam, że to był on. Nie próbowałam wyrwać się z rozmarzenia, to mogło rozproszyć widziadło, bo może postać pojawiająca się we drzwiach była sennym zjawiskiem... Przymknęłam powieki i zdawało mi się, że najdroższy mój zbliża się, że pochyła nademną, całuje mnie w czoło...

Spełniło się wszystko; ukląkł potem przy mnie, przez chwilę wpatrywał się nieruchomie w twarz moją.

— Śpisz, Marto? — usłyszałam ciche zapytanie.

Otworzyłam oczy.

— Co się stało? — zawołałam nagle przerażona śmiertelnie, bo na twarzy klęczącego obok mnie małżonka wyryta była bolesć głębołą.

Zamiast odpowiedzi pochylił głowę.

Domysliłam się wszystkiego: musi mnie opuścić.

— Kiedy? — zapytałam wreszcie wychodząc z odrętwienia.

— Jutro o świcie.

— O Boże mój, Boże!!

— Uspokój się, moja biedna Marto...

— Pozwól mi płakać... Nieszczęście moje zbyt wielkie; wiem, widzę to po twojej twarzy, że i ty czujesz się równie nieszczęśliwym.

— Tak, żono, jestem nieszczęśliwy — szepnął głosem w którym brzmiał płacz niemal.

— Fryderyku, Fryderyku! — krzyknęłam tracąc przytomność.

*

*

*

Powtórnie w życiu rozstawałam się z mężem idącym na wojnę, lecz to drugie rozstanie było bez porównania cięższe. Wówczas moje, a szczególnie Arnolda pojęcia, były inne, pierwotniejsze: ja uważałam wyprawę wojenną jako konieczność przyrodzoną, wyższą nad wszelkie uczucia osobiste — on zaś jako radosną i pełną chwały wycieczkę; on szedł z zapałem, ja zostawałam bez szemrania. Istniało jeszcze wtedy w mój duszy coś z tego uwielbienia wojennego, jakie wpoilo wychowanie; odczuwałam jeszcze coś z tej dumy jaka wobec wielkiego przedsięwzięcia napędlia serce wojownika. Ale teraz wiedziałam, że ukochany mój szedł ze wstrętem do morderczego zadania; wiedziałam, że życie, które narażać musiał, było dla niego drogiem, że nad wszystko, nawet nad prawa Augustenburga, droższą mu była żona. O Arnoldzie byłam

przekonaną, że szedł pod wpływem uczuć, których można mu było zazdrościć; teraz wiedziałam, że oboje jesteśmy godni litości.

Tak, cierpieliśmy zarówno i wypowiadaliśmy to sobie bez obłudy, bez błachych słów pociechy, bez chępliwości. Taka jednomysłność panowała między nami, że nie staraliśmy się okłamywać nawzajem. Jedyną pociechą naszą było, że każde z nas wiedziało, iż drugie pojmuje jego rozpacz. Wielkości nieszczęścia, które na nas spadło, nie staraliśmy się osłaniać żadnym z konwencyonalnych, patryotycznych lub bohaterskich płaszczyków; nadzieja wystrzelania i wyrąbania duńczyków nie spółzawodniczyła z bolem rozstania, zastrzała go raczej, bo zabijać i burzyć sprzeciwia się pojęciom szlachetnego człowieka. Dla mnie nadzieja awansu nie była zadośćuczynieniem za doznane cierpienia, a w razie gdyby Fryderyk zginął, powody polityczne, dla których prowadzono tę wojnę, nie byłyby dla mnie tak świętymi, aby mogły zrównoważyć śmierć jego.

O dziesiątej zrana miał pułk wyruszyć; całą noc nie kładliśmy się spać. Ani jednej minuty nie chcieliśmy stracić z chwil wyznaczonych dla naszego rozporządzenia. Tak wiele mieliśmy do powiedzenia sobie, a jednak mówiliśmy mało; lży wymowniej niż słowa wyrażały boleść naszą. Od czasu do czasu padał wyraz nadziei: „Jak powrócisz”... Było to przecież możebne... tyłu powraca... Szczególne jednak; choć powtarzałam: „Jak powrócisz”, usiłując przedstawić sobie całą rozkosz tej chwili, wyobraźnia moja nie umiała stworzyć radosnego obrazu: widziałam nieu-

stanie ciało mego męża na pobojowisku, albo siebie w trumnie...

Fryderyka opanowały także podobnie smutne przeczucia; nieszczerze brzmiało jego „Jak powrócę”, i częściej mówił o tém, co się stanie jeżeli zginie.

— Marto, nie wychodź po raz trzeci zamąż! Nie zacieraj, nowymi wrażeniami miłości, wspomnień szczęśliwego roku pożycia. Nie prawdaż, że to były szczęśliwe chwile?

I przypominaliśmy sobie najdrobniejsze szczegóły, od chwili pierwszego spotkania aż do tej pory.

Nazajutrz Fryderyk wyruszył z pułkiem a dziennik ołomuniecki tak opisał usposobienie wojska:

„Wczoraj, przy dźwiękach muzyki, z rozwiniętymi sztandarami, opuszczał nasze miasto pułk, aby w bratnich, nadmorskich krajach zbierać laury. Zapalał ożywiały dzielne szeregi, w oczach błyszczał ogień wojowniczy i t. d. i t. d.”

Ileż tu kłamstwa — śmiałego, bezczelnego kłamstwa, dla fałszywój, wstrętnej idei!

*

*

*

Po odjeździe Fryderyka zapadłam na ciężkie zapalenie mózgu, więc wiadomości, jakie od niego przychodziły, nie mogłam odczytywać; nie poznawałam nikogo; dzień i noc leżałam w malignie. Osobliwsze miałam wtedy widzenia. Niejasne wspomnienie zachowałam powróciwszy do przytomności, lecz nie

umiem ich opisać ze stosowną ścisłością. Tyle tylko zaznaczyć jestem w stanie, że oba wydarzenia: wojnę i chorobę, mieszałam bezładnie, biorąc jedno za drugie; zdawało mi się, że armaty i broń ostra kaleczą mnie, że leżę, jako przedmiot sporny pomiędzy dwoma nacierającymi na siebie wojskami... Wiedziałam, że Fryderyk odjechał, mimo to stawał przedemną obok postaci zmarłego Arnolda, patrząc mi w oczy z łagodnym uśmiechem. Obawiałam się co chwila pęknięcia granatu, który miał zdruzgotać nas troje: mnie, Arnolda i Fryderyka. To wszystko było tak niewypowiedzianie bolesne, tak straszne!... Musiał przecież być ktoś taki, co mógł to zmienić i usunąć, zdjąć ten ciężar przytłaczający moje piersi, odwalić go jednym potężnym słowem; pragnęłam upaść temu komuś do nóg i błagać go: „Dopomóż, przez litość, przez uczucie sprawiedliwości dopomóż! Niech złożą broń, niechaj ją złożą!!”

Z okrzykiem tym zbudziłam się razu pewnego przytomna; ojciec i ciotka stali przy łóżku, pierwszy odezwał się uspakajająco:

— Tak, dziecko, uspokój się, złożyliśmy broń.

Osobliwsza to rzecz odzyskać poczucie własnego istnienia po dłuższej nieprzytomności. Najpierw ogarnia nas to radosne zdziwienie, że się żyje, a potem z ciekawością zadajemy sobie pytanie: kim jestem właściwie...

Lecz odpowiedź, jaką przyniosła mi świadomość, zamieniła tylkoco zbudzoną rozkosz życia w gwałtowną boleść; byłam Martą Tilling, której mąż poszedł na wojnę... Jak dawno? O tém nie miałam pojęcia.

— Czy on żyje? Czy są listy? Depesze? — było pierwsze pytanie.

Tak, zebrała się nawet cała wiązka listów i telegramów, które nadeszły w czasie mojej choroby. Po większej części były to zapytania o moje zdrowie, prośby o codzienne, cogodzinne wiadomości. Naturalnie dochodziły one o tyle tylko o ile piszący znajdował się w miejscowościach, gdzie telegraf dochodził.

Nie zaraz pozwolono mi czytać listy Fryderyka; uważali, że to mogło mię wzruszyć, a ponieważ zaledwie wyszła z maligny, potrzebowałam nadewszystko spokoju. Powiedzieli mi tylko: że Fryderyk żyje i nie był dotąd raniony. Był już w kilku pomyślnych potyczkach, wojna zapewne wkrótce się skończy; nieprzyjaciół trzyma się jeszcze na wyspie Alzen; gdy tę weźmiemy, powrócą wojska nasze, chwałą uwiecznioną, do domu.

W ten sposób dodawał mi ojciec otuchy; ciotka opowiadała mi historią mojej choroby. Już kilka tygodni upłynęło od jej przybycia; o dniu w którym Fryderyk odjechał zachowałam wspomnienie, ale o innych wypadkach: o przyjeździe ojca, o nadchodzących wiadomościach od Fryderyka, o przebiegu mojej choroby, nic nie wiedziałam. Teraz dopiero dowiadywałam się, że stan mój był tak groźny, iż doktorzy mię opuścili i przywołano ojca, aby córkę „po raz ostatni” zobaczył. Fryderykowi przesyłano sumiennie niepomyślne wiadomości, lecz musiał już otrzymać i pomyślniejsze, gdyż od kilku dni doktorzy znów robili nadzieję.

— A czy on żyje jeszcze? — szeptałam raz po raz z bolesnym westchnieniem.

— Nie grzesz, Marto — upominała ciotka — Bóg nie poto na prośby nasze cię ocalił, żeby znów srodze doswiadczać.

Nazajutrz pozwolono mi przeczytać wszystkie przez Fryderyka nadesłane listy. Po większej części były to jednowierszowe zapytania i równie lakoniczne zawiadomienia: „Wczoraj potyczka; jestem cały”. — Dziś wyruszamy dalej; depesze wysłać do ***”. Dłuższy list miał na kopercie taki dopisek: „Oddać wtedy tylko, gdy niebezpieczeństwo minie”. Ten przeczytałam najpierw:

„Skarbie mój! Czy kiedykolwiek to przeczytasz? Ostatnia wiadomość przesłana przez doktora oznajmiała mi: „Chora ma silną gorączkę; stan bardzo groźny”. — „Groźny”? Może użył tego wyrażenia przez wzgląd na mnie, aby nie powiedzieć: „Niema nadziei”!... Gdy ci ten list oddadzą, będziesz już pewna, żeś uniknęła niebezpieczeństwa; dowiedz się wszakże, co czułam, gdy w przeddzień bitwy myślałam o tém, że ubóstwiana żona moja umiera, że mię przywołuje, wyciąga do mnie ramiona... Mnie lada chwila dosięgnąć może jaka kula... Gdybym wiedział, że ciebie już niema, to cios śmiertelny byłby dla mnie najpożądalszym, lecz jeżeli masz być ocaloną, wtedy umierać nie pragnę.

Dziś było pierwsze spotkanie z nieprzyjacielem; dotąd maszerowaliśmy przez zdobyte prowincje, które duńczycy opuścili. Dymiące ruiny wiosek, zdeptane zboża, porzucona broń i tornistry, ziemia zryta grana-

tami, kałuże krwi, trupy końskie, liczne mogiły: to są krajobrazy i ich dekoracye, wśród których szliśmy za zwycięzcą, aby, o ile to możebne, nowe zwycięstwa dołączyć do dawnych, nowe wioski podpalić, i tak dalej... Dziś spełniliśmy zadanie: pozycya zajęta. Za nami wioska w płomieniach; szczęściem, mieszkańcy opuścili ją wcześniej. Lecz w stajni jednej zostawiono konia; usłyszałem jak nieszczęsne stworzenie tłukło się i rżało rozpaczliwie... Czy wiesz, co zrobiłem? Nie przyniosło mi to, co prawda, orderu; zamiast zarządzać kilku duńczyków, przypadłem do owiej stajni, żeby wypuścić biednego konia. Nie podobna było: już płonął żłób i słoma pod kopytami, już zajęła się jego grzywa, więc wpakowałem mu w głowę dwie kulki rewolwerowe; padł nieżywy, wybawiony od strasznej śmierci w płomieniach. I powróciłem w bojową wrzawę, w morderczą woń prochu, w dziki hałas strzałów, spadających belek, wściekłego krzyku wojennego. Większa część naszych przeciwników była owładnięta odurzeniem wojennym, ja, niestety, zachowałem nieszczęsną trzeźwość umysłu. Nienawisci do dzielnych duńczyków mieć nie mogłem—cóż uczynili ci waleczni, napadając na nas? nie prócz powinność. Myśli moje były przy tobie Marto... Widziałem cię na katafalku, i życzyłem sobie, żeby mię kula sprzątnęła. Znowu zabłysł mi promień tęsknoty i nadziei: a jeśli ona żyje? a jeśli ja powrócę?

Rąbanina trwała przeszło dwie godziny; jak powiedziałem, utrzymaliśmy się na stanowisku. Pobity nieprzyjaciół uszedł. Nie ścigaliśmy go, dość było do roboty na miejscu. O paręset kroków od wsi, niena-

ruszony pożarem, znajdował się folwark o licznych, pustych mieszkaniach i stajniach; tu odpocznijmy przez noc i tu także przenieśliśmy rannych. Jutro rano pochowamy poległych. Przy tej sposobności pochowa się zapewne i kilku żywych, bo przy ciężkich ranach letarg jest częstym wypadkiem. Tych, co pozostali po tamtej stronie, czy poległych, czy rannych, czy nawet zdrowych i całych, będziemy musieli zostawić; mianowicie tych, którzy się znajdują pod rumowiskiem zawalonych domów. Zabici zgniją tu powoli; ranni wyzioną ducha wskutek upływu krwi; zdrowi—umrą z głodu. My zaś — hura! — prowadzimy dalej nasze *rażną, wesołą wojnę*...

Następne spotkanie będzie zapewne walną bitwą; według wszelkiego prawdopodobieństwa, dwie wielkie armie staną naprzeciw siebie; w takim razie ilość zabitych i rannych może się liczyć na dziesiątki tysięcy. Gdy armaty sprawują swój urząd, to prędko zmiatają przednie szeregi z tej i z tamtej strony. Stokroć goręcej będzie kiedyś, gdy technika strzelnicza zrobi postępy, gdy każda armia, z jednego działu wystrzeliwszy, od razu całe nieprzyjacielskie wojsko rozbije. Może wskutek tego zaniechanoby prowadzenia wojny. Siła nie będzie mieć wtedy władzy rozstrzygającej, gdy obie strony walczące będą miały równą potęgę.

Po co ja ci to piszę? Dlaczego nie wybucham, tak jak na żołnierza przystało, natchnionemi hymnami pochwalnemi o rzemiosło wojennym? Dlaczego? Bo łaknę prawdy i bezwzględnej jej wypowiedzenia; bo zawsze nienawidziłem kłamliwych frazesów, w tej zaś chwili, gdy tak bliski jestem śmierci, gdy przemawiam

do ciebie, która konasz może, podwójnie uczuвам potrzebę wypowiedzieć, co czuję. Niechaj drudzy myślą inaczej, albo uważają sobie za obowiązek inaczej mówić, ja chcę i muszę jeszcze raz wypowiedzieć, zanim stanę się ofiarą wojny: nienawidzę wojny. Jeśli by każdy, kto podobnie czuje, ośmielił się powtórzyć to głośno, jak potężny protest wzniósłby się do nieba! Wszystkie rozbrzmiewające dziś „hura”! wraz z towarzyszącym im hukiem armat, zagłuszyłby okrzyk bojowy uszlachetnionej ludzkości, okrzyk zwycięzki: „Wojna przeciw wojnie!”

„Godzina 4-ta rano.

Powyższe słowa skreśliłem wczoraj w nocy; potem rzuciłem się na ziemię i przespałem kilka godzin. Za chwilę wyruszamy, te kilka wyrazów mogę jeszcze oddać pocztą polową. Wszyscy na nogach, gotują się do pochodu. Biedni ludzie: krótki mieli odpoczynek po wczorajszej krwawej pracy, do dzisiejszej zamało się wzmocnili... Pierwój obszedłem jeszcze nasz zaimprovizowany lazaret, który tu pozostaje. Pomiędzy rannymi i konającymi widziałem kilku, którym chętnie oddałbym tę samą przysługę, co palącemu się koniowi: wpakowałbym im kulę w głowę. Jeden ma dolną szczękę odstrzeloną, drugi... Dość tego. Nikt tu nie pomoże tylko śmierci; lecz niestety, ona jest tak powolna... gdy ją zrozpaczony przyzywa, zdaje się być głuchą. Gdzieindziej ma tyle do czynienia, sprząta tych, którzy wyzdrowieć pragną, którzy wołają błagalnie: oszczędź mnie!

Koń mój osiodłany, bywaj zdrował Marto, jeśli żyjesz.”

*

*

*

W paczce listów znajdowały się jeszcze wiadomości późniejszej daty niż przytoczone pismo; po wielkiej, poprzednio zapowiedzianej bitwie, Fryderyk donosił:

„Mieliśmy dzień pomyślny—wyszedłem cało. To dwie dobre wiadomości: pierwsza dla ojca, druga dla ciebie. Lecz nie podobna mi przeoczyć, że dzień ten wielu innym nieszczęście przyniesie.”

W drugim liście opowiada Fryderyk swoje spotkanie z kuzynem Gotfrydem:

„Wyobraź sobie co za niespodzianka: kogo ja widzę jadącego mimo na czele oddziału? Oto jedynaka ciotki Kornelii. Jakże ona biedna tam niepokoić się musi! Chłopak jest pełen zapału, animuszu wojennego; zmiarkowałem to po jego dziarskiej, dumnej minie. Wieczorem obozowaliśmy razem; kazałem go sprowadzić do mego namiotu. „Jak to pięknie kuzynie — zawołał w uniesieniu — że obaj dla jednej sprawy walczymy, i do tego obok siebie! Prawdziwie szczęście mi sprzyja: w pierwszym roku mego porucznikostwa wojna wybuchła. Zdobędę order zasługi”. — „A ciotka, jak przyjęła twój odjazd”? — „Zwyczajem matek: ze łzami, które wszakże starała się ukryć, żeby nie przytłumiać mojej radości,—z błogosławieństwem, ze smutkiem, z dumą”. — „A jakież były twoje uczucia, gdyś w pierwszej uczestniczył potyczce”? — „Rozkoszne,

wzniosle!" — Nie potrzebujesz kłamać, mój chłopcze; to nie oficer sztabu zapytuje o twoje obowiązkowe uczucia porucznikowskie, lecz człowiek i przyjaciel". — „Mogę powtórzyć jedynie: rozkoszne i wzniosłe; okropne było, prawda... ale i wspaniałe zarazem! I to, że śmierć, ten postrach budzący taką obawę, którego zazwyczaj unikamy, widziałem zblizka, że kosa jej wznosiła się i nad moją głową: to usposabia mnie tak bohatersko, tak niezwykle... Muzę dziejów czuję unoszącą się nad naszymi głowami i używającą zwyciężkiej siły naszym orężom. Szlachetny gniew zapala mnie przeciwko zuchwałemu nieprzyjacielowi, który chciał podeptać prawa krain niemieckich; rad jestem, że tę nienawiść zaspokoić mogę... To coś dziwnego i tajemniczego, ta możność, ta konieczność zabijania; choć się nie jest mordercą, oszalamia ona człowieka".

Chłopiec plótkł w ten sposób długo. Pozwoliłem mu się wygadać; wszak sam doznawałem podobnych uczuć, gdy mną szalał pierwszej bitwy owładnął. U mnie jednak szybko rozwiał się ten zawrót głowy, z trudnością przypomnieć sobie mogę uczucia podobne tym, jakie odmalował mi Tessow. Wcześniej poznałem, że zapal wojowniczy nie ma w sobie nic nadludzkiego, że przeciwnie jest nieludzki; że jest zapożyczonym od świata pierwotnej dzikości, rozbudzeniem w człowieku zwierzęcia. Ten tylko, co w zapale bojowym dochodzi do dzikiej rozkoszy zabójstwa; kto, jak to nieraz wśród kolegów widziałem, z wielkim zamachem rozcina czaszkę bezbronnemu nieprzyjacielowi; kto staje się katem, gorzej jeszcze — krwi chciwym, tygrysem: ten czuł przez

chwile „rozkosz bitwy". Ja nigdy — wierzaj mi, żono, nigdy.

Gotfryd jest zachwycony tępem, że my, austriacy, walczymy za tę samą „słuszną sprawę" co i prusacy. (Bo każda sprawa przedstawia się w rozkazach wojennych jako słuszną.) „Tak, wszyscy jesteśmy jednym, bratnim narodem". — „Jak tego dowiodła wojna trzydziestoletnia i siedmioletnia", — wtrąciłem półgłosem. Gotfryd niedosłyszał tego i ciągnął dalej: „Jedni za drugich, jedni z drugimi pokonamy każdego nieprzyjaciela". — „A jakże będzie, mój chłopcze, gdy dziś lub jutro prusacy z austriakami rozpoczną walkę, i my obaj staniemy naprzeciwko siebie, jako nieprzyjaciele?" — „Tego przypuścić nawet niepodobna. Teraz, gdyśmy razem za jedną sprawę krew przelewali, nie podobna nigdy"... — „Nigdy? Ostrzegam cię, nie używaj wyrażen „nigdy" i „wiecznie" w polityce. Czem są jednodniowe muchy w państwie istot żyjących, tęp jest przyjaźń i nieprzyjaźń w dziedzinie zjawisk dziejowych."

Piszę to wszystko, Marto, nie dlatego, bym sądził, że to ciebie, chora moja biedaczko, zainteresuje, ani dlatego, żeby ci przedstawić moje zapatrywania: lecz myślę, że zginę, i nie chcę, by niewypowiedziane uczucia ze mną do grobu zstąpiły. List mój nie ty, lecz inni znaleźć mogą i przeczytają. Nie powinno się ukrywać, tać tego, co wre w duszy nie upojonej brawurą żołnierską. Z tępem zaspokojeniem sumienia chcę umierać".

Ostatnia z otrzymanych wiadomości była wysłana przed pięcioma dniami a nadeszła dwa dni temu.

W przeciągu pięciu dni wojny, co się przytrafić może? Obawa i troska mną ogarnęły. Dlaczego dziś, ani wczoraj żadnej wiadomości? Z upragnieniem wyglądałam listu, wolałabym depeszę, sądząc, że człowiek w gorączce nie jest tak spragniony wody, jak ja wówczas pragnęłam wiadomości. Byłam uratowana; ku wielkiej radości miał mnie zastać żyjącą, jeśli... Zawsze to „jeśli” wszelką nadzieję przyszłości przytłumia w zarodzie!

Ojciec musiał odjechać. Teraz mógł mnie opuścić spokojnie; niebezpieczeństwo minęło a w Grumitz miał pilne zajęcia. I ja, odzyskawszy niezbędne ku temu siły, miałam za nim podążyć z Rudolfkiem. Pobyt na świeżem, wiejskiem powietrzu mógł mnie dopiero zupełnie uzdrowić i dla małego był pożyteczny. Ciotka została przy mnie dla opieki, a potem ze mną miała jechać do Grumitz, dokąd Róża i Lili już nas wyprzezdziły. Pozwalałam jej mówić i projektować, a w duszy postanowiłam, że jak tylko będę mogła, pojedę do Holsztynu.

Nie wiedzieliśmy nawet, gdzie się znajdował pułk Fryderyka. Jakże mu przesłać depeszę, choć co go dzina chciałabym telegrafować zapytanie: „Czy żyjesz”?

— Nie powinnaś się tak wzruszać — upominał mnie ojciec odjeżdżając — bo może nastąpić recydywa. Cóż znaczy dwa dni bez wiadomości? Doprawdy, to nie powinno cię niepokoić. W pochodzie nie znajdujemy wszędzie skrzynek pocztowych i stacyj telegraficznych, nie mówiąc już o tém, że podczas marszu, w bitwie i w czasie wypoczynku, nie jest się w stanie słowa

napisać. Poczta polowa nie obsługuje regularnie; przez dwa tygodnie czasem nie odbiera się żadnych wiadomości. Za moich czasów, często dłużej jeszcze nie dawałem o sobie wiadomości, nie obawiano się jednak o mnie.

— Jak mogłeś o tém wiedzieć, ojcze? Jestem przekonana, że o ciebie drżeli zarówno jak ja o Fryderyka. Prawda ciociu?

— Mielśmy więcćj ufności w Boga — odpowiedziała ciotka — wiedzieliśmy, że, za zrządzeniem do brotliwej Opatrzności, ojciec twój powróci, bez względu na to, czy otrzymamy wiadomość, czy nie.

— A gdybym nie powrócił, do kaduka! to na tyle przecie kochaliście kraj, żeby uznać, iż taka drobnotka, jak życie jednego żołnierza, niknie zupełnie w ogromie téj sprawy, za którą je poniósł. Ty, moja córko, nie jesteś dość odważną patriotką, ale teraz nie będę się z tobą sprzeczał... O to głównie chodzi, żebyś była zdrową i żyła dla twego Rudolfa, abys go wychowała na dzielnego człowieka.

* * *

Nie przychodziłam tak prędko do zdrowia, jak się spodziewano. Ciągły brak wiadomości nabawiał mnie takiej trwożnej niespokojności, że stan gorączkowy nie ustawał wcale. W nocy snuły mi się przed oczami straszne widziadła, a dnie schodziły na tęsknieniu oczekiwaniu lub na posępnych rozmyślaniach; wobec tego trudno mi było odzyskać siły.

Raz, ów niepokój i przypuszczenia wywołały recydywę, która powtórnie niebezpieczeństwem zagrażała memu życiu. Biedna ciotka miała trudne zadanie. Jeden był tylko środek uspokojenia mnie. Przyprowadzano do mego pokoju Rudolfa: „Moje ty drogie dziecko, moja pociecho, moja podpora, moja przyszłość!” — przemawiałam w duszy do dziecka, gdy je zobaczyła; ono jednak niechętnie zostawało w ponurym, ciemnym pokoju chorób. Nudziło go to zapewne, że wesołą dawniej mateczkę widział teraz w łóżku, zapłakaną i bladą. Sam przybierał smutną minę, więc nie zatrzymywałam go długo przy sobie.

Od ojca nadchodziły częste zapytania i wiadomości. Pisał do pułkownika i do kilku innych wojskowych, lecz nie otrzymał jeszcze odpowiedzi. Za każdym pojawieniem się listy poległych wysyłał, do mnie depeszę:

„Fryderyk nie zamieszczony.”

— Wy mię może oszukujecie? — zapytałam raz ciotkę. — Wiadomość o jego śmierci może już dawno nadeszła, a wy ją ukrywacie przedemną?

— Przysięgam ci...

— Na Boga? na swoją duszę?...

— Na moją duszę.

Takie zapewnienie przynosiło mi niewysłowioną ulgę, chwytałam się wtedy nadziei, jak się chwyta za bitek belki okrętowej; co godzina wyglądałam listu lub depeszy. Za każdym szmerem w przyległym pokoju wyobrażałam sobie, że to posłaniec; nieustannie zwraca-

całam oczy ku drzwiom w tém przekonaniu, że ztamtąd ktoś wejść powinien z dobrą dla mnie nowiną.

Pierwszym błyskiem radości była wiadomość o powtórnie zawieszeniu broni; to już zwiastowało pewny pokój. Nazajutrz, po otrzymaniu téj nowiny, wstałam po raz pierwszy i czułam dziwnie błogie ukojenie: wrzawa wojenna umilkła, nie potrzebowałam się obawiać o życie drogiego małżonka.

— Mam nadzieję, że przyjdiesz szybko do zdrowia — mówiła raz ciotka, przeprowadziwszy mnie na szezlong, który postawiono przy otwartém oknie. — Będziemy mogły pojechać do Grumitz.

— Skoro tylko powrócą mi siły, pojedę na wyspę Alzen — rzekłam.

— Na wyspę Alzen? Dziecko, co tobie przychodzi do głowy!

— Muszę odnaleźć miejsce, gdzie Fryderyk został ranny.

— Może ci przyprowadzić Rudolfa? — zapytała po chwili ciotka, wiedząc, że to sposób najlepszy na rozproszenie smutnych myśli.

— Nie, nie teraz; chcę sama pozostać... I ty, ciotciu bądź tak dobra wyjdź do drugiego pokoju... może zasną cokolwiek.

— Dobrze, moje dziecko. Tu na stoliczku masz dzwonek. Jeślibyś czego potrzebowała, zadzwoń.

Ciotka na palcach wyszła z pokoju, ja oparłam głowę i zamknęłam oczy.

Nie chciałam spać, lecz pragnęłam zostać sama z myślami; znajdowałam się w tym samym pokoju, na tym samym szezlongu, jak owego poranku, gdy Fry-

deryk przyszedł mi oznajmić, że otrzymał rozkaz wymarszu. Było tak samo parno i duszno jak wtedy, tak samo, obok mnie, na stoliku, stał wazon z różami, mogłam więc zupełnie dokładnie uprzytomnić sobie pamiętne chwilę musowej rozłąki... Chciałam znów zasnąć i marzyć jak wówczas, gdy mi się senném majaczeniem wydało, że widzę, jak się drzwi z cicha otwierają i Fryderyk wchodzi do pokoju... Zapach róż stawał się coraz więcej odurzający, zwołałam pozwalając się ować wspomnieniom, terazniejszość znikła mi z przed oczu. „Teraz on powinien się zjawić na progu”, — mówiłam do siebie, i z tym wysiłkiem, jakiego użyć musi człowiek do zwalczania snu podniosłam powieki.

To co ujrzałam wstrząsnęło mną do głębi: we drzwiach stał mój ukochany Fryderyk. Z głośnym łkaniem wyrwałam się z mego rozmarzenia i obiema rękami zakryłam twarz. Rozumiałam, że to była tylko halucynacya.

— O mój Fryderyku, mój stracony! — jęknęłam.

— Marto, żono!

Co to takiego? Słyszę głos jego, on się zbliża, otacza mnie swém ramieniem; to nie był sen!

Bóg powrócił mi męża!

*

*

*

Na pierwszy mój okrzyk radosny, nadbiegła ciotka z przyległego pokoju. I ona nie spodziewała się powrotu Fryderyka; zobaczywszy go, stanęła na chwilę

w miejscu osłupiała a potem z głośnym okrzykiem „Jezus, Marya, Józef!” upadła na krzesło.

Wiele czasu upłynęło, zanim ochłonęliśmy z pierwszego wrażenia, zaraz nastąpiły obustronne wypytywania i opowiadania. Dowiedzieliśmy się, że Fryderyk, będąc ranionym, musiał pozostać, podczas gdy pułk jego pospieszył dalej. Rana nie była bardzo ciężka, pomimo to przeleżał kilka dni nieprzytomny, w gorączce. Listów nie odbierał i nie mógł wysyłać. Gdy wyzdrowiał, zawieszenie broni już było zawarte a właściwie wojna skończona. Nic nie stawało na przeszkodzie do powrotu; więc spieszył dniem i nocą, aby przybyć jaknajprędzej.

Wkrótce przeniesliśmy się wszyscy do wiejskiej posiadłości mego ojca. Fryderyk otrzymał dłuższy urlop, ze względu na zdrowie nadwątlone podczas wojny; spokój i świeże powietrze zastępowały dzielnie środki lekarskie.

Nie przypominam sobie szczęśliwszej epoki w mojem życiu; odzyskanie tego, którego uważaliśmy za straconego należy do najwyższych rozkoszy.

W Grumitz zebrała się cała rodzina i brat mój Otto tam na wakacje zjechał. Miał lat piętnaście i jeszcze trzy lata musiał pozostawać w akademii wojskowej w Wiedniu. Był to chłopiec dzielny, zacny, ojca faworyt i chluba; on, Róża i Lili napętlili dom wesołością. Kuzyn Konrad, który z pułkiem obozował niedaleko Grumitz, przyjeżdżał o ile mógł najczęściej i dzielnie dopomagał im w zabawach. Drugą partją stanowili starzy: ciotka, ojciec i kilku dawnych jego towarzyszy, przybyłych w od-

wiedziny. Ci grywali zapamiętane w karty, przechadzali się po parku i politykowali. Świeże wypadki wojenne i niezłatwiona kwestya szlezwigo-holsztyńska przedstawiały podatne do tego pole. Ja i Fryderyk żyliśmy w pewnym odosobnieniu od reszty towarzysztwa, spotykaliśmy się z niem tylko przy stole, i to nie zawsze. Szukaliśmy samotności dlatego, że po przebytach, ciężkich zmartwieniach nie mogliśmy brać udziału w naiwnej wesołości młodzieży, a jeszcze mniej sympatyj czuliśmy do rozmów i zajęć osób poważnych. Odbywaliśmy razem dalekie spacery, wycieczki w okolicę, całemi dniami siadywaliśmy w bibliotece, a wieczorem, gdy młodych zajmowały gry towarzyskie, myśmy, zamykali się w naszych pokojach, i tam przy herbacie toczyła się poufna rozmowa. Fryderyk musiał mi opowiadać szczegółowo przebyte niebezpieczeństwa, opisywać zgrozę przejmujące obrazy z pola bitwy. Gdy o tém mówił, głos jego brzmiał tonem niechęci i bólu, a ja słyszałam w nim zapowiedź pokonania przez ludzką odwiecznego barbarzyństwa, zwycięstwo, które nastąpić musi jeżeli już w sercach jednostek kiełkuje po temu wola i pragnienie.

Ojciec mój i Otto często zachęcali Fryderyka, aby im opowiadał epizody z odbytej wyprawy. Żądanie ich pochodziło wprawdzie z innych pobudek niż moje prośby o to samo, w innym też duchu opowiadał im Fryderyk; ograniczał się na szczegółach dotyczących taktyki i obrotów wojennych, wyniku walki, nazw miejscowości zdobytych; na opisywaniu scen obozowych, na powtarzaniu słów wypowiedzianych przez wodzów naczelnych, słowem na tym po-

dobnych drobnostkach. Słuchacze byli zachwyceni, ja tylko nie podzielałam ich radości, widząc, że Fryderyk musiał pomijać treść główną dla efektownych akcesoryj. Pewnego razu zrobiłam mu z tego powodu wymówkę, nazwałam nieszczerem.

— Nieszczerość? brak śmiałości w zdaniu? — rzekł z uśmiechem. — Mylisz się, Marto, jest to tylko takt towarzyski: są rzeczy, o których nie opowiada się w nigdy salonie, których się nie powierza bądź komu. Jakto — żołnierz miałby się przyznać do tego, że podczas huku dział i kul świstu cierpiał, tłumilił, że go przejmowała obawa?

— Doprawdy tak było? Wszak mnie powiedzieć możesz.

— Pytasz się, czy obawa śmierci przejmuję nas, żołnierzy, na polu bitwy? Nie może być inaczej? Powieści i poezye kłamią w tym względzie: zapal sztucznie wzbudzony zdoła na chwilę przytłumić popęd samozachowawczy, lecz tylko na chwilę... U ludzi brutalnych żądza morderstwa i zniszczenia mogą usunąć obawę o własne życie; ludzie silnego ducha przytłumiają zewnętrzne obawy trwogi przy pomocy dumy... ale większość przeklina wojnę, ceni więcej życie niż zadania polityczne. Sam słyszałam to złorzeczenie, słyszałam modlitwy o zakończenie krwawych zapasów... Ci ludzie cierpieli, i ja cierpiełam z nimi. Wierżaj Marto, gdybym był mógł, gdybym posiadał moc odpowiednią — w jednej chwili przytłumiłbym wojenne mordy i pożogi.

— Szlachetne uczucia! — szepnęłam mimowoli.

— Szlachetne — powtórzył Fryderyk z nietajoną zgryźliwością. — Gdybym je wyznał przed ludźmi, nazwano bymnie tchórzem, człowiekiem wyzutyim z podniosłych idei... Tając co myślę, nie czynię tego przez obłudę...

*

*

*

Udało mi się skłonić Fryderyka do porzucenia służby wojskowej. Okoliczność, że po ożenieniu służył rok przeszło i z odznaczeniem odbył kampanię, zasłaniała go od podejrzenia, jakie: przed ślubem, wyraził mój ojciec. Teraz, jeśli pokój, którego warunki układano, zostanie zawarty, wystąpienie ze służby nie przyniesie ujmy jego honorowi. Wprawdzie wyrzeczenie się stanowiska i dochodów, po to, aby, jak mówił, „być niczém i nic nie umieć”, sprzeciwiało się jego dumie, lecz miłość zwyciężyła: nie mógł się oprzeć moim prośbom. Nadto od ostatniej kampanii tak dalece powiększył się wstręt jego do obowiązkowych morderstw, że porzucenie służby nie było jedynie ustępstwem dla domowego szczęścia, lecz stwierdzeniem jego zapatrywań. Ostatecznie przyrzekł mi, że w jesieni poda się do dymisji.

Układaliśmy sobie, że za moje kapitały, złożone w domu bankierskim Schmitt & synowie, kupimy majątek, którego zarządem zajmie się sam Fryderyk. To usunie jego skrupuły, i obawy posądzenia, że korzysta z mego majątku.

Ojcu i rodzinie nie nie wspominaliśmy o naszych zamiarach; wiedzieliśmy, że będą stawiać zarzuty, ganić, odradzać a tego chcieliśmy, dziś przynajmniej, uniknąć. Potrafimy okazać się wyższymi nad błędne pojęcia.

Mój Rudolf miał wtedy pięć lat, zaczął się uczyć czytać i pisać. Sama podjęłam się roli nauczycielki; nie odstąpiłabym żadnej bonie przyjemności stopniowego rozwijania tej młodej duszyczki, wpajania w jego umysł pierwszych promyków wiedzy. Często malec towarzyszył nam na przechadzkach, podczas których zarzucał nas pytaniami o najrozmaitsze rzeczy. Odpowiadaliśmy unikając tłumaczeń fantastycznych i kłamliwych; jeżeli nie wiedzieliśmy czego, zamiast szukać wykrętów, jak to czynią rodzice, którzy pragną wobec dziecka okazać się wszechwiedzącymi, przyznawali się do naszej nieświadomości otwarcie.

Nie lubiłam szczególnie zabawy w żołnierzy, które wymyślali mój ojciec i brat. Nie wiem nawet w jaki sposób chłopiec zdobył pojęcia: „nieprzyjacieli”, „bij go!”

Razu pewnego nadeszliśmy z Fryderykiem na to, jak Rudolfek szpicrutą nielitościwie ćwiczył dwa skomlące szczeniaki.

— To włoch obłudny — wołał z marsową miną — a to zuchwały duńczyk!

Fryderyk wyrwał mu szpicrutę z ręki.

— A to niemiłosierny austryak! — rzekł wymierzając mu kilka lekkich uderzeń. Włoch i duńczyk wymknęli się uradowani, a mały bohater poczerwieśniał ze wstydu.

— Gniewasz się, Marto, żeś uderzył twego syna? Nie jestem zwolennikiem kar cielesnych, lecz okrucieństwo względem zwierząt oburza mnie.

— Dobrześ zrobił — odparłam.

— Więc tylko względem ludzi można być okrutnym? — zapytał malec nieśmiało.

— Tém bardziej niewolno.

— A sam biłeś włochów i duńczyków?

— To byli nieprzyjaciele.

— Więc można ich nienawidzić?

— Nie dlatego wolno nam bić nieprzyjaciół, żebyśmy ich nienawidzili, lecz dlatego, że oni nas chcą bić.

— A dlaczego chcą nas bić?

— Z tego błędnego koła niema wyjścia — rzekł Fryderyk z westchnieniem. — Idź się bawić, Rudziu, przebaczymy ci, ale nie rób tego więcej.

Kuzyn Konrad zrobił pewne postępy w łaskach u Lili. Niema jak wytrwałość. Sprzyjałam temu związkowi i z przyjemnością zauważyłam, jak radośnie błyszczały oczy mojej siostry, gdy usłyszała tętent wierzchowca Konrada, jak wzdychała gdy odjeżdżał.

— Różne są sposoby zdobywania fortec — objaśniał mi Konrad, tłumacząc swoje postępowanie; — tak samo istnieją rozmaite sposoby zdobywania serc kobiet. Jednym z najskuteczniejszych jest stałość, upór i przyzwyczajenie. Musi jęć przecież być przyjemnie gdy widzi moją stałość, a gdyby mnie kiedy zabrakło, poczułaby wielką próżnię w swoim otoczeniu.

— Jak długo myślisz czekać na nagrodę w postaci ręki ukochanej?

— Tego nie wiem... Dopóki mnie nie pokocha.

— Podziwiam cię. Czyż niema innych panien prócz Lili?

— Tamte nie dla mnie; Lili ma coś w sobie, czego nie posiada żadna inna... Ty na przykład, Marto, jesteś piękna, więcej niż Lili wykształconą, a jednak nie ożeniłbym się z tobą.

— Dziękuję za szczerość!

— Jesteś zanadto uczoną, spoglądałabyś na mnie z góry. Moja gwiazdka przy kołnierzu, szabla i ostrogi nie imponują ci, a Lili ma szacunek dla zbrojnego męża, jestem pewny, że uwielbia wojskowych, a ty...

— Po dwakroć wyszłam zamaż za wojskowych — odparłam z uśmiechem.

*

*

Przy stole, ojciec i starzy jego przyjaciele rozprawiali najwięcej o polityce; była ona ulubionym przedmiotem ich gawęd. Toczące się układy pokojowe dostarczały obfitego materiału wysnuwania najrozmaitszych przypuszczeń; przez galanterią i wzgląd na moje kobiece ograniczenie umysłowe, ten lub ów z dyplomatyzujących panów odzywał się: „Te rzeczy nie mogą zajmować baronowej, powinniśmy mówić o czém inném”, — ale ja zaprzeczałam i prosiłam, żeby nie zmieniali przedmiotu. Sprawy dyplomatyczne zainteresowały mnie bardzo, chociaż nie z tego względu co tych panów.

— Cóż dziś nowego słyhać o sprawie Szlezwiugu i Holsztynu? — zapytywałam, gdy rozmowa toczyła się o rzeczach postronnych.

— Najświeższą wiadomością jest — oznajmił 13 sierpnia mój ojciec — że Beust postawił pytanie jakim prawem przyjęli zrzeczenie się tych księstw od króla, którego związek nie uznał za prawego posiadacza?

— Zarzut słuszny — zauważyłam; — przecież było powiedziane, że książę uznany przez traktat nie jest prawowitym panem niemieckich prowincyj, a teraz wymagacie od Chrystyana IX...

— Nie rozumiesz tego — przerwał mi ojciec. — To zuchwalstwo, to szyderstwo ze strony pana von Beust, nic więcéj! Księstwa do nas należą, ponieważ myśmy je zdobyli.

— Przecież zdobywaliście je nie dla siebie tylko dla Augustenberga?

— Bredzisz! Przyczyny stawiane przed rozpoczęciem wojny przestają obowiązywać skoro oręź sprawę rozstrzygnie. Zwycięstwa lub klęski wywołują nowe kombinacje.

— Więc przyczyny, które spowodowały wojnę, były właściwie wykrętem?

— Wcale nie. Były one, baronowo, źródłem następstw, które same przybrały odpowiedni kierunek, stosowny do okoliczności — wtrącił jeden z generałów.

— Gdybym ja decydował — odezwał się ojciec — po wzięciu Düppelu i Alzen nie zgodziłbym się na układy pokojowe; można było przecież zdobyć całą Danię.

— Cóż byśmy z nią zrobili?

— Przyłączylibyśmy do związku niemieckiego.

— Jesteś wyłącznie austriackim patryotą ojcze, cóż ci więc zależy na potędze związku niemieckiego?

— Zapomniałaś, że Habsburgowie byli cesarzami niemieckimi, i być jeszcze mogą!...

— A cóżby się stało — zapytał Fryderyk — gdyby prusacy żywili podobną nadzieję?

Ojciec roześmiał się na to.

— Korona rzymsko-apostolska niemieckiego cesarstwa na głowie protestanckiego królika! Czyż zmysły postradał?

— Obawiam się — zauważył doktor — czy pomiędzy dwoma mocarstwami nie wyniknie spór o to, o co wspólnie walczyli. Co począc ze zdobytymi prowincjami? Mogą wyniknąć różne powikłania. Każda wojna nosi w sobie nasionka wojny nowéj.

W kilka dni potém przyszła wiadomość, że król pruski przyjeżdża odwiedzić naszego cesarza w Schönbunn; spotkanie było nadzwyczaj serdeczne.

Ojciec cieszył się odczytując sprawozdania dzienników, przepełnione zapewnieniami trwałości przyjaźni prusko-austriackiej.

— Rad jestem — mówił — żeśmy pozyskali nowego sprzymierzeńca. Przy jego pomocy odzyskam Lombardię z pewnością.

— Nie pozwoli na to Napoleon III, a Prusy się nie odważą naruszyć z nim stosunków — utrzymywał jeden z generałów.

— Powiedzcież mi panowie — odezwałam się: — dlaczego cywilizowane mocarstwa europejskie nie tworzą związku? Byłby najprostszy sposób zapewnienia wieczystego pokoju...

Panowie wzruszyli ramionami ale żadnej mi nie dali odpowiedzi. Musiałam widocznie powiedzieć coś bardzo niedorzecznego.

*

*

*

Nastała jesień; 30 października podpisano w Wiedniu traktat pokojowy, nadszedł czas gdy moje najgorętsze życzenie miało się spełnić: Fryderyk porzucił służbę wojskową. Niespodziany wypadek pokrzyżował mi plany: dom Schmitt & synowie ogłosił upadłość—cały mój osobisty majątek przepadł.

Nie byłam przez to doprowadzona do nędzy; ojciec nie pozwoliłby, żebym jakkolwiek brak poczuła, jednak projekt opuszczenia służby się rozwił. Nie byliśmy już niezależnymi; pensya Fryderyka stanowiła teraz jedyne źródło naszych dochodów. Trzeba się było pogodzić z losem. Jedno mnie pocieszało: nie zanosilo się wcale na wojnę.

Szlezwig, Holsztyn i Lauenburg, traktatem z 30 października, zostały ostatecznie oddane Prusom i Austrii do rozporządzenia. Państwa te, szczerze z sobą teraz zaprzyjaźnione, powinny się były cieszyć z podobnego obrotu rzeczy; podzielać się zdobyczą po bratersku, bez sporów i waśni. Na całym horyzoncie politycznym nie było widać złowrogięj chmurki; tryumfy wojenne zdobyte w Szlezwigu i Holsztynie wyrównały szczyby zadane klęską włoską, więc i ambicya wojskowa nie miała powodu szukać powodów do nowej walki.

Zimę wypadło nam przepędzić w Wiedniu; Fryderyk miał teraz zajęcie w ministeryum wojny, wołał je niż służbę obozową. Siostry pojechały z ciotką na karnawał do Pragi a wypadek zrządził, że pułk Konrada stał także w stolicy Czech; może też ta okoliczność wpłynęła poniekąd na wybór miejsca pobytu. Gdym zapytała o to Lili, zarumieniła się i, wzruszywszy ramionami, odpowiedziała:

— Wiesz przecie, że go nie kocham.

Ojciec zajął dawne mieszkanie przy ulicy Pańskiej, a myśmy najęli przy bulwarze Franciszka-Józefa niewielki lokal. Pensya Fryderyka aż nadto wystarczała na nasze skromne utrzymanie; musieliśmy, naturalnie, wyrzec się stałej loży w teatrze, balów dworskich a przede wszystkim stosunków z modnym światem. Przyszło nam to bez najmniejszej trudności a nawet byliśmy radzi, że straty majątkowe usprawiedliwiały odsunięcie się od świata, którego nie lubiliśmy oboje.

Dom nasz był mimo to zawsze otwarty dla małego kółka przyjaciół i krewnych. Przyjaciółka moja zwłaszcza, Laura Griesbach, odwiedzała mnie częściej nawet niżbym chciała; rozmowa jęj wydawała mi się teraz jeszcze bardziej bezmyślną i nużącą.

Laura była piękną, żywą i lekkomyślną, mogła niejedną głowę zawrócić, témbardziej, że lubiła się otaczać wielbicielami; wcale mi nie było przyjemnem, gdym spostrzegła, że zwróciła uwagę na Fryderyka, że rzuca na niego zalotne, znaczące spojrzenia. Byłaby to zazdrość? Zacerwieniłam się na samą myśl o tém. Byłam pewną miłości męża, żadnej innęj nie mógł jak mnie kochać.

Laura nie ukrywała wcale, że jej się Fryderyk podoba.

— Zazdrościć ci można męża, Marto — mówiła nieraz — pilnuj go dobrze.

— Nie wątpię o jego wierności — odpowiadałam z przekonaniem.

— Mówisz jakgdyby „mąż” i „wierność” stanowiły dwa pojęcia nie dające się rozłączyć.

Śmiałyśmy się obie; czułam wszakże, iż serce moje przejmują jakas obawa, której usunąć, pozbyć się nie mogłam.

*

*

*

„Szanowna Pani!

Przyjacieli, a może nieprzyjacieli, bądźco bądź ktoś dobrze poinformowany, uwiadamia Cię, że jesteś oszukiwana. Twój małżonek i Twoja przyjaciółka śmieją się z Twój dobroduszości biedna, zaślepiona żono. Pobudki osobiste zmuszają mnie zedrzyć maskę z ich twarzy. Nie kieruje mną życzliwość dla ciebie, zresztą pocóż tłumaczyć przyczyny? Ponieważ bez dowodów nie dałabyś wiary anonimowi, załączam więc dokument, ten ci oczy otworzy.

List taki znalazłam na stole nakrytym do śniadania; Fryderyk siedział naprzeciw mnie, przeglądając świeże gazety.

Słowa bezimiennego oskarżenia ścisnęły mi serce; trzymałam w ręku dokument, dołączony do oskarżenia,

który miał zdruzgotać moje szczęście a nie miałam odwagi go przeczytać.

Fryderyk najspokojniej zgłębiał dziennik, musiał jednak uczuć wzrok mój zwrócony na niego, gdyż podniósł głowę i zapytał, jak zwykle łagodnie:

— Dlaczego wpatrujesz się tak we mnie, Marto?

— Chciałabym wiedzieć, czy kochasz mnie jeszcze?

— Ależ miłość moja dla ciebie, dawno już wygasła! — odparł żartobliwie.

— Nie wierzę temu... — szepnęłam tracąc przytomność.

— Na Boga, Marto, co tobie... jakżeś zbladła okropnie! — zawołał nagle z przestachem. — Może otrzymałaś jaką smutną wiadomość?

Nie odpowiedziałam; namyslałam się, czy mam mu pokazać list fatalny, czy też sama wpierw przeczytać ów dowód, który trzymałam w ręku?

— Marto moja, przemów nareszcie... Pokaż mi list, co cię tak przeraził — to mówiąc Fryderyk wyciągnął rękę.

— Masz — wyszeptalam z trudnością i podałam mu list przeczytany, zatrzymując dołączony bilecik.

Przebiegł oczami wyrazy oskarżenia, zerwał się z krzesła i zawołał z oburzeniem:

— To nikiemność! Gdzież ów mniemany dowód?

— Oto jest, jeszcze go nie czytała. Fryderyku, powiedz tylko jedno słowo, a rzucę go w ogień...

— Moja ty dobra, jedyna! — przerwał wzruszony — spojrzij mi w oczy: czy byś mogła wątpić o mnie?

— Wierzę ci, wierzę! — rzekłam rzucając list w ogień.

Fryderyk pospiesznie się schylił i podniósł zdradziecki papier.

— O, nie! — zawołał — trzeba wykryć sprawcę mistyfikacji, wymaga tego nasz spokój, nasze szczęście. Przeczytajmy razem to coś osobliwego... Doprawdy moje pismo! — nagle parsknął śmiechem i dodał. — Ależ te kilka słów podyktowałaś mi sama kilka tygodni temu, kiedy skaleczyłaś się w prawą rękę! patrz: „Lauro moja, przybywaj, oczekuję Cię z upragnieniem dziś o 5-tęj wieczór.

Marta (zawsze jeszcze kaleka).”

— Prawdziwie komiczne *qui pro quo* — śmiał się wciąż Fryderyk. — Chwała Bogu, że ten poważny dowód nie spłonął; teraz niewinność moja nie ulega wątpliwości. A może jeszcze masz podejrzenie?

— Od chwili kiedy spojrzaleś mi w oczy, zniknęły wszelkie obawy...

Fryderyk pocałował mnie w czoło i rzekł poważnie, a z uczuciem:

— Jesteś jedyną na świecie kobietą, którą kocham. Wierzaj Marto: szczęście, jakie daje świadomość dochowanej przysięgi wierności; spokój sumienia, z jakim powiedzieć możemy, że zadziernięty węzeł małżeński nie doznał żadnej skazy — to są świętości, skarby na których znieważenie mógłby się odważyć tylko człowiek wyzuty ze wszelkich uczuć prawych. Ty, Marto moja, uczyniłaś mnie tak szczęśliwym, że czuję się wyższym nad najpowabniejsze pokusy.

Słowa te brzmiały dla mnie jak najrozkoszniejsza muzyka; dziękowałam w duchu bezimiennemu korespondentowi, że je wywołał.

Fryderyk jednak był nadzwyczaj rozgniewany na oszczercę, przysięgał, że go skarci surowo.

Sprawca chwilowego zmartwienia sam się zde-maskował tego samego dnia; po południu odwiedziłam Laurę, pokazywałam jej ów list i ostrzegłam, że ma nieprzyjaciela, który rzucił na nią fałszywe podejrzenie.

Wysłuchawszy mnie rozśmiała się serdecznie.

— Więc list ten naprawdę cię przestraszył?

— Pytasz jeszcze? A jednak byłabym go spaliła, nie czytając załączonego dokumentu.

— W takim razie żart byłby się nie udał.

— Żart?

— List i bilet odemnie pochodzą!

— Od ciebie?...

— Ależ tak. Patrz: tu na odwrotnej stronie jest nazwisko i data: Pierwszy kwietnia.

*

*

A jednak na pozór niewinny żart przyjaciółki przyprowadził mnie o chorobę: gorączka nerwowa sześć tygodni trzymała mnie w łóżku. Fryderyk okazywał mi wtedy tyle przywiązania, tyle troskliwości, że nawet cierpienie uważałam za łaskę niebios, zesłaną dla przekonania mnie o jego miłości.

Śmierci obawiałam się bardzo; żal było życia, żal moich ukochanych: Fryderyka, z którym chciałam doczekać starości, Rudolfa, którego pragnęłam wychować na zacnego człowieka. Wiedziałam też, że śmierć moja byłaby dla męża strasliwym ciosem. Ludzie szczęśliwi nie mogą myśleć obojętnie o śmierci, bo okazywaliby przez to pogardę dla świata.

Gdy choroba groziła mi postradaniem życia tak samo jak na polu bitwy kule grożą walczącym, mogłam wyobrazić sobie uczucie żołnierzy, którzy cenią życie i wiedzą, że ich śmierć przyprowadzi o rozpacz ukochanych.

— Jedną tylko wyższość ma żołnierz nad chorym: świadomość spełnionego obowiązku — rzekł Fryderyk, gdy mu wypowiedziałam swe myśli. — Człowiek szczęśliwy, jak słusznie mówisz, nie może umierać obojętnie.

Ojciec odwiedzał mnie podczas choroby codziennie i okazywał wiele troskliwości, wiedziałam jednak, że śmierć moją potrafiłby znieść bez rozpacz; więcej kocha młodsze córki, a najdroższym był mu Otto. Ja, zapewne z powodu dwukrotnego zamążpójścia a szczególnie powtórnego, może także z powodu odmiennego sposobu myślenia, stałam się dla niego poniekąd obcą. Kiedy zupełnie odzyskałam zdrowie, ojciec przeniósł się do Grumitz i namawiał mnie, żebym, zabrawszy Rudolfa, z nim pojechała. Doktorzy zalecili mi pobyt na wsi ale ponieważ Fryderyka obowiązki służbowe zatrzymywały w mieście, wołałam zamieszkać tuż pod Wiedniem, żeby mógł odwiedzać mnie

codziennie; dlatego wynajęłam letnie mieszkanie w Hietzing.

Siostry pojechały do Maryenbadu, zawsze pod opieką ciotki; w ostatnim liście z Pragi przysłała mi Lili ciekawą nowinę.

„Muszę ci wyznać — pisała — że kuzynek Konrad zaczyna mi się podobać; w kotylnie byłam nieraz tak usposobiona, że gdyby powtórzył oświadczenie odpowiedziałabym „tak”. Nieśmiały jednak odważyć się na krok stanowczy w właściwej chwili; kiedy miałyśmy odjeżdżać znów się wprowadzić oświadczył lecz wtenczas byłam w usposobieniu zgryźliwem. Co prawda, nie pozbawiłam go nadziei zupełnie, powiedziałam mu, iżby ponowił oświadczenie za pół roku. Przez lato wypróbuję siebie; jeśli przez czas naznaczony nikt inny nie zrobi na mnie silniejszego wrażenia — zwycięży wytrwałość upartego Konrada!”

* *

*

Jednocześnie pisała i ciotka Marya, kończąc list następnym przypiskiem:

„Maż twój ma krewnych w Prusach, zapytaj go, co tam słychać w ogóle o obecnym położeniu politycznym. Jest podobno bardzo niepewne.

List ciotki przypomniał mi, że istniał na świecie jakiś „stan polityczny”; jak zwykle czytywałam czasopisma, lecz nie zwracałam uwagi na artykuły wstępne, nie zajmowały mnie wcale plotki dyplomatyczne. Do-

piero list ciotki skłonił mnie do wywiedzenia się, co słychać w sferach politycznych.

Kwestya szlezwigo-holsztyńska przeszła różne koleje i była więcéj ni kiedykolwiek zawikłaną; Augustenburg i Oldenburg, po zrzeczeniu się Glücksburga, wnieśli protest do sejmu związkowego, a Laueburg domagał się gwałtownie przyłączenia do Prus. Nikt nie wiedział, co sprzymierzeni zrobią ze zdobytymi prowincjami; oba mocarstwa posadzały się nawzajem o chęć oszukania. Napoleon III doradza Prusom, żeby przyłączyły księstwa aż po Szlezwig północny, Prusy zaś wahają się, wreszcie 22 lutego 1865 wypowiedziały swe postanowienia: wojska pruskie pozostają w księstwach, które zachowają swe siły zbrojne, lądowe i morskie; port Kielu zostanie zajęty; poczty i telegrafy będą pod zarządem pruskim, nakoniec księstwa muszą się przyłączyć do związku celnego.

Te żądania oburzyły naszego ministra Mensdorfa-Pouilly i księstwa; spór się zaostrza: Prusy tłumaczą się, że mają na celu dobro Niemiec, dodając przytém, że jeżeli ich słuszne żądania nie zostaną zaspokojone, w takim razie będą zmuszone żądać więcéj. W państwach Rzeszy i Austrii opinia publiczna powstaje coraz bardziéj na Prusy, a szczególniéj na Bismarka; król Wilhelm jedzie do Gastein, cesarz Józef do Ischl, hrabia Blome jeździ od jednego do drugiego, następuje porozumienie się, w skutek którego podpisano w Gastein traktat.

"Traktat"—wyraz ten brzmi tak mile, uspakajająco... Późniéj dopiero przekonałam się, że traktaty

międzynarodowe częstokroć służą na to, by przez ich naruszenie wywołać powód do wojny.

*

*

*

Zima sprowadziła całą moją rodzinę do Wiednia. Róża i Lili doskonale się bawiły u wód, ale żadna nie znalazła narzeczonego. Konrad coraz większe łaski zyskiwał u Lili, można było stanowczo powiedzieć, że prędzéj lub późniéj para ta stanie przed ołtarzem.

Rok 1866 witaliśmy w domu ojca, przy najweselejszym usposobieniu. Gdy wskazówka zegara stanęła na dwunastéj, Konrad wstał, wycisnął pocałunek na rękę Lili i głośnie zapytał:

— Wiéc w tym roku pozwolisz mi nazwać się twoim mężem?

— Tak, kocham cię, Konradzie—odparła Lili.

Zabrzątkły szklanki, błogosławieństwu, uściłom i życzeniom nie było końca.

Ojciec przerwał ten chaos wynurzeń mową nie licującą z uroczyścią rodzinną.

— Kochane dzieci i drodzy przyjaciele!—począł dobitnie a wolno — rok sześćdziesiąty szósty dobrze się zaczyna. Pierwsza jego godzina przynosi mi spełnienie najmiłszych życzeń, gdyż Konrada od dawna upatrzyłem sobie za zięcia. Mam nadzieję, że każdy w roku nadchodzącym otrzyma, z woli przeznaczenia, miły podarek. I Austria nie zostanie pominiętą...

wierzę, pragnę wierzyć, że przyłączymy do obszaru państwowego Lombardya lub Szląsk... Prusacy, ci przewrotni, fałszywi przyjaciele, postąpili z nami zdradziecko: muszą odebrać naukę!

— Włosi i prusacy dziś także obchodzą Rok Nowy, ojciec... — odezwałam się, niemile tą przemową dotknięta — nie życzymy im zguby.

Ojciec wzruszył ramionami.

— Marzycielko! — rzekł z politowaniem.

— Marta nie poetyzuje, nie marzy — wtrącił Fryderyk. — Ludzkość dąży do wytypienia zwyczajów barbarzyńskich, chociaż dążność ta, ten postęp jest dla oczu naszych z pozoru niewidzialnym.

— Mówisz jakbyś nie był wojskowym...

— Mówię jak czuję, jak rozumiem; prawda jest zawsze i wszędzie jedna tylko, gdy przedmiot jakiś jest czerwony nie należy nazywać go błękitnym dlatego, że się nosi mundur błękitny, czyli nie należy prawdy fałszować przez wzgląd na zapatrywanie osobiste...

I znowu wszczęła się długa dysputa, która do żadnego nie doprowadziła rezultatu. Powróciwszy do domu, zapytałam Fryderyka:

— Więc wojna na włosku... ta nieszczęśliwa, fatalna wojna! Ja cię nie puszcę, nie pozwolę ci iść na śmierć dobrowolną...

— Sama cofniesz ten zakaz dziś tak stanowczy, gdy iść każą — rzekł. — Porzucenie służby wobec wypowiedzianej wojny mogłoby się wydać tchórzostwem nie jestże to jasnym dla ciebie?

Miał słuszość; umilkłam, nie znajdując możliwości zaprzeczenia.

Odtąd badałam z natężoną ciekawością rozwój komedij dyplomatycznych a z biegiem czasu przekonywałam się, że coraz bardziej horyzont ciemniał, coraz groźniejsze zasłaniały go chmury. Dwunastego marca wpadł do mieszkania naszego ojciec, niezwykle rozpromieniony.

— Wyborne! Świetne wiadomości! — wołał zacierając ręce.

— Widmo wojny zniknęło? — zapytałam.

— Przeciwnie! Wczoraj odbyła się wielka rada wojenna... Rozporządzamy ogromnymi siłami, w każdej chwili możemy wystawić 800,000 żołnierza. Benedek obejmuje naczelne dowództwo z władzą nieograniczoną...

— Boże! mój Boże! — jęknęłam — znowu klęska na nas spada... Kto ją wywołał, kto jest tak drapieżnym, chciwym krwi przelewem i zaborów?

— Ale bo ty wszystko bierzesz opacznie. Zrozum, że tu idzie o nasz honor, nie o ten nędzny Szlezwig. Rada wojenna dowodnie wykazała, kto zajmuje stanowisko poważniejsze, kto ma drugim dyktować warunki: potomkowie brandenburskich elektorów, czy następcy długiego szeregu cesarzów rzymsko-niemieckich! Wojna nie została jeszcze wypowiedziana, gdyby jednak prusacy zuchwale się stawiali, mamy pewność zwycięstwa i nieobli-

czonych korzyści... Życzyć należy, żeby wojna już się rozpoczęła.

Placz mój przerwał entuzjastyczną mowę ojca; umilkł, spojrzał na mnie zdumiony i wyszedł trzęsąc głową. Zdawało mi się, że szepnął:

— Rozpieszczone, rozgrymaszone dziecko!

KSIEGA CZWARTA.

R. 1866.

Wojna się zaczęła...

Fryderyk, na krótko przed rozpoczęciem krwawego dramatu dziejowego, został wysłany do Czech; tym razem okoliczności oszczędziły nam chwili tak bolesnej, jaką być musi pożegnanie kochających się małżonków...

W tydzień po wypowiedzeniu wojny. otrzymałam od Fryderyka kilka wierszy pospieszenie skreślonych:

„Droga żono!

Bądź mężną... Dziś mamy wyruszyć na spotkanie nieprzyjaciela. Może zobaczę w szeregach przeciwników kilku towarzyszy z pod Düppel i z Alzen — może mego kuzyna Gotfryda... Idziemy do Liebenau, pod dowództwem hrabiego Klam-Gallas. Nie spodziewaj się listów, czasu na pisanie nie będzie; przy sposobności prześlę kilka wyrazów na znak, że żyję jeszcze

tylę ci mogę przyrzec. Chciałbym znaleźć wyraz, któryby całą moją miłość dla ciebie określił... Niestety — ludzka mowa zauboga na to. Kocham cię Marto, najczcigodniejsza, najlepsza żono!”

Konrad Althaus musiał także wyruszyć; posiadał dosyć animuszu wojennego, jednakże ciężko było mu odjeżdżać od narzeczonej.

— O Lili, Lili — mówił z boleścią — dlaczego zwlekałaś tak długo z przyzwoleniem na nasz związek! Kto wie czy powrócę?

Biedna siostra teraz dopiero się przekonała, że kocha prawdziwie Konrada; gdy odjechał, padła z płaczem w moje objęcia.

— Ma słuszość! — szepnęła. — Dlaczego dawniej nie wysłuchałam prośby jego. Byłabym jego żoną...

— Tém boleśniej przyszloby ci żegnać go, moja Lili — zauważyłam.

Co zaś do mnie, czułam się osieroconą; zdawało mi się, że wiadomość o wypowiedzeniu wojny była zarazem zapowiedzią śmierci Fryderyka. „On żyje, powróci” — wmawiałam w siebie, lecz te pocieszenia odsuwały straszliwe wizye, które mnie taką przejmowały zgrozą, że często zrywałam się w nocy z jękiem.

Ojca gniewało moje rozdrażnienie i obawa.

— To dzieciństwo, głupota — mówił. — Wypadki śmierci na wojnie zdarzają się zaledwie jeden na tysiąc, i to wśród szeregowców przeważnie. Nie trzeba myśleć o takich okropnościach.

Doktor Bresser nie znajdował się tym razem w Grumitz; dobrowolnie ofiarował swe usługi oddzia-

łowi sanitarnemu i udał się na plac boju. I mnie przychodziło na myśl: czyby nie zapisać się na listę dozorczyń ambulansowych? Gdybym miała pewność, że przez to zbliżę się do Fryderyka, nie wahałabym się, ale patrzeć na konających, nie móc dać pomocy setkom nieszczęśliwych, narażać się na tyle niebezpieczeństw i to bez celu prawie a przynajmniej nie mając pewności ulżenia cierpieniom ukochanego — na tyle poświęcenia zdobyć się nie byłam w stanie.

Ograniczyłam się na skubaniu szarpi i przygotowaniu bandażów, w czém mi wytrwale dopomagały siostry, a to nasze miłosierne zajęcie gorąco pochwalał ojciec, który przepowiadał codziennie nieobliczane korzyści, jakie Austrii przyniesie nowa wojna.

*

*

*

Pierwsze zetknięcia się wojsk naszych z nieprzyjacielem nastąpiło 25 czerwca w Liebenau; wiadomość o tém przyniósł ojciec z miną tryumfującą:

— Wspaniały początek! — mówił. — Damy się we znaki przewrotnym prusakom, zobaczycie! Zwycięstwo pod Custozzą należy do najwspanialszych w historii świata. Zawsze utrzymywałem, że odzyskamy Lombardię!... Podług mnie wojna już rozstrzygnięta; kiedyśmy się załatwili z włochami, którzy mają regularne i wyćwiczone wojsko, łatwiej nam pójdzie z „krawczykami”. Landwera! ależ tylko pruska zarozumiałość mogła nazwać wojskiem tę zbieraninę

cywilistów! Ludzie oderwani od kantorków, warstaków, nieprzywykli do ćwiczeń wojennych, nie mogą dotrzymać pola zahartowanemu żołnierzowi. Ba! to niedosyć, jeszcze lepsze mamy wiadomości: korespondent „Gazety Wiedeńskiej” donosi, że na Szlaku pruskim wybuchła zaraza na bydło i przybiera groźne rozmiary!

— To mają być dobre wiadomości? — zapytałam zdumiona.

Ojciec nie dosłyszał i w dalszym ciągu opowiadał:

— W pułkach pruskich nad Nissą panuje febra, ludzie padają jak muchy. Masz dzienniki Marto, w nich więcej jeszcze dobrych wiadomości znajdziesz.

Rzeczywiście dzienniki były przepełnione „wiadomościami dobrymi”, które jednak rumieńce wstydu wywoływały na twarzach takich zacofanych, do jakich ja należałam... Chrześcianie cieszyli się z nie-szczęść bliźnich, szczycili się przelewem krwi, dziękowali Bogu, że im się udało mordować... Jakież to piękne, szlachetne uczucia...

* * *

Niebawem szata szczęścia przeważała się na stronę prusaków; ojciec stracił humor, utyskiwał i wy-rzekał.

— Przekłete iglicówki sprzątają całe szeregi naszych bohaterów! — mówił szarpiąc wąsy — klęska spada za klęską... No, to przecie długo nie potrwa;

niech tylko wojna przeniesie się do Czech, tam co do jednego wytępiamy prusaków. Osaczymy ich ze wszystkich stron a zrozpaczeni mieszkańcy rzeź im sprawiają aż miło... Powtórzą się epizody, jakie miały miejsce w Trantenau, gdzie z okien domów wylewano wodę wrzącą i olej na krawczyków...

Okrzyk zgrozy mimowoli z ust mi się wyrwał.

— Cóż chcesz? — rzekł ojciec wzruszając ramionami — wprawdzie to okropne, ale od tego wojna!

— Nie mów przynajmniej, ojcze, że wojna uszlachetnia człowieka!

— Ale także nie nazwę jej barbarzyństwem, bo to, co nazywasz nieludzkiem nakazuje nam konieczność obrony własnej i słuszną zemstą. Iglicówki pruskie nie sprawiają naszym żołnierzom przyjemności; mordują ich bez miłosierdzia... Pomimo to przetrzepiemy obludnych przyjaciół. Popełniliśmy kilka błędów, to prawda, należy przecież pamiętać, że dotąd mieliśmy dopiero wstępne potyczki, stanowcze bitwy nastąpią teraz... Wojska nasze gromadzą pod Königgrätz, tam się rozprawimy porządnie.

Zadrżałam na te słowa: pod Königgrätz będzie walczył Fryderyk; ostatni jego list zawiadamiał o tem.

Dotychczas otrzymywałam od Fryderyka wiadomości regularnie; chociaż w pierwszym liście przygotował mnie do tego, że rzadko będzie pisywał, jednakże korzystał z każdej sposobności, aby mi przesłać chociaż kilka wyrazów. Zachowałam te pamiątki nie są to wypracowania literackie, ale ze względu na

szczerłość przekonań, bezstronność piszącego mają wartość poważną. Oto niektóre z tych listów:

.

„Na biwaku.

„Piękna, pogodna noc letnia, niebo iskrzy się gwiazdami... Ludzie spoczywają na ziemi wyczerpani długim, forsownym marszem, tylko dla oficerów sztabu rozbito kilka namiotów; w moim znajdują się trzy łóżka polowe. Towarzysze śpią, ja siedzę przy stole, na którym stoją opróżnione szklanki po grogu i płonąca świeca. Przy słabém, migotliwém świetle piszę do Ciebie, ukochana żono. Na łóżku położyłem psa mego Puksa... strasznie zmęczone, biedne stworzenie! Żałuję prawie, że go zabrałem z sobą; o nim można to samo powiedzieć, co nasi utrzymują o pruskiej landwerze: „nie przywykł do trudów i niewygód kampanii”. W tej chwili chrapie śmacznie, kto wie czy, śni o swym łaskawym przyjacielu, hr. Rudolfe Datzkym...

„Wyszedłem na chwilę z namiotu; zdaje mi się, że gwiazdy świecą obojętniej niż kiedykolwiek; w oddali przemykają się jakieś cienie: to maruderzy; wielu zostawiliśmy po drodze, teraz ściągają zwabieni strażniczym ogniem. Mieliliśmy straszliwy upał podczas forsownego marszu! Słońce paliło jak zarzewie a do tego dzwigałismy ciężkie tornistry i broń na przetartych do krwi ramionach... Dwóch czy trzech kolegów straciliśmy od porażenia słonecznego.

Noc, chociaż tak gwiazdzista, księżycowa i ciepła, a jednak nie ma uroku; nie słychać łowików ani

ćwierkania świerszczów, nie oddycha się wonią róż i jaśminów. Piękne tony przyrody zagłuszają głosy ludzkie, rżenie koni, stukot kopyt i kroki patroli nocnych; woń kwiatów przytłumiają koszarowe wyziewy. Jeszcze nie słychać uczuających kruków, nie czuć prochu, krwi i zgnilizny. Świeca dopala się, pójdę spocząć obok pocziwego Puksa.”

.

„Stoję na wzgórku, w grupie generałów i wyższych oficerów, z lunetą polową przy oku: jest to miejsce najpodatniejsze do wywołania wrażeń estetycznych podczas wojny; wiedzą o tém panowie bataliści-illustratorowie dzienników. Wódz rozpatrujący okolicę z pagórka bywa często obierany za temat do obrazów, tak samo jak pędzący na czele oddziału, z ręką wyciągniętą ku szeregom nieprzyjacielskim, z głową zwróconą do podążających za nim żołnierzy, których zachęca okrzykiem: „Za mną dzieci!”

„Ze wzgórza roztacza się widok prawdziwie poetyczny. Wijące się po niknącej w dali szosie kolumny wojsk, nieprzejrzone szeregi piechoty, jazdy, artylerii, wozy chłopskie, juczne konie sprawiają wrażenie podrażnionego mrowiska. Wrażenie się potęguje, gdy się patrzy na starcie dwóch armii. Wtedy na podobieństwo wściekłych fal morza: piętrzą się błyszczące ostrza, rozwiane chorągwie, przeróżne mundury, wspinają się rumaki, a po nad tém wszystkiém unoszą się obłoki dymu. Chaosowi towarzyszy, jak orkiestra, huk dział, wśród którego zdają się rozlegać

okrzyki: śmierć! śmierć! śmierć... Taki widok może obudzić natchnienie do szczytnego poematu!

„Cóż, Tilling — rzekł dziś do mnie jeden z generałów, przy którym stałem na pagórku — czy to nie imponujące? Wspaniała armia, co? O czém myślisz w téj chwili?”

„O czém myślałem? Tego naturalnie zwierchnikowi memu powiedzieć nie mogłem; stosując się do przepisów posłuszeństwa, wymyśliłem jakieś kłamstwo. Regulamin wojskowy i prawda nie mają nic wspólnego; ostatnia jest tak dumna, że się z pogardą odwraca od wszelkiego służalstwa.

„Zajęliśmy wioskę... Nieprzyjaciel nią zawładnął, my ją odbieramy i znów nieprzyjaciel ją zajmuje; nie jest to już wioska, tylko dymiące zgłiszcz.

„Mieszkańcy opuścili ją, uciekli zawczasu na swoje szczęście, bo walka w miejscowości zamieszkałej jest straszną, kule nieprzyjacielskie i przyjacielskie wpadają do mieszkań, zabijają kobiety i dzieci. Spadające belki, wybuchające płomienie, dym duszący oszalałe z trwogi bydło — tworzą obraz przejmujący grozą; każdy odłam muru staje się barykadą, każde okno strzelnicą... Widziałem wał z trupów ludzkich: ciała zabitych pościągano na gromadę, aby z poza téj zasłony strzelać do napastników. Póki życia nie zapomnę tego

szanca... Jedna z ciał ludzkich barykada żyła jeszcze, poruszała rękami...

„Dziś mieliśmy małą potyczkę jazdy na otwartém polu. Nadjechał kłusem pułk pruskich dragonów, rozwinął się i ściągawszy konie, szable wzniosłszy do góry, puścił się galopem na nas. Nie czekając ruszyliśmy na ich spotkanie: koń starł się z koniem, jeździec z jeźdźcem; szable świsnęły w powietrzu i spadły na głowy. Tak się wszyscy ściśnęli, że nie można było broni używać; zdziczałe, oszalałe konie rzucały się parskając, wspinały i wierzgały. Sam znalazłem się raz na ziemi i przekonałem się, że to nie przyjemnego, gdy kopyta końskie znajdują się tuż przy skroni.

„Puks — nasz biedny, wesóły, pocciwy psina, dlaczego nie zostawiłem go w domu przy Rudolfku! Biegł za oddziałem jak zwykle, nagle zaskowyczał żałośnie... odłamek granatu oderwał mu przednie łapy... Nie może biedz, zostaje opuszczony, porzucony na pastwę cierpień. Biedny pies nie wie, że pułku spieszącego do ataku nie podobna zatrzymać z przyczyny zranionej psiny; o wznioślejszym obowiązku, któremu poddać się musi człowiek, nie ma pojęcia. „Taka drobnostka nie powinna zwracać uwagi wśród gwaru wojennego”, powiedziałaoby bardzo wielu, ale

nie Ty, Marto. Wiem, że i Tobie łza w oku się zakręci, że pożałujesz naszego biednego Puksa.

.

„A, kapitan formuje oddział egzekucyjny: schwytano siedmnastu szpiegów. Już idą otoczeni czworobokiemi żołnierzami. Nie chcąc patrzeć na wykonanie wyroku; oddaliłem się lecz słyszałem strzały...

.

„Mamy nareszcie wygodny nocleg w małym miasteczku! Biedna miejscina!... Zapasy żywności, które wystarczyłyby mieszkańcom na parę miesięcy, zabraliśmy przez rekwiizycję. „Rekwiizycja”... jak to dobrze, że posiadamy taką ładną nazwę dla bezprawia...

„Miałem się już położyć, gdy ordynans oznajmił mi, że jakiś żołnierz z naszego pułku pragnie koniecznie widzieć się ze mną. „Niech przyjdzie”—rzekłem, co prawda niechętnie. Spóźniony gość odszedł hojnie obdarowany, a do tego uściśnałem mu obie ręce i przyrzekłem pamiętać o jego żonie i dziecku, gdyby jakie nieszczęście spotkać go miało. Poczciwiec przyniósł mi Puksa żywego jeszcze. Opatrzyłem szczątki jego łapek, dałem mu smaczną kolację i ułożyłem przy sobie na łóżku. Spaliśmy wybornie; z rana, gdy się przebudził, towarzysz mój zaskomlał, wyciągnął się, przestał żyć. Biedny Puks!

.

„Dlaczego inni przywożą jasne, wesołe wrażenia z wojny? Muszą chyba zamykać serce przed bólem

i strachem lub mileżeć o tych uczuciach. Gdy opowiadają straszne sceny zniszczenia, w tonie ich opowieści nie odbiśnie nuta szczerości, powtarzają to, co gdzieś czytali lub o czym słyszeli.

„Oto dwa obrazy, które wyryły mi się w pamięci, ale opowiem je po swojemu:

„Strome, skaliste wzgórza — po nich, jak koty, wdrapują się spieszenie strzelcy; kazano zdobyć pozycję; z góry padają strzały nieprzyjacielskie. Widzę wśród wstępujących na górę postaci kilka osiągniętych kul nieprzyjacielską; nagle, wyciągnawszy obie ręce, puszczają broń, głowę w tył przechalają, spadają i toczą się po ostrych załamach skały, druzgocząc o nie członki...

„Widzę jeźdźcę z boku, poza sobą; granat pęka tuż przy nim. Koń rzuca się w bok i napiera na tył mego wierzchowca — następnie przelatuje koło mnie. Jeździec został na siodle, ale odłam granatu rozdarł mu piersi, przewiercił w nich wielki, krwawy otwór... Biedak przechylił się, lecz noga pozostaje w strzemieniu a rozszalały koń wlece go po kamienistej drodze...

.

„Po rozmiękłej, stromej drodze pnie się w górę oddział artylerii. Koła armatnie grzęzną w błocie. Konie postępują z największym wysiłkiem, co chwila otrzymując nielitościwe smaganie; jeden upada już ze znużenia; razy nie pomagają: chce ciągnąć ale nie może, w żaden sposób nie może. Czyż nie widzi tego ów człowiek smagający go po głowie. To nie barba-

rzyńca, to kanonier obowiązany przewieźć nadmierny ciężar, więc spełnia tylko obowiązek. Koń nie może o tém wiedzieć; udręczone, dobroduszne, szlachetne stworzenie, które ostatki sił dobywało, co ono musiało myśleć o tej srogości, o takiej głupocie? Myśleć jak myślą zwierzęta: nie słowami, nie pojęciami, lecz uczuciem, które tém jest silniejsze im trudniej wyrazić się daje. Jeden jest na nie wyraz: jęk. Jęknęło też padając a był to jęk przeciągły, żaloszny, który dotąd brzmi mi w uszach, który całą noc prześladował mnie we śnie. Fatalny sen... Wydało mi się jakoby był... jakby to powiedzieć? Śny bywają tak bezmyślne, że mowa z trudnością wyrazić je zdoła: zdało mi się, że jestem świadomością żalu takiego artyleryjskiego konia — nie! nie jednego, lecz 100,000 koni — bo we śnie szybko obliczyłem liczbę koni zmarnowanych podczas ostatniej kampanii i żal mój wzmógł się też sto tysięcy razy...

„Znow bitwa na ulicach, w miasteczku Saar. Z okrzykiem wojennym i hukiem armat miesza się trzask belek i łoskot walących się murów. Granat wpada do domu i pękając wywołuje tak gwałtowne ciśnienie powietrza, że wyrzucone w górę szczątki domu ranią kilku żołnierzy. Nad moją głową przelatuje okno z całą ramą. Spadają kominy, gipsowanie zamienia się w pył i napęlnia powietrze duszącym, gryzącym oczy tumanem kurzu. Walka przenosi się z jednej ulicy na drugą i dosięga rynku. Pruski dra-

gon, silny jak Samson, porywa z siodła jednego z naszych oficerów i rozbija mu czaszkę o bruk; inny chwytając tuż przy mnie stojącego żołnierza, przegina go w tył na siodle tak mocno, że usłyszałem trzask kości...

„To są czyny bohaterskie!

* *

*

„Stojąc na pagórku widziałem załamanie się mostu, podczas przeprawy całego szeregu wozów. Czy wieziono rannych? Nie wiem. Widziałem tylko, jak wszystko — wozy, konie, ludzie — padało w głębokie, bystre nurty i znikało w nich. Wypadek to nadzwyczaj pomysłny, ponieważ ten szereg wozów należał do „czarnych”. Wyobrażam sobie, że w rozgrywającej się partyi „my” jesteśmy białymi figurami. Most nie załamał się przypadkiem; „biali”, wiedząc, że nieprzyjaciół będzie wtedy przeciągał, podpiłowali słupy... Piękny pomysł!

„Drugi wypadek, jaki obserwowałem ze wzgórza, to omyłka białych: Pułk Khevenhüllera został wprowadzony w bagno, z którego nie mógł się wydobyć, i z małym wyjątkiem wszystkich wystrzelano. Ranni spadają z koni, topią się, duszą, błoto napęlnia im nos, usta i oczy, nawet krzyczeć nie mogą!... To вина dowódcy, lecz mylić się jest rzeczą ludzką, a strata nie tak wielka; jedno genialne posunięcie wieżą lub królową wszystko naprawi. Wczorajszej nocy także nasz 18 batalion, przez kilka godzin strzelał do naszego pułku imienia króla pruskiego; dopiero, gdy się rozwidniło,

poznano omyłkę: część pułku Gyulai zginęła, ale są to małe przeoczenia, jakie w zapale gry przytrafiają się najlepszemu graczowi.

.

„Postanowiłem rzucić służbę, po skończonej wojnie. Gdy człowiek raz nauczy się z takim wstrętem patrzeć na coś, jak ja na wojnę, byłoby niestannem kłamstwem służyć dłużej ohydnej sprawie. Już dawniej szedłem na wojnę z niechęcią i potępiając ją w duszy; teraz niechęć tak wzrosła, że wszystkie powody, skłaniające mnie przed tém do wytrwania w zawodzie, straciły moc swoją. Zapatrywania wpojone przez wychowanie, które przemawiały za wojskowością, teraz, wśród okropności, zniknęły doszczętnie. Nie wiem, czy sprawiły to wspólne nasze czytania, z których powziąłem przekonanie, że mój wstręt do wojny nie jest uczuciem odosobnionem, że podziela ją go ze mną najświatlejsze umysły naszej epoki; czy też rozmowy z Tobą prowadzone, podczas których wypowiadając swoje zapatrywania, umacniałem się w nich, gdyż i ty uważałaś je za słuszne; dosyć, że nie będę odrabiał pańszczyzny wojennej”...

*

*

*

Bitwa pod Königgrätz przegrana! Ojciec oznajmił nam tę wiadomość takim tonem, jakby zapowiadał koniec świata.

Ani listu, ani depeszy od Fryderyka! Może ranny, może zabity? Konrad pisał do swęj narzeczonej: wyszedł cało. Lista poległych jeszcze nie nadeszła; mówiono tylko, że pod Königgrätz padło czterdzieści tysięcy a ostatni list Fryderyka oznajmiał: „Dzisiaj wyruszamy do Königgrätz”...

Już trzeci dzień, lecz nie daje znać o sobie. Płaczę całemi godzinami. Mogę płakać, bo smutek mój nie jest jeszcze bez nadziei; gdybym wiedziała, że wszystko już skończone, nie miałabym lez dla ogromu mojej boleści. Ojciec jest bardzo przygnębiony, brat Otto pała pragnieniem zemsty. Mówią, że w Wiedniu tworzą się oddziały ochotnicze, Otto chce się do nich zapisać. Słysząc także, że mają usunąć Benedeka, a na jego miejsce będzie powołany zwycięzki arcyksiążę Albrecht, wtedy podźwigniemy się może i odeprzemy zuchwałego wroga, który zniszczyć nas usiłuje, który już Wiedniowi grozi... Obawa, wściekłość i rozpacz opanowały wszystkie umysły; nazwa „prusacy” jest wyrazem najwyższej nienawiści. Moją jedyną myślą Fryderyk, a tu żadnej, żadnej wiadomości!

W kilka dni potem nadszedł list od doktora Bressera. Znajdował się w pobliżu pola bitwy, z doktorem Brauer. Za dwa dni oczekiwali przybycia pani Simon, która, od chwili rozpoczęcia wojny, była czynną w szpitalach drezdeńskich, a teraz oświadczyła, że przyjedzie na czeskie pobojuwisko, aby w tamtejszych szpitalach być pomocną. Doktor Brauer z Bresserem mieli w oznaczonym dniu, o siódmej wieczór, udać do Könighofu, ostatniej stacyi przed

Königgrätz, dokąd dochodziła kolój, i tam na tę dzielną kobietę oczekiwać. Bresser prosił abyśmy do téj stacyi przesłały mu pakę bandaży.

Sama postanowiłam zawieźć bandażę; może w którym z tamtéjszych szpitali leży Fryderyk... Przyłączę się do pani Simon i będę ukochanego chorego doglądać, jeśli go znajdę.

Nie nie mówiąc o moich zamiarach rodzinie, wybrałam się w drogę w parę godzin po odebraniu listu Bressera. Wyjazd mój usprawiedliwiłam chęcią przesłania z Wiednia rzeczy żądanych, mogłam więc bez żadnych trudności wyjechać z Grumitz. Z Wiednia zamierzałam napisać do ojca: „Odjeżdżam na plac boju”. Powstawały wprawdzie w myśli i niejaki wątpliwości: moja nieudolność, niedoświadczenie, wstręt do ran, krwi; odpędziłam je wszakże. Błagalny i rozkazujący wzrok małżonka zwracał się ku mnie; z łoża boleści wyciągał do mnie ramiona...

Mieszkańcy Wiednia byli niewypowiedzianie wzruszeni i przerażeni. Kazałam się zawieźć do hotelu, załatwiłam sprawunki, wyprawiłam list do Grumitz, przywdziałam jaknajskromniejszy strój podróżny, odpowiedni do takiej awanturniczéj wycieczki, i pojechałam na dworzec północny. Chciałam jaknajprędzej zdążyć na miejsce przeznaczenia; działałam pod wpływem jakiegś gorączki.

Przedsiönek, sale dworca kolejowego zatłoczone były rannymi; wielu znajdowało się w wagonach. Dozorecy, służba sanitarna, Siostry miłosierdzia, lekarze usiłują powstrzymać publiczność.

— A pani tu po co? — zwrócił się do mnie zawadowca. — Proszę się zwrócić do komitetu, tam przyjmują wszelkie ofiary.

— Ależ ja muszę jechać — upewniałam — kiedy odchodzi pociąg?

Na to pytanie długo nie otrzymywałam odpowiedzi, wreszcie dowiedziałam się, że pociągów pasażerskich nie wyprawiano wcale. Miał tylko odejść z wojskiem rezerwowém i drugi do wyłącznego użytku komitetu sanitarnego, zabierający kilku lekarzy, Siostry miłosierdzia i ładunek niezbędnych materyałów przeznaczonych do Königgrätz.

— Czy nie mogłabym odjechać tym pociągiem?

— W żaden sposób.

W tém przy wejściu do przedsiönka spostrzegłam barona S., wiceprezesa komitetu krajowego, tego samego, którego poznałam w 59 roku. Pospieszyłam do niego:

— Na miłość Bożką, baronie, dopomóż mi! Wszak poznajesz mię pan?

— Baronowa Tilling, córka generała hrabiego Althaus — naturalnie mam zaszczyt znać panią... Czém mogę służyć?

— Wyprawiasz pan pociąg do Czech... pozwól mi jechać! Umierający mąż wzywa mnie... Jeśli masz litość nie odmówisz mojej prośbie!

Zachodziły różne trudności, ostatecznie jednak zadość uczyniono mojemu życzeniu. Baron polecił mię opiece jednego z lekarzy, wysyłanych przez komitet.

Pozostawała godzina czasu do odjazdu. Chciałam poczekać na sali, lecz zamieniono ją na szpital. Wszędzie skulone lub leżące, obwiązane, blade postacie... Nie miałam odwagi patrzeć się na nie; zapas energii trzeba było zachować na oczekującą mnie podróż i dla niego: dla tego, który mię wzywał.

Wyszłam na peron, tam najsmutniejsze zobaczyłam rzeczy: nadszedł znów pociąg z rannymi, byłam obecna jak ich wydobywano z wagonów. Niektórzy wysiadali sami i wlekli się o ile mogli, lecz najwięcej było takich, których trzeba było wspierać lub nieść nawet. Wszystkie nosze wypełniały się natychmiast, pozostali pacjenci musieli oczekiwać powrotu tragarzy, leżąc na ziemi. U nóg moich, złożyli rannego, który nieustannie wydawał jakieś gardłowe rżenie. Zrobiło mi się niedobrze i musiałam oprzeć głowę o mur... „Tchórzliwa, słaba istotol! — lajałam się sama — i ty chcesz być użyteczną a widok niedoli o omdlenie cię przyprawiał!” Ale myśl o Fryderyku dodała mi siły: dla niego zniosę wszystko!

*

*

*

Znalazłam się nareszcie w wagonie, w towarzystwie dwóch lekarzy i czterech Sióstr miłosierdzia. Duszo było, wagon napelniała woń karbolu. Nieraz jechałam tą drogą, lecz wtedy celem moim był pałac rojący się gośćmi, wesołe miejsce kąpielowe; tędy również spieszyłam po ślubie z Fryderykiem do stolicy

Prus; dziś celem podróży było pobojewisko, szpitale — miejsca śmierci i cierpień. Wzdrygnęłam się.
— Szanowna pani cierpiąca — odezwał się jeden z lekarzy.

Podniosłam oczy. Miałam przed sobą młodego człowieka, prawdopodobnie świeżo wypuszczonego z uniwersytetu. Szlachetnie postępował poświęcając pierwsze swoje usługi tak niebezpiecznemu i ciężkiemu zadaniu! Czułam wdzięczność dla ludzi siedzących obok mnie w wagonie za ulgę, jaką nieś pragnęli cierpiącym; pełnym poświęcenia zakonnicom składałam hołd podziwu i wdzięczności w głębi mego serca. Ale cóż mógł dać każdy z nich? Odrobinę pomocy na bezmiar cierpienia.

— Nie, doktorze — odpowiedziałam na troskliwe pytanie lekarza — nie jestem chora, tylko cokolwiek osłabiona.

— Mąż pani, jak mi mówił baron S., otrzymał ranę pod Königrätz; pani jedziesz go doglądać? — wtrącił z kolei lekarz sztabowy. — Czy wiadomo pani w jakiej miejscowości się znajduje?

— Jadę do Könighof — odrzekłam — tam czeka nasz przyjaciel, doktor Bresser.

— Znam go... przed trzema dniami zwiedzaliśmy razem pobojewisko.

— Zwiedzaliście pobojewisko... — powtórzyłam wzdrygając się — opowiedz pan, proszę, musi to być zajęcie straszne!

Lekarz zaczął opowiadać. Mówił z częstymi przestankami, niechętnie, a luźne zdania wywoływały w mojej wyobraźni cały szereg obrazów, które żywo

wyryły się w mojej pamięci. W innych okolicznościach nie byłabym tak zapamiętała opowiadania, lecz znajdowałam się w stanie nerwowego natężenia; nieustanna myśl o Fryderyku sprawiała, że we wszystkich opisywanych scenach widziałam jego. Oto mniej więcej treść opowiadania towarzysza podróży:

*

*

*

„Ambulans znajduje się za wyniosłością pagórka, który go zasłania. Po tamtej stronie toczy się walka, ziemia drży od huku armat i broni ręcznej... Wysyłają patrole na plac boju dla zabrania i przyniesienia ciężko rannych. Czyż może być coś więcej bohaterskiego jak pochód wśród świszczących kul, wśród wszystkich okropności bitwy, z narażeniem się na wszelkie niebezpieczeństwa — ludzi nie biorących udziału w tém dzikim wirze? Według pojęć wojskowych, nie jest to zajęcie chlubne; do służby sanitarnéj nie pójdzie żaden chwacki, dzielny człowiek. Żaden „felczer” — chociaż dzisiaj nazywają ich lekarzami pułkowymi — nie może się przecież porównać z walecznym dragonem?

„Kapral korpusu sanitarnego prowadzi swych ludzi ku dolinie, którą praży ogień baterii. Idą wśród gęstej mgły dymu, padające u ich nóg kule podnoszą tumany kurzu z ziemi. Zaledwie uszli kilka kroków, znajdują lżej rannych, którzy wloką się sami. Jeden z nich pada; nie rana odbiera mu siły lecz osłabienie. Dwa dni nie mieli nic w ustach... odbyli forsowny marsz w przeciągu dwunastu godzin... roz-

łożyli się biwakować... we dwie godziny alarm i bitwa...

Patrol postępuje dalej.

Na kamienném rumowisku leży krwawy kłębiał; podoficer służby sanitarnéj staje, robi kilka opatrunków; zabrać tych rannych nie może, najpierw trzeba pójść po znajdujących się w samym środku polowiska, tych może zabiorą wracając...

Znów posuwają się dalej, zbliżają się do walczących; ranni ciągną coraz tłumniejszemi gromadami, wloką się sami lub z trudem wspierają jedni drugich. Tym się rozdaje wino, opatrunki, wskazuje drogę do ambulansu. Przebywają parów. Tu leżą jedni na drugich zabici i ranni; ostatni witają patrol sanitarny jak aniołów zbawienia, błagają pomocy złamanym głosem, płacząc, jęcząc dopominają się o jeden łyk wody... Niestety — zapasy prawie już wyczerpane... W tém odzywa się przeciągły dźwięk sygnału, wzywający służbę sanitarną, po chwili nadjeżdża adjutant: „Służba sanitarna?” — „Jesteśmy na rozkaz!” — odpowiada podoficer. — „Za mną!”

Widocznie jakiś generał został raniony... Należy tamtych prostych żołnierzy porzucić.

Pospiesznym krokiem dążą za adjutantem, który wskazuje im drogę. Nie zatrzymują się już wcale, chociaż na prawo i na lewo rozlegają się jęki i wezwania”.

*

*

*

„Często podczas opatrunku padające kule i granaty nowe zadają rany; albo zdarza się, że bitwa przenosi

się na miejsce opatrunkowe, tuż przy ambulansach, i cały personal sanitarny, wraz z lekarzami i chorym, znajduje się na raz w tłumie walczących. Dzieją się wtedy rzeczy niewypowiedzianie straszne, szczególnie gdy spłoszone konie, bez jeźdźców, pędząc przewracają po drodze nosze, na których złożono ciężko rannych, i gruchoczą, miażdżą ich bez litości. A oto obraz najstraszniejszy: w chacie umieszczono stu rannych, opatrzone ich i pokrzepiono. Wtém pada granat i wznica pożar... W jednej chwili cały ten naprędce urządzony szpital stoi w płomieniach; krzyk, wycie raczej, jakie wydobywa się z kłębow dymu i zwójów płomieni, wstrząśnie sercem najobojętniejszym, rozdrze pierś najzimniejszą”.

— Pani niedobrze — przerwał opowiadacz widząc, że drzę i błędnę.

Upewniłam go, że chwilowe osłabienie] wywołane zostało upałem i niewywczaśsem i prosiłam żeby opowiadał jeszcze. Zdawało mi się ciągle, że nie wszystko usłyszała, że mię nie oprowadził po wszystkich kręgach wojennego piekła, że pozostały do zwiedzenia najstraszniejsze.

Rzeczywiście pozostawał opis pobojuwiska, gdy walka ustanie.

„Nie słyhać grzmotu dział, dźwięku trąb ani odgłosu bębna, zamiast nich odzywają się ciche, bolesne jęki i rżenia konających. Na zrytej ziemi czerwienią się błyszczące kałuże krwi; praca ludzka zniszczona, ledwie tu i owdzie pozostał szmat pola kłosaami pokrytego; wesołe niegdyś wioski zamienione w ruiny i zgłiszczą. Przy rannych i konających nie

widzieć żdźbła trawy, tylko bagnety, szable, tornistry, płaszcze, wozy z amunicją... Obok armat, których gardziele dym poczerńił, ziemia najbardziej krwią przesiąknięta; tam największa liczba ofiar ludzkich, literalnie poszarpanych kulami”.

A jednak usłyszałam o scenach jeszcze okropniejszych: odgrywają się one po bitwie, bohaterami ich są hyeny o ludzkim ciele. Potwór taki skrada się, pochyla nad zmarłymi i żywymi, zdziera im suknie, buty, ściąga pierścionki ze zranionej ręki, obcina palec, aby posiąść kosztowność jeśli ofiara usiłuje się bronić, hyena morduje ją bez miłosierdzia.

Krzyknęłam. Zdawało mi się, że widzę taką scenę, że potwór o ludzkim ciele morduje mego Fryderyka.

— Widzę, że panią to rozdrażnia — zauważył lekarz — lecz sama żądałaś...

— Tak, tak, żądałam i chcę słyszeć wszystko. To, coś pan opisywał, działo się w nocy po bitwie, przy blasku gwiazd?

— I przy świetle pochodni. Patrole niosą pochodnie i latarnie; te ostatnie są czerwone, wiszą na tykach sygnałowych.

— A we dnie, jakie wrażenie robi pobojuwisko?

— Jeszcze smutniejsze. Przy świetle dzienném dopiero można objąć wzrokiem cały rozmiar klęski...

— Któż się zajmuje grzebaniem ciał, czy służba sanitarna?

— Nie moglibyśmy podolać tak uciążliwej pracy! Dostyć mamy zajęcia przy rannych.

— Więc wyznaczają do tego żołnierzy?

— Dokonywa tego kto się trafi... najczęściej zgraja włóczęgów dążących tropem za bagażami, naturalnie, że nie z dobrej woli ale pod naciskiem władzy wojskowej lub komitetów dobroczynnych. Gdybyś pani mogła sobie wyobrazić, jak się odbywa ta czynność, która przecież powinna nosić cechę obrzędu chrześcijańskiego... Zbiegowisko grabarzy śpiewa, śmieje się, wymienia dowcipy brutalne... bo, wiadomo pani może, że za pracę otrzymują ci żałobni robotnicy gorzałkę zamiast pieniędzy, a umysł przyćmiony do rozpasania jest tak skłonny.

— Dosyć! dosyć! — przerwałam towarzyszowi podróż, chwytając się za głowę, on zaś spojrzał na mnie ze smutkiem i zdawało mi się, że szepnął:

— A jednak opowiedziałem ci część okrucieństw zaledwie...

* * *

*

Pamiętna to była podróż! Sceny jakie opisywał lekarz stały mi ciągle przed oczyma wyobraźni. Chcąc odpędzić te krwawe mary wyjrzałam przez okno, szukając rozrywki w widoku krajobrazów, lecz i tam wzrok napotykał odbicia klęsk wojennych. Okolica nie nosiła śladów spustoszenia: nie dymiły się zgłiszczą zbombardowanych wiosek, nie gospodarował tu jeszcze „nieprzyjaciół”, ale trwożne hasło: „Prusacy idą! prusacy idą!”, brzmiało zda się na całej przestrzeni. Nie słyszałam tych słów, jednakże byłam pewną,

że je powtarzano drżącymi ustami po chatach wiejskich i miastach. Wszędzie po drogach pełno uciekających; ciągnęły w głąb kraju szeregi wozów ładowanych pościelą, sprzętami i zapasami, wszystko widocznie spakowane w największym pośpiechu; prosięta, małe dziecko i parę worków kartofli na jednym wózku, a obok pieszo mąż, żona i starsza dziatwa; taką rodzinę przymuszonych wychodźców dostrzegłam najpierw. Gdzież dążyli ci biedacy? Sami zapewne nie wiedzieli dokąd—byle dalej, dalej od „prusaków”.

Często przesuwaliśmy się obok naszego inny pociąg a w nim znów pośliznięte twarze, przewiązane głowy, ręce na temblakach. Na przystankach zwłaszcza można się było nasycić widokiem nieszczęśliwych; tam gdzie zwykle widzi się różnobarwny tłum podróżnych, teraz leżały jęczące, skurzone postacie; to żołnierze z okolicznych polowych i prywatnych szpitali, którzy oczekują na pociąg. Muszą tu wyczekiwać długo, a Bóg wie, ile już wyprawiono takich krwawych ładunków? Z pola bitwy wiozą ich na miejsce opatrunku, ztamtąd do ambulansu, z ambulansu do przenośnego polowego szpitala, potem na kolój, do Wiednia, ztamtąd wreszcie po długich cierpieniach może powrócą do pułku, a może powiozą ich na cmentarz...

Ruch na dworcach, szczególnie na większych, robił na mnie wrażenie przynębiające. To bieganie tam i napowrót, to dzikie tłoczenie się wojska gotowego do pochodu, uciekinierzy, tragarze, pokrwawieni i jęczący żołnierze, łkające i łamiące ręce kobiety, szorstka komenda, szcęk broni, a wśród tego wszystkiego nie

ustannie dźwięczący dzwonek telegraficzny i syk machin parowych, jakże to się z sobą nie godziło!

Para, elektryczność, wspaniałe godła tryumfu ludzkiego umysłu, których przeznaczeniem ułatwiać stosunki międzynarodowe, uprzyjemniać, upiększać i czynić szczęśliwem życie, na usługach barbarzyństwa. To upokarzające, bolesne. „Przypatrzcie się naszym kolejom, naszym telegrafom, jesteśmy cywilizowanym społeczeństwem”—chlubimy się wobec dzikich a używamy zdobyczy wiedzy na ułatwienie morderstw...

*

*

*

Późnym wieczorem stanęłam w Könighof. Moi towarzysze podróży musieli wysiąść na jednej z poprzednich stacyj, pozostałam sama w obawie i trwodze. A jeżeli doktor Bresser nie mógł przybyć, cóż pocznę wtedy? Przytém byłam utrudzona podróżą i zdenerwowana tém na co patrzyłam. Gdyby nie pragnienie zobaczenia Fryderyka, byłabym chętnie położyła się, zasnęła, żeby się nie obudzić więcej na tym świecie, gdzie takie okropności się dzieją!...

Pociąg zatrzymał się. Drżąca i znużona zaledwie zdołałam wysiąść i wziąć swój ręczny tłomoczek, w którym wiozłam bieliznę dla siebie, zapas szarpi i bandażu dla rannego, a nadto nesesor podróżny. Zabrałam go z nawyknięcia w tém przekonaniu, że bez tych srebrnych puszek, przegródek, szczotek i grzebień nie istnieć nie podobna. Miałam się dowiedzieć teraz, że w czasach burzliwych trzeba zapomnieć o czystości,

będącej dla ciała tém, czém jest uczciwość dla duszy. To rzecz naturalna: wszak wojna jest zaprzeczeniem cywilizacji, więc sprowadza cały szereg zwyczajów i upodobań dzikich. Nienawidzony przez ludzi rozumnych i szlachetnych brud jest nieodłącznym wojny towarzyszem.

Paka z zapasami szpitalnemi, które zakupiłam w Wiedniu dla doktora Bressera, została wyprawiona wraz z innemi bagażami komitetu dobroczynnego; kto wie czy dojdzie miejsca przeznaczenia i kiedy będzie oddana? Przy sobie miałam tylko dwa ręczne tłomoczki i torebkę z pieniędzmi. Na dworcu Könighof panował taki sam zamęt jak na innych, znów ten sam widok: ranni — i ranni.

Noc była ciemna, bezksiężycowa; dworzec oświecały trzy czy cztery latarnie. Zmęczona, senna rzuciłam się na ławkę, ułożywszy tłomoczki na ziemi przed sobą. Nie miałam odwagi przekonać się, czy wśród ludzi biegnących tam i napowrót znajduje się doktor Bresser. Byłam prawie przekonana, że go nie zastanę, że coś mu przeszkodzi przybyć, lub że przybędzie o inną godzinie niż o tej, jaką naznaczył.

Postanowienie moje wydało mi się teraz szaleństwem. Kto wie: może Fryderyk znajduje się w drodze do domu, może zabity; dlaczego szukam go tutaj? Teraz słyszę inne wezwanie, inne ramiona wyciągają się do mnie: Rudolf, syn mój, jakże on musi być niepokojny o swoją mamę; zasnąć pewnie nie może bez macierzyńskiego pocałunku... Dokąd się udam, jeżeli nie zastanę Bressera? Tak niepewną wydała mi możliwość znalezienia go, jak nadzieja wygrania główne-

go losu na loteryi. Na szczęście miałam torebkę z pieniędzmi, a banknoty są dzielnym środkiem zaradczym. Mimowolnie sięgnęłam do torebki... Boże! rękomyk na którym była zawieszona przerwał się, czy też został odcięty — torebka, a z nią pieniądze, zniknęły. Pomimo to nie narzekałam; nie miałam do tego prawa, wobec nieszczęść, jakich doznawał ogół.

Przypatrywałam się obecnym — doktora ani śladu. Co poczyć? Do kogo się udać?

— Gdzie mogę znaleźć naczelnika stacyi? — zapytałam kogoś z przechodzących obok mnie.

— Pani zapytuje o naczelnika stacyi rannych, doktora sztabowego? Stoi tam.

Nie miałam go wcale na myśli, ale może będę mogła zasięgnąć u niego wiadomości o doktorze Bresser. Zbliżyłam się więc do niego; miałam już pytanie na ustach, gdy spostrzegłam spieszenie ku nam dążącego mężczyznę, w którym poznałam doktora Bressera.

— Baronowa Tilling? Co pani tu robisz? — zawołał zdumiony.

— Przybyłam pomagać panu... Czy w którym z pańskich szpitali niema Fryderyka?

— Alboż ranny? Nigdzie go nie spotkałem — brzmiała odpowiedź.

Nie było go tu, więc albo zabity, albo ocalał; zresztą Bresser nie mógł wiedzieć o wszystkich rannych, trzeba będzie samą rozpocząć poszukiwania.

— A gdzie pani Simon? — zapytałam znowu.

— Jest tu od kilku godzin... Dzielna kobieta! Stanowcza, energiczna, bystra... Zajmuje się teraz przenoszeniem rannych do pustych wagonów. Dowie-

działa się, w że poblizkiej miejscowości, w Horonewie, panuje straszliwa nędza, więc tam jedzie a ja jęj towarzyszę.

— I ja także, doktorze!

— Co za myśl, baronowo? Pani tak delikatna, tak nieprzystawajona do ciężkiej, mozolnej i przykrej nad wyraz pracy...

— Jeśli jesteś przyjacielem moim, doktorze, pomóż mi do przeprowadzenia mego zamiaru... Na wszystko się odważę, spełniać będę co mi tylko każećcie... Zabierzcie mię z sobą, przez litość weźcie mnie!

— Ha, dobrze, stanie się, jak pani każeś... Otóż i zacna pani Simon, pójdź pani, zapoznam was.

*

*

*

W pięć minut później znajdowaliśmy się na drodze do Horonewa. Wóz drabiniasty, który przywiózł z tamtąd rannych, służył nam za pojazd. Siedzieliśmy na słomie, która może nosiła jeszcze krwawe ślady. Żołnierz, siedzący obok furmana, trzymał latarnię, której migotliwe światło padało na drogę. Wszystko robiło na mnie wrażenie dręczącego snu. Jedyną rzeczą uprzytamniającą rzeczywistość mego położenia, i zarazem uspakajającą, była obecność doktora Bresser.

Powieki ciężły mi ołowiem, w skutek niewygodnego siedzenia czułam ból w całym ciele, rozdrażnienie nerwowe zasnąć mi nie pozwalało; tém straszniej dokuczala mi potrzeba snu. Bezladne, gorączkowe

myśli szarpały mózg, okropne sceny z opowieści lekarza pułkowego snuły się przed memi oczyma: widziałam kopiących grabarzy, skradające się ku rannym i trupom hyeny, słyszałam rozpaczliwe krzyki ofiar płonących w szpitalu.

Nie przeszkadzało mi to wcale słuchać rozmowy, prowadzonej półgłosem przez towarzyszków podróży... „Część pokonanej armii pospieszyła do Königgrätz — opowiadał doktor Bresser — lecz jej bram fortecznych nie otworzono a nawet z wałów dano do nich ognia. Wielu rzuciło się w fosy i potonęło... Elba wstrzymała uciekających, tu zamęt dosięgnął szczytu. Mosty tak były zapchane końmi i armatami, że dla pieszych brakło miejsca... Ludzie rzucali się do rzeki...

— W Horonowie ma być także okropnie — mówiła pani Simon. — Mieszkańcy opuścili wioskę, wszystkie mieszkania zniszczone, przepełniają je ranni... Dobrodziejstwo wyświadczamy wioząc dla tych nieszczęśliwych zapasy żywności; niestety za mało ich zamało!

— Pomoc lekarska równie jest niedostateczna — zauważył doktor. — Brak wielki ludzi, narzędzi i lekarstw. Wszędzie takie przepełnienie, że obawiać się należy groźnej epidemii. Staramy się wysyłać ztąd jaknajwięcej rannych, lecz stan ich po większej części tak opłakany, że podróż śmiercią im grozi. To, na co patrzyłem od czasu bitwy pod Königgrätz, przechodzi wszelkie pojęcie. Musisz pani być przygotowaną na widok nad wyraz bolesny i okropny.

— Posiadam długoletnie doświadczenie i odwagę.

— Wiem o tém. Ja odwagę wobec nieszczęścia innych poszczycić się nie mogę, szczególnie jeżeli nie jestem w stanie go ukoić. Patrząc na tysiące ofiar, skazanych na powolne konanie, to okropne! We wszystkich ambulansach polowych brak żywności, a nadewszystko brak było wody. Wszystkie prawie studnie zatruli lub popsuli mieszkańcy... nigdzie kawałka chleba... Kościoły, dwory, chaty, pałace — wszystko to napelnione rannymi; po wszystkich drogach wloką się wozy z pokrwawionemi ofiarami wojny...

— Wielu zapewne umiera w drodze? — zapytała pani Simon.

— Albo umierają natychmiast po odwiezieniu ich do szpitala — dokończył doktor. — Jedni konają spokojnie, drudzy staczają straszliwą walkę śmiertelną: rzucają się, miotają przekleństwa od których włosy powstają na głowie... Takie klątwy musiał pewnie słyszeć ów pan Twinnig z Londynu, który na kongresie genewskim podał projekt: żeby, gdy stan rannego żadnej nie pozostawia nadziei, dobić go za pomocą narkotyku.

— Patrz, doktorze — przerwała pani Simon — jaka luna na niebie... Zapewne wieś jaka się pali!

Otworzyłam oczy i spojrzałam na purpurowy odbłask.

— Nie, to księżyc wschodzi — odparł doktor.

Po chwili sen mię zmorzył; gdym poczuła, że zasypiam, że świat przestaje dla mnie istnieć, doznałam nieokreślenie błogiego uczucia. Spoczynek trwał niedługo, nagle zbudził mnie nie hałas ani wstrząśnienie lecz zaduch zepsutego powietrza.

Wóz nasz znajdował się na zakręcie drogi, tuż przy cmentarzu, na którym leżało mnóstwo trupów... Rozkładające się ciała przesycały powietrze ciężkim, obrzydliwym oparem, tamującym oddech.

— Fryderyku mój, Fryderyku! — zawołałam sama niewiedząc dlaczego.

— Uspokój się, pani — pocieszał mię Bresser, — tu nie może znajdować się twój małżonek.

Żołnierz powożący popędzał konie, aby jaknajprędzej stracić z oczu straszne miejsce; wóz niknął jakbyśmy byli ścigani. Zdało mi się, że nas konie unoszą, strach mię zdjął. Uczepiłam się obiema rękami ramienia Bressera... krzyknęłam i zapadłam w omdlenie.

* * *

Wóz zawrócił na nowym zakręcie.

— Przybyliśmy na miejsce, to Horonewo — usłyszałam głos doktora po pewnym czasie.

— Co pocniemy z tą biedną? — wyrzekała pani Simon; — będzie nam zawadą nie pomocą.

Zerwałam się czémprędzej:

— Nie, nie! — zawołałam — już mi lepij...

Znajdowaliśmy się we wsi, przed bramą pałacu.

— Zobaczmy najpierw, co się da zrobić tutaj — rzekł doktor. — Pałac, opuszczony przez mieszkańców, od strychu do piwnicy ma być napełniony rannymi.

Wysiedliśmy. Zaledwie trzymałam się na nogach, ale usiłowałam nie okazać tego.

— Czy mamy wszystkie nasze tłumaczki? — zapytała pani Simon. — To, co przywożę, pokrzepi nieśczęśliwych.

— W moim kuferku znajdują się środki wzmacniające i bandaż — odezwałam się.

— A w mojej torbie instrumenta i apteczka podróżna — dodał Bresser, poczem weszliśmy w bramę.

Głuche jęki odzywały się z różnych stron... ciemność głęboka panowała wszędzie.

— Światła! światła przede wszystkim! — wołała pani Simon.

Niestety, pamiętaliśmy o wszystkim: przywieźliśmy czekoladę, ekstrakt mięsny, cygara i bandaż — ale o świecach nikt nie pomyślał. Zapalki, które się znalazły w kieszeni doktora, oświeciły na chwilę straszliwy widok tego miejsca cierpień wszelkich, które myśmy odczuwali moralnie a którym ulżyć nie pozwalał brak światła.

— Pójdę na probostwo — zdecydował pani Simon — tam może znajdę światło.

Wróciliśmy przed pałac, usiadłam znów na wozie, pani Simon z doktorem i kilkoma żołnierzami udali się na wieś.

W pół godziny wrócili z niczem; probostwo zastali zrujnowane i puste, chaty w gruzach; nie było innej rady, tylko czekać aż się rozwidni.

O świcie pani Simon i doktor powtórnie udali się na zwiady, czy nie uda się wyszukać ukrytych mieszkańców wioski. Poszukiwania im się powiodły. Z rozwalonych domów powysuwali się wieśniacy, z początku patrzyli na nas z nieufnością, ale gdy doktor przemówił do nich serdecznie, zgodzili się nam pomagać. Najpierw należało pochować umarłych, studnie oczyścić aby żywym dostarczyć wody, pościagać rozrzu-

cane na drodze kotły, aby mieć naczynia, opróżnić tornistry poległych i znajdującą się w nich bieliznę użyć dla rannych. Nadjechał także pruski lekarz sztabowy z ludźmi i zapasami — więc można było coś zrobić. Nadeszła chwila, kiedy znajdę może tego, dla którego podjęłam tę smutną podróż; myśl ta orzeźwiła cokolwiek moje omdlałe siły.

Pani Simon udała się z pruskim doktorem do pałacu, gdzie najwięcej było rannych, doktor Bresser miał zwiedzić inne zabudowania. Wolałam przyłączyć się do przyjaciela, poszliśmy więc razem. Wiedziałam zresztą, że Fryderyka niema w pałacu; Bresser już zrobił przegląd rannych.

Po drodze wstąpiliśmy do kościołka wiejskiego; tam, na kamienną posadzkę, leżało przeszło stu ciężko rannych. Już na progu nie dobrze mi się zrobiło, pomimo to szłam odważnie wśród rzędów leżących, szukając Fryderyka... Nie było go.

Bresser z towarzyszącymi mu ludźmi zajął się biedakami; oparłam się o boczny ołtarz i z niewypowiedzianą zgrozą patrzyłam na ten obraz nędzy.

Jęki opatrywanych i wzywających ratunku szarpały mi serce, czułam, że mi twarz pała, w skroniach tętna uderzają coraz gwałtowniej, zaczęło mi się ciemnie w oczach... zamknęłam je...

*

*

*

Oprzytomniawszy znalazłam się w wagonie pociągu; naprzeciw mnie siedział doktor Bresser. Gdy

spostrzegł, że otwieram oczy i rozglądałam się badawczo zdziwiona, ujął moją rękę:

— Tak, pani Marto — odezwał się — to przedział drugiej klasy, pani nie śnisz bynajmniej. Znajdujesz się w towarzystwie kilku lekko rannych oficerów i starego przyjaciela; jedziemy do Wiednia.

Tak było jak mówił. Przywiózł pewną część rannych z Horonewa do Künninghof, a ztamtąd poleciano mu innych odwieźć do Wiednia. Mnie nieprzytomną zabrał również i odwoził do domu. Okazałam się zawałą w miejscu niedoli; pani Simon musiała być bardzo zadowolona, gdy mnie doktor zabierał.

A Fryderyk? Nie odszukałam go. Może w domu zastanę od niego lub o nim wiadomość... Nadzieja ta wlewała balsam w zranioną duszę.

Na dworcu wiedeńskim oczekiwał mnie ojciec. Doktor, który o wszystkiém pamiętał, telegrafował do Grumitz. Sam nie mógłby mnie tam odwieźć, gdyż musiał odstawić rannych do szpitala i powracać niezwłocznie do Czech.

Ojciec uściśnął mnie w mileczeniu, ja także nie mogłam przemówić słowa.

— Jakże mam panu dziękować? Gdybyś się nie zaopiekował tą szaloną istotą mogło ją być spotkać nieszczęście — rzekł ojciec zwrócony do Bressera.

Ten żegnał nas, ściskając nam dłonie.

— Muszę uciekać — mówił — służba mnie woła. Szczęśliwój podróży! Panią należy oszczędzać, ekscelencyjo... doznała silnych wstrząśnień. Żadnych wy mówek, żadnych wybadywań — jaknajspieszniej, do

łóżka... kwiat pomarańczowy za napój... spokój zupełny. Bywajcie zdrowi!

Ojciec podał mi ramię i poprowadził, przeciskając się przez tłum ku wyjściu.

Już kilkakrotnie miałam na ustach pytanie: „czy nie było wiadomości od Fryderyka?”, lecz nie mogłam zdobyć się na tyle odwagi, aby je wypowiedzieć. Nareszcie, gdyśmy wsiedli do powozu i już kawał drogi ujechali a ojciec milczał ciągle, wyjąkałam.

— Wczoraj wieczór nie było jeszcze żadnej — brzmiała odpowiedź. — Może dziś zastaniemy jaką. Wyjechałem wczoraj, zaraz po otrzymanej depeszy. Jakiegoś ty nas strachu nabawiła, nierozsądne dziecko!

— Co się dzieje z Rudolfkiem?

— Tęskni za tobą, szuka cię po całym domu, i nie chce wierzyć, żebyś odjechała nie ucałowawszy go na pożegnanie. O nikogo więcej nie pytasz? A Lili, Róża, Otto, ciotka? Stałaś się bardzo dla rodziny obojętną! No, to sam ci powiem, że wszyscy są zdrowi. Od Konrada był list wczoraj, nic złego nie spotkało go; Lili uszczęśliwiona. Zobaczysz, że i od Tillinga będą wkrótce wiadomości. Niestety, stan polityczny nie obiecuje nic dobrego. Musiałaś zapewne słyszeć o tym wielkiem nieczęściu?

— O jakim?...

— Mówię o Wenecyi! Nasza piękna Wenecya stracona, i to po tak świetnych zwycięztwach jak Custozza... Zamiast odebrać Lombardję, oddajemy Wenecję! Coprawda, pozbywamy się przez to nieprzyjaciela na południu, zyskujemy poparcie Ludwika Napoleona i możemy całą siłą pomścić Sadowę, wy-

rzucić z kraju prusaków, ścigać ich i zdobyć Szląsk. Benedek popełnił wielkie błędy, ale teraz dowództwo spokojnie w rękach zwyciężkiego wodza armii południowej... Nic nie mówisz na to?

Po dwugodzinnej podróży stanęliśmy w Grumitz.

Gdy powóz zajeżdżał na dziedziniec, wybiegły obie siostry.

— Marto, Marto! — wołały już zdaleka. — On jest tutaj!

— Kto?

— Twój mąż, Fryderyk!

*

*

*

Było to prawda: wczoraj późnym wieczorem przybył Fryderyk do Wiednia a ztamtąd do Grumitz. Dostał postrzał w nogę, rana czyniła go niezdolnym do służby i wymagała kuracyi.

Wiadomość, którą mi siostry tak nagle oznajmiły, oddziaływała tak samo jak i okropności dni poprzednich: straciłam przytomność.

Wyniesiono mię z powozu i położono do łóżka. Tu, czy to w skutek działania narkotyku, czy też nie spodziewanej radości, pozostałam kilka godzin bezprzytomna, drzemiąc i bredząc naprzemian. Gdym oczy podniosła, przy łóżku stała pokojowa.

— Kąpiel gotowa? — zapytałam — wstanę zaraz.

Na to nadbiegła ciotka Marya:

— Ach, Marto, kochana biedaczko, przebudziłaś się wreszcie przytomna dzięki Bogu! Tak, tak, wstawaj... Fryderyk z niecierpliwością oczekuje ciebie.

— Fryderyk, mój drogi Fryderyk!!

.

Fryderyk leżał na sofce, gdy weszła, ręce do mnie wyciągnął.

— Chciałaś mię odszukać i pielęgnować, moja bohatera i nierozważna Marto? — zapytał z łagodną wymówką.

— Tak, nierozważna — przyznaję, lecz bohaterstwa nie dowiodłam. Żebyś wiedział, jak drżałam wobec téj niedoli! Tylko ciebie — gdybyś tam był — mogłabym była doglądać. Fryderyku, widziałam okropne rzeczy, których nigdy nie zapomnę. O jak to można tak niszczyć nasz piękny świat?

— I ja widziałem coś strasznego, Marto — coś, czego nigdy nie zapomnę. Wyobraź sobie: podczas szarży kawaleryi pod Sadową wpada na mnie ze wznieśioną szablą... zgadnij kto?

— Syn ciotki Kornelii?

— On sam. Poznał mnie jeszcze w sam czas i opuścił pałasz...

— Postąpił wbrew swemu obowiązкови: osmielił się, dla marnego względu przyjaźni i pokrewieństwa, oszczać nieprzyjaciela.

— Biedny chłopak! Zaledwie swój pałasz opuścił inny błysnął nad jego głową... Adjutant mój chciał zasłonić swego zwierzchnika i...

Fryderyk zakrył twarz rękoma.

— Zabił go? — zapytałam wzdrygnąwszy się.

Potwierdził skinieniem głowy.

— Mamo, mamol — rozległo się wołanie w przyległym pokoju i drzwi się otwarły; weszła Lili prowadząc Rudolfa.

— Wybaczcie, że przerywam wasze sam na sam, ale ten młodzieniec dopominał się zbyt gwałtownie o swoją mamę.

Pospieszyłam do dziecka, przycisnęłam je do serca.

* * *

Tego samego dnia przybył wezwany z Wiednia chirurg i opatrzył ranę Fryderyka. Zalecił sześć tygodni największego spokoju, tyle czasu wymagało uleczenie.

Oboje postanowiliśmy, już niezłomnie, że Fryderyk porzuci służbę. Naturalnie dopiero po skończeniu wojny mogło to nastąpić. Zresztą można już było uważać wojnę za skończoną; ustąpienie Wenecyi usunęło zatarg z Włochami i zapewniło przyjaźń Napoleona, więc z północnym zwycięzcą będzie można zawrzeć pokój na umiarkowanych warunkach.

Sam cesarz pragnął najgoręcej pokoju, aby nie narażać stolicy na oblężenie. Zwycięstwa otoczyły przeciwnika pewną aureolą, która — jak wszelkie powodzenie — i u nas w kraju podziw budziła i szerzyła to przekonanie, że prusacy spełniają misję historyczną. Nawet

ojciec zgadzał się z tém, że w obecnych okolicznościach należało zaprzestać kroków nieprzyjacielskich; armia była osłabiona, przewaga iglicówek stwierdzona, a pochód wojsk nieprzyjacielskich na stolicę, oblężenie Wiednia, zniszczenia Grumitz, były to ewentualności, które nie osobiwie uśmiechały się nawet staremu żołnierzowi. Wiare jego w zwyciężkość wojsk austriackich zachwiały niezbite dowody; lepiej za-
tém nie brnąć dalej w tęj powodzi klęsk, czas zadośćuczynienia i zemsty nadejdzie.

Zemsta, zawsze zemsta? W każdej wojnie musi być jedna strona pokonana, a jeśli spodziewa się znaleźć zadośćuczynienie w wojnie następnej, która znów jedną ze stron wojujących natchnie pragnieniem zemsty i zadośćuczynienia; kiedyż więc koniec temu będzie?

Ogólny nastrój w Grumitz był teraz bardzo po-
sępny. I tu zapanował strach paniczny; pomimo spodziewanego z różnych względów pokoju — ludzie pakowali i ukrywali kosztowności, spodziewając się, że mogą nadejść prusacy; u nas ukryte zostały także rodzinne srebra.

Lili niepokoiła się nieustannie o Konrada, od którego nie było wiadomości; ojciec chodził pochmurny a my oboje z Fryderykiem zbyt byliśmy wzruszeni przebytymi wrażeniami i ogólną niedolą. Ból nasz odżywiały z różnych stron nadchodzące wieści; we wszystkich dziennikach, w listach od przyjaciół i krewnych, nie prócz skarg i żaloby. Odebraliśmy list od ciotki Kornelii, która nie wiedziała jeszcze o swém nieszczęściu, tkliwemi słowy wyrażała w nim obawę

utruty jedyne dziecko; oboje zapłakaliśmy gorzko nad tym listem.

Wieczorem, w naszym kółku rodzinném, zamiast wesolej, żartobliwej rozmowy, muzyki, gry w karty, opowiadano lub czytano historye przeróżnych nieszczęść i śmierci.

Nie nie czytywaliśmy prócz dzienników, a te przepełnione były „wojną i tylko wojną”; rozmowy nasze zwracały się zawsze do wspomnień, jakieśmy z Fryderykiem zdobyli na czeskich polach bitwy. Wszyscy wprawdzie za złe mi uważali moję wycieczkę, słuchali jednak ciekawie, gdym opowiadała o tém, czego sama doznałam lub słyszałam od innych. Róża zachwycała się panią Simon i poprzysięgła, że jeśli wojna się przeciągnie, to przyłączy się do saskiej samarytanki.

Ojciec protestował naturalnie:

— Oprócz Sióstr miłosierdzia i markietanek, żadna kobieta nie powinna postać na wojnie... widzicie same jak nieużyteczną okazała się Marta. To był wybryk nie do przebaczenia, mąż powinienby ją za to przykładnie ukarać.

* * *

Siedzieliśmy właśnie na około stołu; ktoś wyczytał z gazety wiadomość, że Benedek przybył do Czech, oczywiście w poselstwie z propozycjami pokoju.

Brat mój, Otto, ze smutkiem wspominał o zawarciu pokoju; prędkie zakończenie wojny nie dozwoliło

by mu już nieprzyjaciela z kraju wypędzić, z Wiednia bowiem nadeszła wiadomość, że w razie przedłużenia wojny, przy następnym poborze, załączeni zostaną do czynnej służby wychowañcy szkoły wojskowej, pozostający na ostatnim kursie. Ta nadzieja wprowadzała w zachwyt Ottona; wprost z akademii na wojnę — co za szczęście! Podobnie pensyonarka cieszy się nadzieją pierwszego występu w świecie, pierwszym bale. Uczyła się tańczyć — uczeń szkoły wojskowej uczył się strzelać i fechtować; ona pragnie w balowej tualencie, przy jarzącym świetle żyrandoli i dźwiękach orkiestry, zaprezentować swój talent, on także wzdycha do eleganckiego munduru i armatniego kotyliona.

Ojca cieszył nadzwyczaj ten zapal wojowniczy.

— Bądź spokojny, mój dzielny chłopcze — uspokajał go — masz jeszcze długi szereg lat przed sobą. Chociaż teraz wojna się skończy, to wkrótce znów zacząć się musi.

Nie odzywałam się; postanowiłam, za radą Fryderyka, unikać wszelkich dysput na temat wojny. Mogło to tylko doprowadzić, do rozdrażnienia wzajemnego, a odkąd własnymi oczami oglądałam ślady groźnej klęski, nienawiść i pogarda dla wojny tak wzrosły w me serce, że każde słowo wypowiedziane w obronie wojny raniło mnie boleśnie jak obraza osobista.

Postanowiliśmy z Fryderykiem, że służbę opuści, a następnie, że Rudolfa nie oddamy do żadnego z zakładów wychowawczych, rozwijających w młodzieży zapal do czynów wojennych. Wybadywałam raz

brata, jakie poglądy odnośnie do wojny, wpajają w uczniów. Z odpowiedzi wywnioskowałam, że wojnę przedstawiają im jako zło konieczne, lecz zarazem jako najlepszy środek do wzniesienia najpiękniejszych cnót męzkich: odwagi, zaparcia się siebie i poświęcenia, jako sposób zdobycia największej sławy, a ostatecznie jako najważniejszy czynnik w rozwoju cywilizacji. Potężni zdobywcy i założyciele państw — Aleksander, Cezar, Napoleon, wskazywani są jako najwznioślejsze przykłady wielkości ludzkiej; następstwa i korzyści wojny zachwalane bywają najżywiej a zupełnym milczeniem pomija się występujące w jego orszaku nieuniknione szkody — zdziczałość, zubożenie, upadek moralny i fizyczny.

Nic nie odpowiedziałam na żalosne westchnienia Ottona, czytałam jakiś dziennik wypełniony sprawozdaniami z placu boju.

— Jest tu zajmująca korespondencya lekarza, który uczestniczył w odwróceniu naszej armii... czy mam czytać głośno? — zapytałam.

— O odwróceniu? — powtórzył Otto. — Wolalbym nie słyszeć tego. Gdyby to była historia odwrotu ściganych wojsk nieprzyjacielskich...

— Dziwi mnie — zauważył Fryderyk — że ktoś odważa się opowiadać o dokonanej ucieczce; to epizod wojenny, o jakim uczestnicy mileżą zazwyczaj.

— Regularny odwrót nie jest hanbiącym — wtrącił ojciec. — I myśmy raz w roku 49, pod dowództwem Radeckiego...

Znałam tę historią, więc przeszkodziłam opowiadaniu:

— To sprawozdanie przesłane do tygodnika lekarskiego, więc nie przeznaczone dla wojskowych. Słuchajcie.

I nie pytając o pozwolenie, zaczęłam czytać:

„O czwartej wojska nasze zaczynają się cofać. Byliśmy właśnie zajęci opatrywaniem rannych, gdy w tém nadjeżdża kawaleria i pędzi mimo nas przez wzgórze i pola a za nią podąża artyleria i wozy. Wielu kawalerzystów spada na ziemię, pędzący za nimi tratuja ich na śmierć; wozy przewracają się i przygniatają ciskających się pieszych. Spędzeni jesteśmy z miejsca opatrunkowego, które znika nagle; woła ją na nas: „Ratujcie się!” Okrzykowi temu towarzyszy huk dział, odłamy granatów padają w nasze szeregi. Pożegnałem się już życiem. Stara matko... ukochana moja przyszła małżonko, żegnajcie!... Nagle znaleźliśmy się nad wodą; z prawej strony nasyp kolejowy, z lewej wąż zapchany wozami, wiozącymi rannych i rekwizycją, a za nami nieprzejrzałe szeregi jazdy. Przebrnęliśmy przez wodę. Teraz kazano, poodcinać postronki i uprowadzić konie, zostawić wozy. Wioski puste — nigdzie ludzi, nigdzie żywności, nawet wody do picia.”

— Takich rzeczy nie powinno się drukować — zauważył ojciec — mogą odebrać ochotę do zawodu żołnierskiego. Epizody rejterady powinny być, dla przyzwoitości, pominięte milczeniem przez uczestników, gdyż to nie przynosi im zaszczytu, że brali udział

w powszechnym strachu. Niegodziwiec, który daje hasło do ucieczki, powinien natychmiast dostać kulą w łeb. Jest to zawsze tchórz jakiś, który demoralizuje tysiące odważnych i pociąga za sobą.

— Zupełnie tak samo — odparł Fryderyk — jak kiedy zuch jakiś zawoła „naprzód!”, pędzi za nim tysiące tchórzów, przejętych chwilowo odwagą rzeczywistą. Nie podobna tak ściśle rozgatkować ludzi na odważnych i bojaźliwych; każdy posiada chwile większej lub mniejszej odwagi, większego lub mniejszego tchórzostwa; szczególnie w tłumie zależy każdy od usposobienia swych towarzyszy. Jesteśmy podobni do stada owiec i także jak one uczucia objawiamy. Gdy jeden z okrzykiem „hura!” pędzi naprzód, krzyczą i pędzą za nim inni; gdy jeden cisnie broń i ucieka, uciekają za nim wszyscy. W pierwszym wypadku „dzielne wojsko” otrzymuje rozgłośnie pochwały, w drugim o postępowaniu jego — milczą, a jednak to jedni i ciż sami ludzie.

— Tilling — przerwał ojciec z wyrzutem wskazując na Ottona — mówiąc takie rzeczy wobec rozpoczynającego zawód żołnierski młodzieńca, osłabiasz jego uczucia patryotyczne!

*

*

*

Kuracya Fryderyka szybko postępowała. I cały gorączkujący świat zdawał się blizki chwili wyzdrowienia.

wienia: coraz częściej i coraz głośniej mówiono o pokoju. Pochód prusaków, nie znajdujących na drodze żadnego oporu, którzy przez Berno, gdzie burmistrz oddał klucze królowi Wilhelmowi, ciągnęli na Wiedeń, wyglądał raczej jak przechadzka niż jak wyprawa wojenna; ostatecznie 26 lipca zawarto w Nikolsburgu zawieszenie broni, na zasadzie przedugodnych warunków pokoju.

Wielkiej radości dożył mój ojciec, gdy nadeszła wiadomość o zwycięstwie odniesioném przez admirała Tegethoffa pod Lissą. Włoskie okręty wysadzono w powietrze — *Affundatore* zniszczony, jakaż to satysfakcja! Nie mogłam podzielać tego zachwytu radości, a nadewszystko nie mogłam zrozumieć, dlaczego — gdy już Wenecya została oddana — staczano jeszcze bitwy morskie. Wiem tylko, że wypadek ten, nie tylko mój ojciec, lecz i dzienniki wiedeńskie, powitały z największą radością. Chwała zwycięstwa wojennego jest czemś, co przez wiekową tradycją do takiej wielkości zostało wyniesione, że na samą wieść o niem jakaś część chluby spada na cały naród. Jeśli, się przytrafi, że wódz ojczysty pokona jakiegoś obcego wodza, składają się powinszowania każdemu członkowi tegoż państwa, a ponieważ każdy słyszy jak wszyscy się z tego cieszą — co też w istocie jest bardzo pocieszającym — cieszy się wreszcie i sam. „Owczę uczucie”, powiedziałby Fryderyk.

Drugim wydarzeniem polityczném, było przystąpienie Austrii do związku genewskiego.

— Więc jesteś teraz zadowolona? — pytał ojciec, przeczytawszy tę wiadomość — widzisz przecie, że wojna, którą zawsze barbarzyństwem nazywaś, z postępem cywilizacji traci swą drapieżność. Ja również obstaruję za ludzkim prowadzeniem wojny; rannym należą się troskliwe starania i wszelkie możliwe ulgi, chociażby ze względów strategicznych, które w sprawach wojennych są najważniejsze; skutkiem należytych starań, wielu chorych może w krótkim przeciągu czasu powrócić do szeregów.

— Masz rację, ojezulku: pozyskuje się użyteczny materiał, to najglówniejsze... Lecz według tego, com ja widziała, nie wystarczy pomoc dobrej woli; choćby dziesięć razy więcej ludzi i środków posiadano, nie odwróconoby nieszczęść, jakie bitwa sprowadza.

— Odwrócić naturalnie niepodobna, lecz złagodzić. Cemu zapobiedz nie można, temu trzeba starać się przynieść ulgę.

— Doświadczenie przekonywa, że niepodobna dostarczyć potrzebnej ulgi w dostatecznej mierze...

Zaczynało to już przechodzić u mnie w monomanię: wojny ustać muszą, a każdy z nas powinien, o ile może, przyczyniać się do tego, żeby ludzkość zbliżyć do owego celu choćby na jedną tysięczną linii. Nie mogłam się pozbyć obrazów widzianych w Czechach; zwłaszcza w nocy, budząc się ze snu, czułam bolącą ranę w sercu, a zarazem słyszałam głos jakiś wewnętrzny, przemawiający do mnie: — „Nie dopuszczaj, zapobiegaj, nie pozwalaj!” — Dopiero rozbudzony się zupełnie, gdy się opamiętała, czém byłam, przekonywałam się o własnej niemocy. Czegoż mo-

głam nie dopuścić, czemu zapobiedz? Również dobrze, wobec zalewem grożącego morza, mogłam stanowczo rozkazywać: „nie pozwalaj na to! wyczerp je!” I zaraz potem, z uczuciem głębokiego szczęścia, słysząc zwłaszcza spokojny oddech Fryderyka, myślałam: „Odzyskałam ciebie”, — i pogrążałam się w rozpamiętywanie tego szczęścia.

Mój Rudolf miał poniekąd zasadę być zazdrosnym o swego ojczyma; uczucie to zbudziło się od pewnego czasu w sercu chłopczyny. Że wyjechałam z Grumitz, nie uściskawszy go, że powróciwszy, nie pospieszyłam najpierw jego uściskać, a nadewszystko, że po całych dniach nie odstępowałam męża: to wszystko razem wzięte doprowadziło biedaka do tego, że któregoś dnia, rzucając mi się z płaczem na szyję, zawołał:

— Mamol! mamusiul! ty mię już wcale nie kochasz!

— Nedorzecznosci wygadujesz, moje dziecko?

— Tak... tylko... tylko tatę... Ja... ja nie chcę... być dużym, jeśli ty mnie... już nie kochasz...

— Nie kocham? ciebie, mój klejnocie! — całowałam i tuliłam płaczącą dziecinę. — Mój synku jedyny, moja chlubo, moja pociecho! Ja cię bardzo, nade wszystko, nieskończenie kocham.

Po tej małej scenie odezwała się żywiej miłość macierzyńska, bo w ostatnich czasach tak mię w istocie pochłaniała obawa o Fryderyka, że przez to Rudolf zeszedł na plan drugi.

Projekty, jakieżmy układali z Fryderykiem, co do naszej przyszłości, były następne: Po skończonej woj-

nie występował ze służby i zamieszkiwaliśmy w jakiejś taniiej miejscowości, gdzie wystarczyłaby nam pensya Fryderyka i to co mi ojciec dodawał. Jak para młodych zakochanych, cieszyliśmy się nadzieją tego odosobnionego, samodzielnego pożycia. Przebyte doświadczenie znów nam tak dowodnie wykazało, że byliśmy dla siebie całym światem. Rudolf nie był bynajmniej z tej spółki wyłączonym; wychowanie jego miało być głównym zadaniem naszego życia. Bezczyennie i bezcelowo nie mogły nam dnię upływać; między innemi ułożyliśmy także całą listę studyów, jakie mieliśmy przeprowadzić spólnie. Fryderyk chciał się szczególnie poświęcić zbadaniu jednej gałęzi prawa, mianowicie, prawa międzynarodowego.

Ojciec, który nie jeszcze o naszych zamiarach nie wiedział, snuł dla nas inne plany przyszłości:

— Zostaniesz teraz pułkownikiem, Tilling—mówił do męża — a zanim dziesięć lat upłynie będziesz na pewno generałem. Jeśli wtedy wypadnie jaka wojna, otrzymasz dowództwo dywizyi, kto wie? może i godność feldmarszałka; może daném ci będzie przywrócić orężowi austriackiemu świetność przyćmioną chwilowo. I my wprowadzimy iglicówki, lub jaki inny skuteczniejszy system; panowie prusacy będą się mieli z pyszna!

— A może z Prusami zawrzemy przymierze... — zauważyłam.

Ojciec wzruszył ramionami:

— Żeby tylko kobiety nie rozprawiały o polityce! — odezwał się z lekceważeniem. — Po tém co zaszło, należy ukarać zuchwałych; państwowym anektowanym

musimy dopomódz do odzyskania pogwałconych praw, wymaga tego nasz honor i nasze stanowisko wśród narodów europejskich. Przyjaźń... przymierze z tymi lotrami? Przenigdy! Chyba gdyby przyszli błagać o to w pokorze.

— W takim razie — zauważył Fryderyk — nie omieszkanoby postawić nogi na ich karku; związków poszukuje się i zawiera je tylko z tymi, którzy nam imponują, lub mogą zasłonić nas przed spólnym nieprzyjacielem. W polityce egoizm jest główną zasadą.

— Ależ tak!

— Pragnąc by tylko należało — mówił dalej Fryderyk — żeby w stosunkach międzynarodowych osiągnięta została ta sama wyższa moralność, jaka w stosunkach społecznych wyparła dzikie, średniowieczne pojęcie o związkach ogólnie ludzkich; żeby coraz więcej rozpowszechniło się to przekonanie, że korzyść własną można najsukuteeczniej osiągnąć, nie przynosząc żadnej szkody interesom cudzym, ale współdziałając z nimi.

*

*

*

„Jutro o pierwszej przybywam do Grumitz. Konrad.”

Można sobie wyobrazić, jaką radość sprawiła ta depesza naszej Lili. Nikogo nie wita się z takim uniesieniem radośnym jak powracających z wojny. Wprawdzie nie był to w tym razie opiewany w balla-

dach i przedstawiony na rycinach „Powrót zwycięzcy”, lecz uczucia kochającej narzeczonej nie dały się przyćmić uczuciom patryotycznym; sędzę, że choćby kuzyn Konrad zdobył Berlin, nie byłby doznał serdeczniejszego przyjęcia od Lili.

Przyjemniejby mu było powracać ze zwyciężkiem wojskiem; a gdyby tak jeszcze przyczynił się być do zdobycia Szlązka... Jednak i to już jest zaszczytem dla żołnierza, że walczył, choćby został pokonany, choćby i zginął; to ostatnie zwłaszcza jest największą chlubą. Mówił nam Otto, że w akademii wojskowej zapisują na honorowej tablicy nazwiska wychowalców, którzy polegli wobec nieprzyjaciela. Im dłuższym szeregiem poległych, bądź w wygranych, bądź w przegranych bitwach, pochwalić się może rodzina, tém dumniejsi są przez to wnukowie, tém więcej cenić winni swe imię, tém mniej dbać o życie.

Lepiej więc, że dopóki istnieją wojny, istnieją też i ludzie, którzy znajdują w nich wywyższenie, natchnienie, nawet rozkosz. Coraz mniej ich jednak, lecz liczba żołnierzy wzrasta z dniem każdym... do czegoż to doprowadzi?

Do stanu niemożliwego.

A ten dokąd zaprowadzić nas może?

Konrad nie zastanawiał się nad tém bynajmniej. Jego zapatrywania odpowiadały wybornie znaną ary porucznika, z „Białej damy”: „Co za rozkosz być żołnierzem!”... Słyszac go mówiącego, można mu było prawie zazdrościć odbytej wyprawy. Otto pałał wła-

śnie taką zazdrością; on, który tylko co odbył chrzest krwawy i ogniowy, który zawsze tak rycersko wyglądał w swym huzarskim mundurze, a teraz przyozdobił się jeszcze zaszczytną blizną, który znajdował się pod gradem kul i może nie jednego wroga na tamten świat wyprawił — wydawał mu się otoczony bohaterką aureolą.

— Przyznać trzeba, że wyprawa nie poszła pomyslnie — mówił Konrad — jednakże zostawiła mi kilka pięknych wspomnień.

— Opowiadaj, opowiadaj! — dopominali się Lili i Otto.

— Nie wiele szczegółów przytoczyć zdołam, wszystko wydaje mi się dziś jakby jakimś odurzeniem... proch sprawia osobliwszy zawrót głowy. Upojenie czy zapal wojowniczy zaczyna się z chwilą wymarszu. Ciężko wprawdzie było mi żegnać się z ukochaną — chwila ta była dla mnie bolesną; ale gdy się wyrusza z towarzyszami, myśli się tylko o tém, że idziemy spełnić najwznioślejsze zadanie... Kiedy zabrzmiał marsz Radeckiego, zaszumiały w powietrzu jedwabne sztandary: wtedy, przyznam się, nie powróciłbym nawet w objęcia ukochanej... Czułem, że stanę się godzien jej miłości dopiero, gdy wraz z towarzyszami broni spełnię swój obowiązek... Nie wąpiliśmy, że zwyciężymy; albożemy wiedzieli o niegodziwych iglicówkach? One to zadaly nam klęskę, kulami jak gradem tępiły nasze szeregi... Złego mieliśmy przytém wodza; zobaczcie, że Benedek zostanie oddany

pod sąd wojenny... Powinniśmy byli atakować! Gdybym był wodzem, trzymałbym się taktyki napastniczej: napadać i napadać, uprzedzać, wkrazać w kraj nieprzyjacielski... Niestety! cesarz nie powierzył mi naczelnego dowództwa, nie na mnie zatem spada wina za niepowodzenie naszej taktyki wojennej; niech tam generałowie rachują się z naczelnym wodzem i z własnym sumieniem, my spełniliśmy nasz obowiązek. Osobliwsze uczucie... to oczekiwanie, ta niecierpliwość z jaką wygląda się spotkania z nieprzyjacielem! Przekonanie, że w tej chwili rozgrywa się wielkie wydarzenie dziejowe, ta duma to poczucie własnej odwagi — śmierć na prawo i na lewo, wielka, tajemnicza śmierć, którą mężnie wtedy gardzimy...

— Zupełnie tak samo jak biedny Gotfryd Tes-sow — szepnął Fryderyk — coś dziwnego: wszak on z tej saméj szkoły.

Konrad mówił dalej z zapalem:

— Serce silniej uderza, krew żwawiej krąży, budzi się ochota do walki... to jest właściwym zapalem. Rozżarza się wściekłość, nienawiść dla wroga, a zarazem najgorętsza miłość dla zagrożonego kraju; z prawdziwą rozkoszą napadasz, rąbiasz! Czujemy się przeniesieni w świat odmienny od tego w którym wzrosliśmy, świat w którym wrodzone nam uczucia i zapatrywania przeistaczają się: życie staje się fraszką, morderstwo obowiązkiem. Pozostaje nam jedynie honor, bohaterstwo i najwznioślejsze poświęcenie; inne pojęcia giną w tym zamęcie. Dotego jeszcze dym

prochu, okrzyki wojenne... mówię wam, jest to uczucie nie dające się porównać z żadnym innym. Chyba podczas polowania na lwy i tygrysy może nas ogarnąć podobny zapal!

— Tak — przerwał Fryderyk — walka z nieprzyjacielem grożącym nam śmiercią, gorące, dumne, pragnienie zmożenie go, przejmując szczególną rozkosz istotę na podobieństwo Boga stworzoną! Dopóki człowiek, zagrożony przez dzikich, czworonożnych i dwunożnych napastników, zabezpieczał swe życie zabijając ich, walka była dlań rozkoszą; jeśli my, ludzie cywilizowani, doznajemy tejże samej rozkoszy podczas bitwy, jest to, co prawda... waryackie... Nie chcąc postradać tego uczucia rozkoszy teraz, gdy niema już w Europie ani dzikich ludów, ani dzikich zwierząt drapieżnych, stwarzamy sobie sztucznych napastników. Powiadają nam: oto wy macie błękitne surduty a tamci czerwone; za trzeciém kłaśnięciem w dłonie, czerwoni surdotowcy staną się dla was tygrysami, a wy, błękitni, będziecie dla nich dzikiemi zwierzętami; uważajcie więc: raz, dwa, trzy — grzmiały trąby i bębny do ataku: zaczynajcie! pożerajcie się! A kiedy dziesięć, lub, wobec większej liczby wojska, sto tysięcy sztucznych tygrysów wśród rozkosznego wycia wojennego pożarło się nawzajem pod wioską X., stanowi to bitwę, która stanie się historyczną... Ci, co w dłonie kłaskali, zasiadają przy zielonym kongresowym stole, w mieście X., poprawiają na mapie zmianę granic, targują się o zapłatę kontrybucyi, podpisują wreszcie jakiś dokument, który jako X—ski pokój zostaje wciągnięty do roczników historycznych; i znów klaszczą po trzykroć

w dłonie i mówią do pozostałych błękitnych i czerwonych: Uściskajcie się bracia!

W całej okolicy kwaterowali prusacy, przysła też kolój i na Grumitz.

Chociaż zawieszenie broni było zawarte, i pokój niemal zapewniony, ludność okazywała powszechnie obawę i nieufność. Nie tak to łatwo było wybić ludziom z głowy przekonanie, że „hełmowe bestye” rozszarpałyby ich gdyby mogły; hasło nikolsburskie nie zdołało jeszcze zatrzeć wpływu hasła wojennego, ani wmówić w mieszkańców, że prusacy są ich bliźniami. Z imieniem nieprzyjacielskiego zastępu łączy się w czasie wojny cały szereg nienawistnych pojęć; nie jest to już nazwa pospolita pokonanego chwilowo narodu, lecz synonim „wroga” i wyraża całą odrazę zawartą w tém słowie.

Więc też ludność okoliczna jak wilków obawiała się pruskich kwatermistrzów, szukających pomieszczenia dla swych oddziałów. Niektórzy, prócz obawy, ujawniali nienawiść, sądzili, że spełniają obowiązek patriotyczny dokuczając prusakom, strzelając z ukrycia na „wroga”. Podobne wypadki zdarzały się dość często, a schwytany winowajca bywał bez ceremonii, sądzony i rozstrzelany. Przykłady sprawiły, że ludzie, tłumiąc w sercu nienawiść, przyjmowali kwaterek bez oporu. Potém dopiero zauważyli z niemałym

zdumieniem, że ci wrogowie to ludzie dobroduszni, uprzejmi i rzetelnie uiszczający należną zapłatę.

Jednego poranku, było to w pierwszych dniach sierpnia, siedząc we framudze biblioteki, patrzyłam, przez otwarte okno. Rozpościerał się ztąd rozległy widok na całą okolicę, zdawało mi się, że dostrzegłam w dali oddział jeźdźców, ciągnący szosą ku naszemu domowi.

— Pruski kwaterunek! — pomyślałam zaraz.

Ustawiłam lunetę stojącą we framudze, i skierowałam ją na posuwający się ów punkt. W istocie, był to oddział złożony mniej lub więcej z dziesięciu jeźdźców, z powiewającymi przy lancach chorągiewkami czarnymi z czerwonym. Wśród nich postępował ktoś pieszo, w ubraniu myśliwskim, jeniec może?... Szkło nie było dość silne, nie mogłam więc rozpoznać, czy ów mniemany jeniec nie był przypadkiem jednym z naszych gajowych.

Trzeba było zawiadomić mieszkańców zamku, o tém, czego dobrze nie rozumiałam. Wybiegłam z biblioteki, chcąc odszukać ojca i ciotkę; zastałam oboje w salonie:

— Prusacy idą! — oznajmiłam zadyszana.

— Bierz ich lichu! — rzekł ojciec, ciotka zaś rzekła:

— Muszę wydać zaraz stosowne rozkazy na przyjęcie.

— Gdzie jest Otto? — zapytałam. — Trzeba go uprzedzić i przestrzedz, żeby nie ujawniał zbyt wiele swą nienawiści dla prusaków i nie okazał się dla gości brutalnym.

— Niema go w domu — odparł ojciec; — wyszedł z rana na polowanie. Szkoda, żeś nie widziała jak wyglądał w stroju myśliwskim.

Ruch powstał w domu; dały się słyszeć pospieszne kroki i podniesione głosy.

— Idą już, ci... igliciarze! — westchnął ojciec.

Drzwi się otwarły i wpadł kamerdyner Franciszek.

— Prusacy! prusacy! — wołał takim głosem, jak się woła „goreł goreł”

— Nie zjedzą nas! — mruknął ojciec gniewnie.

— Ale — mówił Franciszek głosem drżącym — oni prowadzą kogoś z domowych... Podobno to ktoś, co do nich strzelał.

Rozległ się tętent kopyt końskich, wyszliśmy na korytarz i spojrzeli przez okno na dziedziniec. W tej chwili właśnie wjeżdżali ułani a wśród nich, z zasępioną, bladą twarzą, postępował mój brat Otto.

Ojciec krzyknął i zbiegł ze schodów.

Serce we mnie zamarło; zanosilo się na straszne rzeczy. Jeśli Otto rzeczywiście strzelał do prusaków, Boże, co go czeka!

Nie wystarczyło mi odwagi pospieszyć za ojcem, pociechy i pomocy we wszelkich troskach szukałam zawsze u Fryderyka, więc do jego pokoju się udałam. Zanim tam doszłam, powrócił ojciec prowadząc za sobą Ottona; twarze ich zapowiadały, że niebezpieczeństwo minęło.

Śledztwo wykazało, że strzał był wypadkowy; gdy ułani nadjechali, Otto chciał ich zbliska zobaczyć, biegnąc przez pole potknął się, upadł przy rowie koło

szosy, wtedy broń jego wystrzeliła. Ułani przyjęli z razu z powątpiewaniem tłumaczenie młodego myśliwca; wzięli go między siebie i zaprowadzili, jak przestępcę, do zamku. Kiedy się jednak pokazało, że ów młodzieniec był synem generała Althaus'a, wychowawcą szkoły wojennej, zawierzili jego usprawiedliwieniu. „Syn żołnierza i w przyszłości także żołnierza tylko w uczciwym boju może strzelać do nieprzyjaciół, lecz nie dopuści się czynu zbójckiego, podczas zawieszenia broni”. Polegając na słowach mego ojca, oficer pruski uwolnił zapaleńca.

— Czy doprawdy nie nie zawiniłeś? — pytałam Ottona. — Znając twoję nienawiść dla prusaków, nie dziwiłabym się gdybyś...

Gestem temu zaprzeczył.

— Spodziewam się — rzekł — że znajdę w życiu dość sposobności, aby choć kilku z nich w inny sposób zastrzelić; nie z ukrycia, tylko nadstawiając pierś własną na ich kule.

— Dobrze, mój chłopcze! — zawołał ojciec, zachwycony słowami syna.

Nie podzielałam tego zachwyty, frazesy, w których, tak lekceważąco i pyszałkowato, pomiatają się własnym i cudzym życiem, brzmia dla mnie wstrętnie. Serdecznie się jednak ucieszyłam, takim zakończeniem sprawy. Jakieżby to byłoby okropne dla mego biednego ojca, gdyby ci ludzie ukarali mniemanego zbrodniarza! Nieszczęsna wojna, która dotychczas oszczędzała naszą rodzinę, byłaby sprowadziła na nią straszną żałobę...

Oddział pruski przybywał istotnie, aby zapowiedzieć kwaterek. Zamek Grumitz miał ugościć dwóch pułkowników i sześciu oficerów pruskiej armii; żołnierze mieli znaleźć pomieszczenie we wsi. Postawiono wartę na dziedzińcu zamkowym.

W parę godzin po kwatremistrzach wprowadzili się do nas nieproszeni i niedobrowolni goście. Już od kilku dni przygotowani byliśmy na to a pani Walter przysposobiła pokoje gościnne i łóżka. Kucharz sprowadził dostateczne zapasy; w piwnicy znajdowała się spora ilość pełnych antałków i omszonych butelek, na niczem nie miało zbywać u nas gościom, choć nie miłym.

Gdy na odgłos dzwonka obiadowego towarzystwo zamkowe zebrało się w salonie, ułożył się tam obraz bardzo malowniczy i powabny. Wszyscy panowie byli w mundurach, nie wyłączając ministra „Bez wątpienia”, który był wtedy naszym gościem; panie w strojnych sukniach. Ja z siostrami i przyjaciółkami, łaskawie u nas przebywającymi, wystroiłyśmy się starannie, szczególnie Laura, która dlatego tylko przybyła, że się dowiedziała o przybyciu do nas pruskich oficerów, wydostała najpiękniejszą toaletę i przyozdobiła ją świeżemi różami. Lili, szczęśliwa narzeczoną, miała jasno niebieską suknię; Róża, rada z tego widocznie, że może się znów ukazać młodym gościom, osłoniła

się w różowe muszliny; ja tylko przywdziałam czarną suknię.

Przypominam sobie jeszcze wrażenie, jakiego doznałam, wchodząc wówczas do salonu, gdzie już wszyscy byli zebrani. Wesołość, zbytek, strojność: jakaż to rażąca sprzeczność z obrazem nieszczęść, okropności, które niedawno temu widziałam! A ci świetni, weseli, wytworni żołnierze do krwawego dzieła rąk przykładali...

Wejście moje przerwało rozmowę, „etykieta” nakazywała odbyć ceremonią poważnie. Usłyszałam same arystokratyczne nazwiska; jednym z gości był Henryk ksiązę Reuss.

Więc to byli nasi wrogowie! Ludzie wykształceni, o najwytworniejszych zwyczajach towarzyskich... Prowadząc dziś wojnę z jakim sąsiednim narodem, nie mamy do czynienia z hunnami ani z wandalami, lecz wolelibyśmy przedstawiać sobie nieprzyjaciół w postaci dzikich hord; kosztuje to nas niemało, gdy musimy uznawać ich za równe sobie, ucywilizowane istoty.

Takie mniej więcej myśli przesuwwały mi się po głowie, gdy zasiedliśmy przy stole, przyozdobionym obficie kwiatami i kosztami owoców. Na rozkaz gospodarza domu, wydobyto srebra z ukrycia. Siedziałam pomiędzy pułkownikiem i porucznikiem, Lili obok narzeczonego; Różę poprowadził do stołu ksiązę Henryk, a złośliwa Laura zdobyła za towarzysza mego Fryderyka.

Mówiono wiele i bardzo wesoło. Prusacy musieli być zadowoleni, gdy po tylu przebytych trudach

i niewygodach znaleźli się wreszcie przy suto zastawionym stole, w wytworném towarzystwie; świadomość odniesionego zwycięstwa przyczyniała się do podniecenia ich humoru. Lecz i my, zwyciężeni, nie okazaliśmy ani zawziętości ani zawstydzenia, i z wielką uprzejmością odgrywaliśmy rolę gospodarzy. Znając zapatrywania mego ojca, sądzę, że musiał zadawać sobie nieco przymusu, lecz był dla wszystkich wzorowo uprzejmym. Najbardziej zgnębionym był Otto. Swoję nienawiść dla prusaków, pragnienie wypędzenia ich z kraju musiał ukrywać, zamiast rąbać nieprzyjaciela pałaszem, musiał mu sól i pieprz podawać. Temat wojenny starannie w rozmowie pomijano; traktowaliśmy przybyszów jakby podróżnych wypadkiem zabłąkanych w naszą okolicę, oni także unikali troskliwie wszystkiego, co mogło przypomnieć, że przybyli tu jako nasi zwycięzcy. Porucznik starał się nawet zająć mnie swą osobą, przysięgał na honor, że nigdzie nie jest tak dobrze jak w Austrii, upewniał, że tu również znajdują się najwięcej rozumne kobiety.

Konrad i Lili, korzystając z przywileju narzeczonych, zamieniali czule spojrzenia, szeptali, trącali się kieliszkami i wykonywali przeróżne tym podobne manewra; ale rozwijała się jeszcze, jak mi się zdawało, i trzecia *flirtacya*: niemiecki ksiązę Henryk rozmawiał bardzo żywo z moją siostrzyczką Różą, a na twarzy jego malowało się uwielbienie.

Po obiedzie wróciliśmy do salonu, gdzie zapalony żyrandol rozrzucał jasne blaski.

Drzwi na taras były otwarte; łagodne światło księżycy przemykało się po ciemnych drzew oponach...

Wysunęłam się z pokoju i mimowoli przyszło mi na myśl pytanie: czy te same promienie, które teraz kwiaty całują, oświecały powykrzywiane zwłoki trupów i rany nieszczęśliwych, na śmierć skazanych...

Po chwili wyszli na taras książę Henryk i Róża; nie spostrzegli mnie i minęli. Wsparłszy się o poręcz balustrady, stali bardzo blisko jedno obok drugiego. Młody prusak, wróg nasz, trzymał rękę méj siostry w swéj dłoni, a chociaż mówili cicho, pomimo to niektóre wyrazy dochodziły do mego ucha: „Kocham cię, powierz mi przyszłość... będę się starał zapewnić ci szczęście”...

Po obrazach nienawiści i gorzkiej niedoli, na które napatrzyłam się niedawno, widok miłości wydał mi się niejako zadośćuczynieniem.

— Ach, to ty, Marto! — zawołała Róża.

Teraz dopiero zauważyła moją obecność i przerażała się zrazu, ale odetchnęła swobodniej przekonawszy, że to ja byłam.

Książę był w najwyższym stopniu zmieszany i przerażony; zbliżył się do mnie mówiąc:

— Łaskawa pani, oświadczyłem się właśnie jéj siostrze, zechciej, proszę, poprzeć mnie słówkiem! Krok mój wydaje się wam pewnie zbyt pospiesznym i śmiałym... W innym czasie postąpiłbym może poważniej, ale teraz przywykłem prędko i śmiało iść naprzód, nie wolno nam wahać się i ociągać... To, w czém wyćwiczyłem się na wojnie, zastosowałem mimowolnie i w miłości.. Wybacz mi, pani, i bądź na mnie łaskawą. Milczysz, pani! Czy odmawiasz?

— Siostra nie może tak nagle rozstrzygać o swym losie — odpowiedziałam w zastępstwie Róży, która z odwróconą głową stała silnie wzruszona.

Czy ojciec zezwoli na małżeństwo z nieprzyjacielem, czy Róża odwzajemni tę nagłą miłość — niepodobna dziś wiedzieć.

*

*

*

Nazajutrz odbyły się uroczyste zaręczyny.

Ojciec nie stawiał oporu. Sądziłam, że nienawidząc prusaków, nie zechce przyjąć do rodziny nieprzyjaciela i zwycięzcę, ale czy z tego względu, że spraw osobistych nie łączył ze sprawami narodowymi, czy też, że związek z książęcym domem Reuss pochwalał jego dumie, czy wreszcie dlatego, że go wzruszyła tak gwałtowna miłość młodych ludzi: koniec końcem, dość chętnie dał swe przyzwolenie. Ciotka jednak nie mogła się tak prędko z tą myślą pogodzić a najbardziej rozżalony był Otto: „Czyż chcecie — mówił — żebym w razie wojny mego szwagra z kraju wypędzał?” — lecz wytłumaczono mu zręcznie różnicę pomiędzy narodem a jednostką i ku największemu memu zdziwieniu, zrozumiał ją, kiedy ja nigdy pojąć jéj nie mogłam.

Jakże łatwo i prędko, w radosnych okolicznościach, zapomina się o przebytéj niedoli! Dwie pary zakochanych — nawet śmiało powiedzieć mogé, trzy, bo i my z Fryderykiem, choć małżonkowie, niemniej

byliśmy zakochani — tyle par kochających się małe kółko towarzyskie zaprawiło wybornym humorem. Zamek Grumitz przez dni kilka odbrzmiewał radością i weselem. Powoli nikły z méj pamięci wspomnienia strasznych obrazów minionych tygodni; spostrzegłam z pewnym wyrzutem sumienia, że chwilami rozwiewało się zupełnie moje, do niedawna tak gorące jeszcze, spółczucie dla nieszczęść spowodowanych przez wojnę...

A zewsząd dochodziły nas smutne wieści: narzekania tych, co przez wojnę utracili mienie lub drogie sercu istoty; zapowiedzi grożących przesilen finansowych i wiadomość o pojawieniu się zarazy. Cholera, która szerzyła się w wojsku pruskiem, rozchodziła się po całym kraju, nawet już u nas, we wsi, zaznaczono wypadek śmierci, wywołanej przez tę straszną chorobę. Wprawdzie utrzymywano, że to choleryna, pojawiająca się rok rocznie podczas lata, ale rozsądniejsi znacząco głowami poruszali.

— Wiesz, Marto — mówiła do mnie szczęśliwa narzeczona — chociaż ta wojna była tak okropną, błogosławić ją powinnam. Gdyby nie ona, czy byłabym teraz tak! niewypowiedzianie szczęśliwą? czy byłabym poznała Henryka?

— Zgoda, Rózo kochana, radabym podzielać twe zapatrywania: niechaj wasze uszczęśliwione serca równoważą na szali losów tysiące serc złamanych...

— Tu nie chodzi jedynie o losy pojedynczych jednostek, Marto. Wojna przynosi w ogólności wielkie korzyści tym, którzy zwyciężają, a zatem całemu narodowi. Trzeba było słyszeć co Henryk o tém mówi:

utrzymuje, że Prusy są teraz potężne; wojsko przejęte radością a zarazem wdzięcznością i miłością dla naczelných wodzów, którzy ich do zwycięstw prowadzili; przez nie pozyskały niemiecką cywilizację i handel, więc dobrobyt... już nie wiem dobrze jak on to mówił... historyczne posłannictwo.

— Dlaczego twój narzeczony nie mówi z tobą o miłości zamiast o politycznych i wojskowych kwestiach?

— Mówimy o wszystkiém, i wszystko co on powie brzmi dla mnie jak piękna melodia... Czuję jak on jest dumny i szczęśliwy, że walczył za króla i kraj.

— I zdobył sobie przytém tak kochające serce — dodałam.

Ojcu przypadł do gustu przyszły zięć, jednakże stawiał różne warunki i zastrzeżenia, udzielając mu swoje błogosławieństwo:

— Kochany Reuss, jesteś mi drogim pod każdym względem jako człowiek, jako wojskowy i jako książę — powtarzał kilkakrotnie — lecz nienawidzę cię jako pruskiego oficera i, pomimo związków nas łączących, zastrzegam sobie, że niczego tak nie pragnę jak blizkiej wojny, w której Austria dobrzeby wam odpłaciła za obecny napad. Kwestya polityczna może pozostać niezależną od kwestyi osobistej. Daj Boże, abym dożył téj chwili, gdy syn mój wyruszy przeciw Prusom; ja sam nawet, gdybym nie był zastary i gdyby mię cesarz powołał, objąłbym dowództwo, żeby pokonać Wilhelma I, a zwłaszcza tego aroganta Bismarcka. Nie przeszkadza mi to wszakże uznawać przy-

mioty pruskiego wojska i zdolności strategiczne jego wodzów; uważałbym to za rzecz naturalną, gdybyś w przyszłej kampanii, na czele oddziału, zdobywał naszą stolicę i podpalił dom, w którym mieszkalby twój teść, słowem...

— Słowem jest to gmatwanina uczuć — przerwałam raz takę rapsodyą: — przeciwieństwa i sprzeczności pochłaniają się nawzajem, jak wymoczki w kropli zepsutej wody... Tak dzieje się zawsze, gdy chcemy kojarzyć pojęcia zbijające się nawzajem. Niepodobna nienawidzić całości a kochać jej części; myśleć inaczej jako człowiek, a inaczej jako obywatel kraju. Rozsądniej postępuje naczelnik Botakudów: on, względem członków obcego szczepu, nie żywi innych uczuć prócz chęci oskalpowania ich.

— Ależ Marto, takie dzikie uczucia, moje dziecko, nie zgadzają się ze stanem wyższej cywilizacyi.

— Powiedz raczej ojczu, że stan cywilizacyi nie zgadza się z przekazaną nam dzikością zamierzchłych czasów. Dopóki się jej nie pozbędziemy, dopóki nie otrząśniemy się z ducha wojowniczości, dopóty nie zdołamy dość rozsądnie przedstawić naszej zachwalanej ludzkości. Bo wszakże tego zapewnienia, że będziesz księcia Henryka kochał jako zięcia a nienawidził jako prusaka, poważał jako człowieka a nie znosił jako podpułkownika, że dajesz mu całęm sercem twe ojcowskie błogosławieństwo, lecz zarazem upoważniasz, by przy zdarzonej sposobności strzelał do ciebie, wybac, kochany ojczu, tego nie możesz przecie poczytać zarozsądne?

— Co mówisz? Nie rozumiem ani słowa...
I udana głuchota zjawiała się jak na zawołanie.

*

*

*

Wkrótce znów cisza zaległa Grumitz. Kwaterunek musiał nas opuścić, Konrad został powołany do pułku, Laura Griesbach i minister odjechali wcześniej jeszcze.

Wesele moich sióstr odłożone zostało do października. Ślub miał się odbyć jednocześnie w Grumitz, ksiązę Henryk zamierzał porzucić służbę; mógł to łatwo uczynić po tak chlubnej kampanii, w której zdobył awans, i spocząć na laurach w swych wiejskich posiadłościach.

Pożegnanie zakochanych par było smutne lecz nadzieja blizkiego szczęścia łagodziła boleść rozstania.

Nadzieja pewnego szczęścia!... Czyż ta jest kiedykolwiek możliwą, szczególnież zaś podczas wojny? Wtedy nieszczęścia spadają tak liczne jak roje szarańczy.

Wprawdzie wojna była skończona, a raczej zapowiedziano zawarcie pokoju; jedno słowo wystarczyło by wywołać okropne nieszczęścia, zdaje się więc, że jedném słowem zdołamy również je oddalić. Tak mówi pozór, w rzeczywistości jest inaczej. Zawieszają się kroki nieprzyjacielskie, lecz nieprzyjaźń pomimo to nie ustaje; rzucony jest posiew przyszłych wojen a skutki skończonój: nędza, zdziczenie, zarazy rozwijają się w dalszym ciągu.

Cholera szerzyła się w kraju na dobre.

Było to 8 sierpnia z rana. Siedzieliśmy wszyscy przy śniadaniu, pod werendą, odczytując nadeszłe listy i dzienniki; siostry rzuciły się do listów od swych narzeczonych, ja przerzucałam gazety. Wiadomość z Wiednia tak brzmiała:

„Wypadki śmiertelności cholerycznej mnożą się zastraszająco; nie tylko w wojskowych szpitalach lecz i w innych ukazują się objawy tej groźnej choroby”.

Miałam głośno ten ustęp przeczytać, gdy ciotka, która odebrała list od przyjaciółki z sąsiedztwa, z przerażeniem zawołała:

— To okropność! Elżbieta pisze mi, że u nich już dwie osoby umarły na cholere, a teraz zachorował jej mąż.

— Ekscelencyo, nauczyciel chce się z panem widzieć — przerwał lokaj nagle.

Gość zapowiedziany wszedł błady i wystraszony.

— Panie hrabio, zawiadamiam, że muszę zamknąć szkołę. Dwoje dzieci umarło...

— Na cholere? — podchwyciliśmy wszyscy.

— Nieinaczej... trzeba rzecz nazwać po imieniu. We wsi straszny przestrah panuje, bo doktor z miasta, który tu przyjeżdżał, zapowiedział, że mieszkańcy tutejsi niechybnie podlegną zarazie.

— Co to jest? — zapytałam nadsluchując. — Dzwony?...

— Pewnie znów ktoś kona — odparł nauczyciel. — Doktor mówił, że w mieście dzwon żałobny nie przestaje się odzywać.

Spojrzeliliśmy po sobie w milczeniu i trwodze, każdy z nas widział kościstą rękę śmierci nad swoją głową i nad głowami ukochanych.

— Uciekajmy! — zaproponowała ciotka.

— Dokąd? — zapytał nauczyciel. — Zaraza szerzy się dokoła.

— Jedźmy zagranicę...

— Kordon sanitarny z pewnością na to nie pozwoli.

— Nie zabronią przecież ludziom ratować życia!

— Zabronią, pani baronowo, nie pozwolą na przeniesienie zarazy tam, gdzie jej dotąd niema.

— Co robić, co począć?! — wołała ciotka łamiąc ręce.

— Zdać się na wolę Bożą — rzekł ojciec z głębokim westchnieniem — inną rady niema...

— Zatelegrafuję natychmiast do Bressera, żeby przysłał środki dezinfekcyjne — odezwał się Fryderyk.

Tego co potem nastąpiło nie mogę opowiedzieć szczegółowo, bo epizod przy śniadaniu był ostatnim, jaki z owych czasów zapisałam w dzienniku. Jednakże zapamiętałam wydarzenia następnych dni; trwoga i obawa przejmowały wszystkich bez wajątku. Któżby nie drżał w czasie epidemii o drogie sercu istoty? Nad głową każdego był zawieszony miecz Damoklesa, kogożby nie przerażała myśl śmierci?

Ojciec obstawał za wyjazdem, lecz sam postanowił zostać, żeby w niebezpieczeństwie nie opuszczać domowników i wieśniaków; Fryderyk oświadczył stanowczo, że i on zostanie, zatem i ja zdecydowałam, się nie opuszczać małżonka.

Ciotka z siostrami, Ottonem i Rudolfkiem miała zatem wyjechać o ile można najdalej. Narzeczone nie stawiały oporu, owszem, pomagały pakować rzeczy.

Kufry zniesiono do jadalnego pokoju, rozpoczęło się gorączkowe krzątanie.

— Dlaczego niema twojej pokojówki, pomogłaby nam? — zapytał ojciec.

— Nie wiem gdzie się podziewa; dzwoniłam na nią kilka razy, lecz nie przychodzi... Wolę sama się obsłużyć.

— Psujesz służbę — rzekł ojciec rozgniewany i rozkazał lokajowi odszukać dziewczynę.

Wysłany powrócił z przerażoną twarzą.

— Netti leży w pokoju... ona jest... ona... — jękał.

— Nie umiesz mówić? — krzyknął na niego ojciec. — Cóż jej takiego?

— Ona już... już... zczerniała.

Okrzyk wybiegł z ust wszystkich przytomnych: więc straszne widmo pojawiło się w naszym domu.

Co czynić? Czy podobna nieszczęśliwej dziewczynie pozwolić umierać bez ratunku? Lecz kto do niej przystąpi, naraża się na śmierć niechybną nie tylko siebie.

Bo dom, w który weszła zaraza, jest jakby otoczony przez rozbójników, jakby objęty płomieniem; wszędzie, ze wszystkich kątów, na każdym kroku śmierć wyszczerza zęby...

— Idź natychmiast po doktora — rozkazał ojciec.

— Doktor od godziny odjechał do miasta — odpowiedział służący.

— Niedobrze mi! — jęknęła Lili, a usta jej zbierały i chwyciła się za poręcz od krzesła.

Przyskoczyliśmy do niej:

— Co ci jest... Nie bądź dziecinna... to skutek obawy...

Nie była to jednak obawa!

Biedna Lili cierpiała okropnie, a tu pomocy lekarskiej zbrakło! Środki domowe, choć energicznie stosowane, nie były dostateczne. Nastąpiły kurcze, drganie i targanie w całym ciele tak, że kości trzeszczały. Ofiara epidemii nawet jęczeć nie mogła, bo głos odmawiał posłuszeństwa...

Ojciec załamywał ręce: stanęłam przed nim:

— To są następstwa wojny — rzekłam. — Czy będziesz ją przeklinał ojcze?

Odsunął mię, nie nie odpowiadawszy.

W kilka godzin Lili skonała.

Tymczasem nadjechał doktor Bresser sam przywożąc żądane lekarstwa. Byłabym mu nieledwie ręce ucałowała, za tę niespodziankę i dowód poświęcenia. On teraz objął zarząd domu; ciała kazał wynieść do ustronnego pokoju wszystkie inne pokoje i nas także poddał silnej dezynfekcyi. Zapach karbolu nappełnił całą przestrzeń zamkową; dziś jeszcze, gdy poczuje ten zapach, stają mi w myśli obrazy strasznych dni.

Nazajutrz po śmierci Lili zajechał powóz, który miał odwieźć ciotkę, Różę, Ottona i mego malca, gdy

stangret, schwytany ręką niewidzialnego dusiciela, musiał zejść z kozła.

— Ja was powiozę — rzekł ojciec gdy mu o tém oznajmiono. — Spieszcie się, czy już wszystko gotowe?

Wtedy odezwała się Róża:

— Jedźcie — szepnęła, — ja muszę zostać... podążę za Lili.

Mówiła prawdę: o świcie wyniesiono ją nieżywą z nawiedzonego domu.

Popłoch nieszczęścia wstrzymał odjazd.

Gdy ciało Róży wynieśli, zgębiony ojciec zapłakał jak dziecko.

Przystąpiłam do niego i ujęłam za ramię.

— Ojciec — rzekłam — to skutki wojny.

Nie otrzymałam odpowiedzi.

— Dobrze, żeś mi przypomniała... — westchnął po chwili — należy znieść to nieszczęście z męstwem żołnierza.... Nie ja jeden, kraj cały musi składać ofiary z łez i krwi.

— Jaki pożytek przyniosą krajowi twoje cierpienia i cierpienia rodaków? Cóż jej dały te przegrane bitwy lub te dwa złamane życia dziewczęce? Ojciec, zrób to dla mnie... patrz; pociągnęłam go do okna.

Na dziedziniec wjechał właśnie wóz z czarną trumną.

— Patrz — to dla naszej Lili, a jutro taką samą przywieżą dla Róży... pojutrze może trzecią...

— Bóg tak chciał, moje dziecko!

— Bóg! Że też każde szaleństwo, każdy dziki postępek i gwałt ludzki zasłania się zawsze tarczą woli Bożkiej!

— Nie bluźnij, Marto, nie bluźnij teraz, gdy karząca dłoń tak widomie...

W tej chwili wpadł do pokoju służący:

— Ekscelencyo, stolarz nie chce wnieść trumny do pokoju, w którym leżą hrabianki...

— I ty się, tehrzu, boisz?

— Ja... nie dam rady.

— Więc sam córkę moję...

Poszedł do drzwi.

— Precz! — krzyknął na mnie, gdym za nim pójść chciała. — Ty iść nie możesz, nie mogę tracić ciebie ostatniej... pamiętaj o dziecku!

Wszyscy uzbroiliśmy się w rezygnacyą; zaniechano projektu ucieczki; doglądaliśmy chorych włóścian a nawet Bresser zaprzestał już wzbraniać nam tego prawdziwie ludzkiego postępowania. Jego obecność, jego energiczna i niezmordowana działalność były nam jedyną otuchą.

Dwadzieścia lat z górą odtąd minęło, a jeszcze dreszcz mię przenika, gdy wspomnę owe dni żałobne. Łzy, jęki, rozdzierające sceny, zapach karbolu, trzeszczenia kości kurczem schwyconych, nieustający dzwon żałobny, wszystko to widzę i słyszę dotąd.

Pocztą przynosiła zewsząd wiadomości o szerzącej się zarazie. Chcąc przygotować Konrada, przesłałam mu parę słów: „Lili bardzo chora”. Nie mógł przybyć natychmiast — zatrzymywała go służba, dopiero na czwarty dzień przyjechał.

— Lili? — zawołał — prawdaż to?

W drodze dowiedział się już o swém nieszczęściu.

Potwierdziliśmy.

Stał milczący i niewzruszony, potem zapytał głośno:

— Gdzie leży? Na cmentarzu? Pójdę do niej...
bywajcie zdrowi... ona tam czeka na mnie...

— Ja mogę pójść z tobą — proponował ojciec.

— Nie, wolę iść sam.

Poszedł i nie zobaczyliśmy go już więcej: zastrze-
lił się na grobie narzeczonej.

Tak skończył Konrad hrabia Althaus, w dwu-
dziestym siódmym roku życia.

W innym czasie tragiczność tego wypadku wy-
dałaby się bardziej wzruszającą, lecz wtedy iluż to
młodych oficerów sprzątnęła wojna bezpośrednio, tego
zaś pośrednio zabrała. Gdyśmy się o tém dowiedzieli,
już nowe nieszczęście nas dotknęło: Otto, jedyny,
ubóstwiany syn mego biednego ojca, padł ofiarą okrut-
nej śmierci.

Całą noc i dzień cierpiał i nas przejmowały na-
przemiłanie nadzieja i zwątpienie... O siódmém skończyło
się wszystko.

Ojciec rzucił się na zwłoki ze strasznym, boleścią
nabrzmiętym krzykiem, który się po całym pałacu
rozlegał. Z wielkim trudem zdołaliśmy go oderwać
od ciała.

Po tych strasznych wybuchach nasąpiło nagle
odrętwienie, apatia; nie mógł być na pogrzebie swego

ulubieńca, leżał na kanapie nieruchomy nieprzyto-
mny prawie. Bresser kazał go rozebrać i zanieść do
łóżka.

W jaką godzinę może ożywił się nieco; ciotka,
Fryderyk i ja staliśmy przy nim. Spojrzał do koła
pytającym wzrokiem, podniósł głowę i chciał przemó-
wić, ale nagle zaczął się trząść, rzucać, kureczyć, por-
wany uściskami zarazy. Wreszcie zdołał jęknąć:

— Marto!

— Ojcie, mój drogi, biedny ojcie!...

Wyciągnął dłoń nad moją głowę:

— Twemu życzeniu niech się stanie zadość... —
szepnął z trudnością — prze... przekli... nam wojnę!

Nie mógł dokończyć i opadł na poduszki już
martwy.

* * *

Koniec lata spędziłam z mężem i synem w pobli-
żu Genewy; namowy doktora sprawiły, żeśmy opuścili
okolicę klęską dotkniętą. Opierałam się zrazu myśli
opuszczenia świeżych grobów rodzinnych, lecz Bresser
przekonał mnie, wytłumaczył, że obowiązek macie-
rzyński nakazuje mi wyrwać z niebezpieczeństwa
dziecko.

Fryderyk pragnął zwiedzić Szwajcaryę; podał
się do dymisji, a tymczasem wziął półroczny urlop.
Byłam teraz bardzo bogatą; śmierć ojca i rodzeństwa

uczyniła mnie spadkobierczynią posiadłości Grumitz i znacznej gotowizny.

Żyliśmy cicho, w odosobnieniu, w małej willi położonej nad jeziorem. Byłam zgnębiona, a Fryderyk szanował moją boleść; czuł, że potrzebuję w cichości oplakiwać, moich drogich, którzy spoczęli w mogiłach. Ci, co tak nagle i tak okrutnie pochwyteni zostali ze świata, nie mogli również nagle i obojętnie zniknąć ze wspomnień oplakującego ich serca.

On sam często bywał w mieście dla dopięcia celu w jakim przybyliśmy, to jest, dla poznania międzynarodowego stowarzyszenia pomocy dla rannych żołnierzy. Nie przypominam sobie dokładnie, jakie były wyniki zachodów co do tego, nie prowadziłam wtedy pamiętnika; natomiast zapamiętałam wrażenie, jakie wywarło na mnie usposobienie ogólne: spokój, swoboda, dobry humor wszystkich, których spotykałam przypadkiem; zdawało mi się, że żyjemy w najspokojniejszych i najprzyjaźniejszych czasach. Echo tylko co skończonej wojny nie rozlegało się tutaj, najwyżej jakieś tylko wspomnienie ulotne, jakby te krwawe zapasy dostarczyły jeden więcej zajmujący wypadek, jakby huk armat na czeskich polach miał w sobie nie więcej tragicznej grozy, od nowej opery Wagnera. Sprawa należała już do historii, wynikiem jej były zmiany graniczne lecz okropności znikły z pamięci. Wszystko się zapomniało, przeboleło i zatartało. W dziennikach zajmowano się jedynie przygotowującą się na rok 1867 w Paryżu, wystawą powszechną uroczystościami dworskimi w Compiègne, osobistościami literackimi, sprawami teatralnymi, nową

operą Gounod'a i t. p. Skandaliczny pojedynek, jaki rozegrał się *là bas en Bohème* pomiędzy Austrią i Prusami, złożono do archiwum wspomnień.

W połowie października opuściliśmy Szwajcaryą, wróciliśmy do Wiednia, gdzie formalności spadkowe wymagały koniecznie mojej obecności. Po załatwieniu interesów, umyśliliśmy zamieszkać na czas dłuższy w Paryżu. Fryderyk zamierzał przygotować grunt dla idei „ligi pokoju”, i sądził, że przyszła wystawa najlepšíą ku temu da sposobność.

— Porzuciłem szeregi — mówił — w skutek przekonania zdobytego na wojnie. Chcę teraz działać, wstępuję w służbę armii pokoju. Zastęp jej nieliczny wprowadzie, a bojownicy nie posiadają innej broni prócz uczuć sprawiedliwości i miłości bliźniego, lecz wszystko co z czasem dosięgło wielkości, było z początku niepozorne i skromne.

— Cóż osiągniesz, walcząc sam jeden, przeciw potężnej, tysiące lat liczącej, przez miliony ludzi bronionej warowni? — zapytałam.

— Nie jestem tak zarozumiałym, żebym się spodziewał, iż zdołam sprowadzić jakąś zmianę; powiedziałem tylko, że wstępuję w szeregi armii pokoju. Czyż będąc w wojsku myślałem, że sam obronię ojczyznę, sam zdobędę jaką prowincję? Jednostka może tylko służyć ogółowi i służyć powinna. Kto jest głęboko przejęty słuszością jakiejś sprawy, ten działać powinien, życie poświęcić — chociażby wiedział, że to życie samo przez się do zwycięstwa przyczynić się nie może.

— Masz rację. Kiedy wreszcie staną miliony podobnie energicznych obrońców, runie wiekowa warownia, opuszczona przez swe zastępy.

Z Wiednia odbyłam pielgrzymkę do Grumitz, mojej posiadłości, ale nie wstąpiłam do zamku. Na cmentarzu złożyłam cztery wieńce i odjechałam zaraz.

Gdy najważniejsze sprawy załatwione zostały, zaproponował mi Fryderyk wycieczkę do Berlina dla odwiedzenia nieszczęśliwej ciotki Kornelii. Zgodziłam się chętnie. Na czas naszej nieobecności powierzyłam syna opiece ciotki Maryi. Ostatnie wypadki w Grumitz nadzwyczaj ją przygnębiły; miłość, cel życia swego, przelała na mego Rudolfa. Sądziłam, że to ją trochę rozerwie i orzeźwi, gdy dziecko u niej na czas jakiś pozostanie.

1-go listopada wyjechaliśmy z Wiednia; w Pradze zatrzymaliśmy się i przenocowali. Następnego dnia, zamiast wprost jechać do Berlina, odprawiliśmy nową pielgrzymkę.

— Dzień Zaduszny! — rzekłam, spojrzawszy na datę dziennika, który nam przyniesiono razem ze śniadaniem do pokoju hotelowego.

— Dzień Zaduszny! — powtórzył Fryderyk. — Iluż to biedaków spoczęło na blizkich pobojuiskach, którym nawet ten dzień, poświęcony uczczeniu grobów, nie przyniesie pociechy... Któż ich odwiedzi?

Popatrzywszy na męża chwilę w milczeniu, zapytałam z cicha:

— Chciałbyś?...

Skłonił głowę: zrozumieliśmy się i w godzinę później byliśmy na drodze do Chlum i Königgrätz.

*

*

*

Już się zmierzchało, gdyśmy przybyli do Chlum a ztamtąd, w uroczystém milczeniu, zdążaliśmy pieszo, na pobliskie pobojuisko. Padała gęsta mgła, w połączeniu z drobniutkimi płatkami śniegu; nagie gałęzie drzew schylały się pod ostrym podmuchem wiatru; mnóstwo grobów wznosiło się dokoła, a w nich spoczywało mnóstwo nieboszczyków. Nie był to jednak cmentarz; tu nie złożono na wieczny spoczynek strudzonych życiem pielgrzymów; tu przemoc pozbawiła życia dumną nadzieję przyszłości, w pełni młodzieńczego zapału do życia, w pełni sił męskich.

Nie było pusto na cmentarzu wojennym. Wiele, bardzo wiele osób sprowadził dzień Zaduszy z naszego i z nieprzyjacielskiego kraju, każdy przybywał uklęknąć na miejscu gdzie polegli ukochani. Pociąg, którym przyjechaliśmy, przywiózł nowych oplakujących — przez kilka godzin słyszałam żałosne skargi do koła.

Na polu widać było wszędzie, po wszystkich drogach, snujące się, czarne postacie, niektóre klęczały, inne podążały dalej, inne znów z głośnym łkaniem padały na ziemię. Nie wiele tu było pojedynczych mogił, kilka zaledwie krzyżów i nagrobków opatrzonych napisami. Schyliwszy się, zdołaliśmy, o ile nam zmierzch pozwolił, wyczytać kilka nazwisk.

„Von Reussa, major z 2-go pułku pruskiej gwardyi”.

— Może jaki krewny narzeczonego biednej Rózy? — zauważyłam.

„Hrabia Grünne, ranny 3 lipca, zmarł 5 lipca”...

Ileż musiał wycierpieć w przeciągu tych dwóch dni!... Byłżeby synem tego hrabiego Grünne, który, przed rozpoczęciem wojny, wyrzekł owe powszechnie znane słowa: „Czapkami zarzucimy prusaków!”

Idziemy dalej, mgła pada coraz gęściej:

— Fryderyku, włóż kapelusz: zaziębisz się, — ostrzegłam.

Fryderyk pozostał z odkrytą głową a ja nie powtórzyłam więcej przestrogi.

Wśród żałobnych postaci, które tu przybywały, znajdowało się wielu oficerów i żołnierzy; widocznie tacy, którzy sami znajdowali się w bitwie pod Königgrätz, a teraz odbywali pielgrzymkę do miejsca, gdzie spoczywali ich towarzysze.

Doszlśmy nareszcie tam, gdzie się największa wznosiła mogiła; w niej przyjaciele i wrogowie spoczywali obok siebie. Miejsce było, jak cmentarz, ogrodzone; tu także najwięcej napływało osób, bo każdy spodziewał się, że najpewniej znajdzie oplakiwanego. Przy ogrodzeniu klęczeli i łkali osieroceni, zawieszali wieńce i lampki.

Słuszny, wysmukły mężczyzna, o wytworną, młodzieńczą postać, w generalskim płaszczu, zbliżył się do pagórka. Wszyscy usuwali się z uszanowaniem i usłyszałam szept:

— Cesarz...

Był to Franciszek Józef. Cesarz, wódz naczelny, przybywał w dzień Zaduszny, aby za zmarłych żołnierzy, za poległych wojowników, odmówić cichy pacierz. Stał z odkrytą, pochyloną głową, wobec majestatu śmierci.

Długo stał tak nieruchomy, nie mogłam oczu od niego oderwać. Jakież myśli gościły w jego duszy, jakie uczucia w sercu, które było dobre i tklive? Zdało mi się, że odczuwam jego uczucia, że też same myśli, które krążą w jego pochylonej głowie, zjawiają się jednocześnie i w mojej:

— O moi biedni, dzielni wojacy... poległście... i za co?... Nawet nie zwyciężyliśmy... Wenecjo mogła... Stracona... Straciliśmy tak wiele, tak bardzo wiele... Stracone i wasze życie młode... Ponieśliście je w ofierze dla mnie... Gdybym mógł zwrócić je wam! Nie żądałem tej ofiary dla siebie, za was, za kraj wasz szliście na wojnę, drodzy żołnierzy. I nie przeze mnie, choć na mój rozkaz; wszak musiałem go wydać? Nie dla mnie istnieją poddani, o nie! ja dla nich zostałem powołany do tronu... i w każdej chwili gotów jestem umrzeć dla dobra mego narodu... Czyż mogłem pójść za głosem serca i nie wyrzec „tak”, kiedy wszyscy wołali do koła: „Wojna, wojna!”... Czyż mogłem się oprzeć... Co mnie nagliło, co mnie zmuszało — nie wiem już dziś dobrze; wiem tylko, że to był nieprzewidywany nacisk zewnętrzny, wywierany i przez was... Jakże to smutne! Wycierpieliście tyle, a teraz leżycie tu i na innych pobojuwiskach, kartacze i szable, cholera i tyfus sprzątnęły was...

Gdybym był wyrzekł „nie”... prosiłaś mię o to, Elżbieto...

Rozmyślając tak za niego, wpatrywałam się ciągle w rysy szlachetne, widziałam, że zakrył twarz rękami i rozplakał się boleśnie.

Działo się to w dzień Zaduszny, 1866 r. na pobożowisku pod Sadową.

KSIEGA PIĄTA.

Pokój.

Zastaliśmy Berlin wrzący wesołością; każde godło sklepowe, każda wystawa były przypomnieniem zwycięstwa, wszystkie usta zdawały się mówić: „Pokonałliśmy przeciwników”. Jednakże w rodzinach, które odwiedzałyśmy, spotkaliśmy nie jedno złamane serce, które na niemieckich polach bitwy poniosło niezapomnianą stratę. Najwięcej obawiałam się spotkania z ciotką Kornelią. Wiedziałam, że jej piękny Gotfryd był jej bóstwem, jej skarbem, więc mogłam łatwo pojąć, jaki ból straszny przyniósł teraz biedną, osieroconą matkę.

Z bijącym sercem wstępowałam w progi mieszkania pani von Tessow. W przedpokoju już widniała żaloba panująca w domu; służący, który nam drzwi otworzył, miał czarną liberyą; meble w wielkim salonie zasłaniały pokrowce, na kominku nie płonął ogień, a lustra i obrazy pokrywała czarna krepą. Ztąd poprowadzono nas do pokoju sypialnego ciotki, w którym ona oczekiwała nas. Była to obszerna komnata, podzielona zasłoną, za którą stało łóżko; tu ciotka dnie

spędzała. Z pokoju swego prawie nie wychodziła, chyba aby zajrzeć do gabinetu Gotfryda; tam wszystko pozostało jak było w dzień jego odjazdu. Nas tam także zaprowadziła i dała przeczytać list jego ostatni.

Opisywać smutnej wizyty nie będę, wspomnienie jej serce niewysłowionym żalem mi ściska. Nieszczęśliwa matka wciąż mówiła o swój stracie, z którą się jeszcze pogodzić nie mogła.

W parę dni musieliśmy wyjechać z Berlina; otrzymałam depeszę zawiadamiającą, że ciotka Marya niebezpiecznie chora. Zostałam staruszkę w stanie nie pozostawiającym żadnej nadziei wyzdrowienia.

— Na mnie teraz kolój — temi słowy nas przywitała — żegnam świat chętnie; odkąd śmierć zabrała mego biednego brata, z trojgiem dzieci, nic mnie tu prawie nie wiązało; nie mogłam przyjść do siebie po tym strasznym ciosie... Na tamtym świecie spotkam się z nimi...

Na trzeci dzień spokojnie i z poddaniem zasnęła snem wiecznym biedna nasza ciotka; umierała przytomnie z modlitwą, na ustach, jak wzorowa chrześcianka.

W testamencie nazaczyła spadkobiercą swego majątku Rudolfa, opiekę powierzając ministrowi „Bez wątpienia”.

Ta okoliczność zbliżyła mnie znów z dawnym przyjacielem mego ojca; był on prawie jedynym gościem w naszym domu. Ciężka żałoba, jaką spowodowały nieszczęsne wypadki w Grumitz, była powodem, że żyłam w zupełnym odosobnieniu od świata. Zamiar przeniesienia się do Paryża mógł dopiero wówczas przyjść do skutku, gdy wszystkie majątkowe spra-

wy zostały załatwione, a to kilka miesięcy czasu zajęć musiało.

Minister podał się był w tym czasie do dymisji; czy otrzymał? ją tego nigdy dociec nie mogłam; na pozór powrócił do życia prywatnego, lubił jednak zawsze się zajmować polityką. Rozmowę zwracał na ten ulubiony temat, my zaś podtrzymywalismy ją chętnie. Teraz, gdy Fryderyk zajmował się gorliwie badaniem prawa narodów, pożądaną mu była wszelka dyskusja wkraczająca w tę dziedzinę. Po obiedzie (pan minister „Bez wątpienia” obiadował u nas dwa razy na tydzień) zapuszczali się obaj panowie w długą rozprawę polityczną, ja siadywałam przy nich z jakąś robotką w ręku i nie wtrącając się wcale do rozmowy, słuchałam jej bardzo uważnie. Fryderyk wypowiadał swoje zdania bez ogródki, chociaż wiedział dobrze, jaka to niewdzięczna rola powstawać przeciw ogólnie uznanym zasadom.

— Przynoszę dziś ciekawą nowinę, kochany Tilling — rzekł pewnego razu minister. — W ministerium wojny, zajmują się teraz bardzo żywo kwestyą zaprowadzenia u nas powszechniej służby wojskowej.

— Jako? Ten tak ogólnie przed wojną wyśmiewany i wyszydzany system pruski?

— Bez wątpienia, byliśmy co do tego uprzedzeni, lecz musisz pan przyznać, że prusacy przewyższyli nas doświadczeniem. Ze stanowiska moralnego, a nawet demokratycznego i liberalnego, jest rzeczą sprawiedliwą, aby każdy, bez względu na stan i stopień wykształcenia, spełniał jednakie obowiązki. Ze stanowiska stra-

tegicznego znów: czyżby Prusy mogły nas zwyciężyć, gdyby nie landwera?

— Czyli, gdybyśmy rozporządzali znaczniejszym materiałem wojennym, nieprzyjaciel nieby swoim nie wskórał, ztąd wniosek: że gdy wszędzie zaprowadzoną będzie landwera, nikomu nie przyniesie korzyści. Partya szchaów rozgrywać się będzie większą liczbą pionków, lecz wygrana pozostanie zawsze zależną od szczęścia i zręczności graczy. Przypuściwszy, że wszystkie państwa europejskie zaprowadzą u siebie obowiązkową służbę wojskową, stosunek ich potęgi przez to się nie zmieni; różnica będzie tylko taka, że gdy przyjdzie do zbrojnego starcia, nie tysiące lecz miliony pójda na rzeź!

— Czy znajdujesz pan właściwem i sprawiedliwem, żeby tylko część ludności poświęcała się obronie kogoś, a inni, zwłaszcza bogaci, żeby siedzieli spokojnie w domu? Tak być nie może; każdy powinien służyć krajowi, jak lud tak samo żywił inteligentny.

— Powołując na wojnę żywił wykształcony, przyprawiamy kraj o straty, bo ci, którzy swemi wynalazkami, dziełami sztuki, badaniami naukowemi mogli byli posunąć naprzód cywilizacyą, staną w szeregach, posłużą za cel nieprzyjacielskim armatom.

— Co tam wynalazki, dzieła artystyczne i badanie czaszek! te rzeczy nie powiększą potęgi państwa. Zresztą nie potrzeba służyć przez całe życie; parę lat sprężystej dyscypliny wyrze dobry skutek. Podatek krwi składać musimy, niech więc równo będzie rozdzielony.

— Gdyby taki podział mógł sprawić, że na każdego przypadłby mniejszy udział, przemawiałoby to za nim, ale w tym wypadku stanie się przeciwnie: krew popłynie obficie. Spodziewam się, że projekt ten nie przyjdzie do skutku, nie podobna przewidzieć, dokąd by to nas zaprowadziło. Jedno państwo starałoby się wtedy przewyższyć drugie w sile zbrojnej i wreszcie nie mielibyśmy już armii tylko uzbrojone narody. Coraz więcej ludzi powoływałaby służba wojskowa, czas służby stawałby się coraz dłuższy, pomnażałyby się podatki wojenne i koszta uzbrojenia... Nie walcząc nawet z sobą, niszczyłyby się narody samemi przygotowaniem wojennymi.

— Kochany Tilling, za daleko sięgasz!

— Nigdy nie sięga się myślą zbyt daleko. Przedsiębiorząc cośkolwiek, trzeba mieć także odwagę przedstawić sobie, o tyle o ile umysł nasz zdoła, ostateczne tego przedsięwzięcia skutki. Przyrównywaliśmy wojnę do gry w szachy; polityka nie jest niczem innem jak grą w szachy, a tylko słaby gracz nie zdoła obmyśleć więcej nad jedno posunięcie i cieszy się już, gdy zagroził jednemu pionkowi. Cóż będzie, gdy doszedłszy do największych mas wojska i ostatecznych granic wieku, zechce który naród wystawić pułki amazońskie? Drugie narody będą musiały go w tém naśladować. Albo jeśli uformuje pułki dziecinne? I w tém naśladownictwo konieczne. A w uzbrojeniach, w środkach spustoszenia, gdzież granica?

— Uspokój się, kochany Tilling... jesteś prawdziwym fantastą. Wskaż sposób zniesienia wojny, to byłoby bezwątpienia najlepsze; ale ponieważ jest to

niemożliwe, więc każdy naród musi się tak przygotowywać, aby w nieuknioną walce o byt zapewnić sobie możliwość wygranej.

— Gdybym wymienił środki zniesienia wojny, nazwałbyś mnie pan jeszcze większym fantastą, sentymentalnym, chorobliwym marzycielem, opanowanym gorączką humanizmu.

— Bezwątpienia, nie ukrywałbym, że do osiągnięcia podobnego ideału brak wszelkiej praktycznej podstawy. Musimy się liczyć z istniejącymi warunkami, a do nich należą: spółzawodnictwo, różnorodność interesów, niemożliwość porozumienia się we wszystkich kwestiach...

— Gdy powstają nieporozumienia, powinien je rozstrzygać sąd nie przemocy.

— Wyrokowi trybunału nie poddają się nigdy państwa ani narody.

— Nie zechcą się poddać mocarze i dyplomaci, ale nie naród. Zapytajmy o to naród, on gorąco i prawdziwie pragnie pokoju, a zapewnienia pokojowe rządów są częstokroć kłamstwem obłudnym. Narody coraz głośniej dopominają się będą o pokój. Jeżeli rozpowszechni się obowiązkowa służba wojskowa, to równocześnie powiększy się ogólne zniechęcenie do wojny. Można sobie wyobrazić kastę rozmiłowanych w swym zawodzie żołnierzy: wyjątkowe ich stanowisko w społeczeństwie, będące stanowiskiem zaszczytnym, jest nagrodą za poświęcenia, lecz znosząc wyjątkowość stanowiska, znosimy i zaszczyt. Zniknie wdzięczność pełna podziwu, jaką pozostający w domu żywią dla

idących na wojnę w ich obronie, gdy nikt nie pozostał w domu.

— Jednakże nikt się w głos nie odezwie przeciwko wojnie...

— Mylisz się ekscelencyo, z pewnością zaprzeczy niejeden. Gdy myśl dojrzeje, staje się czynem. Ja sam dożyłem lat czterdziestu, zanim moje przekonania ustaliły się, zmężniały, zanim zdobyłem się na odwagę głośno je wysnuć. Mnie potrzeba było na to dwóch czy trzech dziesiątków lat; społeczeństwu potrzeba będzie może dwóch lub trzech pokoleń, lecz przemówi nareszcie.

*

*

*

Nowy rok 67!

Wigilią dnia tego spędziliśmy we dwoje z Fryderykiem. Gdy wybiła dwunasta, zapytałam go:

— Czy przypominasz sobie życzenia, jakie ojciec, w ten sam dzień i o tej godzinie, rok temu wygłosił? Nie śmiem życzyć ci szczęścia: przyszłość kryje czasem w swém łonie niespodziewane okropności, a nikt nie zdołał jeszcze im zapobiedz...

— Więc nie patrzmy w przyszłość, lecz przebiegnijmy myślą rok ubiegły. Ileś ty wycierpiała moja biedna żono! Pochowałaś tyle drogich osób... Albo owe straszne chwile pobytu na pobojowiskach czeskich...

— Nie żałuję, że widziałam te okropności; mogę teraz całą duszą spóldziałać twoim zabiegom.

— Musimy Rudolfa tak wychować, aby podjął następnie to samo zadanie; może dożyje czasu, kiedy właśnie narody potępia głośno wojnę... Jaki hałas na ulicy: ludzie witają radośnie rok nowy, niepomni cierpień, jakie im przyniósł również radośnie witany rok ubiegły. O niepamiętni!

— Nie wymawiaj im tego zapomnienia, Fryderyku. I z mojej pamięci ulatują chwile cierpień, odczuwam tylko obecne szczęście. Bo przecież możemy się nazwać szczęśliwą parą: niezależni, bogaci, ileż przyjemności szczyrych czeka nas jeszcze w życiu: będziemy podróżować, poznawać ten piękny świat... Choćby wojna wybuchła, nie brałbyś w nią udziału... I Rudolfowi nie nie zagraża; ponieważ nie będzie żołnierzem...

— Jeżeli jednak, jak mówił minister „Bez wątpienia”, każdy obowiązany będzie spełniać powinność wojskową...

— To nie ma sensu! Do tego nie przyjdzie! — zawołałam i rozmowę umyślnie na inny przedmiot zwróciłam.

Karnawał sprowadził znów bale i zabawy, nas żałoba powstrzymywała od brania w nich udziału. Dziwiło mnie nawet, że wszyscy nie unikają rozrywek, wszak nie było rodziny, któraby nie poniosła jakiejś straty? Niektóre domy arystokratyczne, pozostały wprawdzie zamknięte, dla młodzieży jednak nie brakło sposobności do tańca. Największemu powodzeniem cieszyli się rycerze z włoskich i czeskich pól bitwy; największe hołdy odbierali oficerowie marynarki, ci zwłaszcza, co walczyli pod Lisą. Młody admirał Tegenhof stał się bohaterem serc niewieścich.

Z wiosną ukazał się znów na horyzoncie politycznym pewien „czarny punkcik”. Pogłoski o uzbrojeniach francuzkich dostarczyły domysłom ulubionego materyału. Tym razem powikłanie nosiło nazwę „kwestya luksemburska”.

W skutek traktatów z 1814 i 1816, Luksemburg należał do króla Niderlandów i zarazem do związku niemieckiego; Prusom przysługiwało prawo utrzymania załogi w stolicy, lecz w 1866 r. w czerwcu, Prusy zrzekły się uczestnictwa w dawnym związku, jak więc należało teraz uważać prawo okupacji? Pokój praski ustanawiał nowy system w Niemczech, który znosił zależność Luksemburga, dlaczegoż więc Prusy zatrzymywały i nadal prawo okupacji? Było to powikłanie dające się najkorzystniej i najsluszniej rozstrzygnąć wymordowaniem nowych tysięcy; to przyzna każdy „rozumny” polityk. Holendrom nie zależało bynajmniej na posiadaniu księstwa; król Wilhelm III niezbyt się o nie troszczył, i byłby je chętnie odstąpił Francyi, za pewną sumę, przelaną do prywatnej królewskiej szkatuły. Rozpoczęły się więc tajemne układy pomiędzy królem i gabinetem francuzkim. Bardzo słusznie! tajemnica jest treścią wszelkiej dyplomacyi. Narody nie powinny nie wiedzieć o toczących się sporach — dopiero gdy przyjdzie do rozstrzygnięcia wolno, im krew za nie przelewać. Dlaczego i za co się biją — to rzecz najmniejsza.

Z końcem marca nareszcie ogłasza król urządowanie, że z Francją ugoda zawartą została i zawiadania o niej pruskiego ambasadora w Hadze. Rozpoczynają się układy z Prusami, które powołują się na

rękojmię traktatów z 1859. Opinia publiczna w Prusach jest niezmiernie oburzona, że państwo związkowe ma być oderwane; w sejmie północno-niemieckim powstają ogniste interpelacje. Bismark chłodno wprowadza traktuje sprawę luksemburską, lecz, korzystając z tej sposobności, każe się uzbrajać przeciw Francji, na co ta odpowiada naturalnie zbrojąc się również. Obawiałam się, że nowy pożar wybuchnie w Europie, bo nie brakło rozdmuchiważy: w Paryżu Cassagnac i Emil de Girardin, w Berlinie Menzel i Henryk Leo. Czy tacy ludzie mają pojęcie o ogromie swęj zbrodni? Nie zdaje mi się. Znacznie później dowiedziałam się, że profesor Simon, rozmawiając z następcą tronu pruskiego o toczącęj się sprawie, miał powiedzieć:

— Jeśli zawarto układ pomiędzy Francją a Holandją, to będzie wojna.

Na co następcę tronu, mocno wrzuszony, miał odpowiedzieć z oburzeniem:

— Nie widziałeś pan wojny... gdybyś ją widział, nie wygłaszałbyś podobnych słów tak spokojnie... Ja ją widziałem i powiadam, że naświętszym obowiązkiem każdego unikać wojny.

Tym razem unikniono jęj; londyńska konferencya, doprowadziła spór do požadanego rezultatu na drodze pokojowej, Luksemburg uznano państwem neutralnęm, Prusy wycofały swe wojska. Zwolennicy pokoju odetchnęli, znalazło się jednak wielu takich, których gniewał podobny obrót sprawy. W Niemczech dały się słyszeć głosy potępiające postępowania Prus. Co osiągnięto na konferencyi londyńskięj, mogłoby być

osiągnięte we wszystkich kwestyach spornych, a kierownicy państw zawsze mogliby uniknąć wojny.

*

*

*

W maju wyjechaliśmy do Paryża na wystawę. Nie znałam jeszcze tęj stolicy świata, olśniła mię swą wspaniałością i ożywieniem. Wówczas cesarstwo dosięgło najwyższęj świetności, wystawa zgromadziła w swęj stolicy wszystkie głowy koronowane Europy. Paryż wydawał mi się nie stolicą kraju, lecz międzynarodową.

W obszernym pałacu, na Polu Marsowém, zgromadziły się wszystkie ludy świata, aby stoczyć walkę pokojową spółzawodnictwa na polu twórczości, pracy i talentu, nagromadzono tutaj tyle arcydzieł sztuki, tyle cudów przemysłu; na ich widok każdy czuł się dumnym, że żyje w wieku takiego postępu. Goszczący u cesarza królowie, książęta i dyplomaci, wymieniając uprzejmości, oświadczenia przyjaźni i życzenia pomysłności, czyż mogli się spodziewać, że w niedalekięj przyszłości wymienią śmiertelne strzały?

Świetna uroczystość wystawy wydała mi się rękojmią rozpoczynającęj się nowęj ery długiego, bardzo długiego pokoju. Utwierdzała mnie w tęg przekonaniu wiadomośc, że cesarz pragnie wystąpić z projektem ogólnego rozbrojenia, i że przy najpierwszęj zdarzonęj sposobności przedstawi go rządowi europejskim.

Czy rząd mógłby odrzucić projekt francuzki, nie ujawniając tęg samę chęci zaborczych? Któryż na-

ród nie powstałby przeciw takiej odmowie? Projekt ma wszelkie dane powodzenia.

Fryderyk nie podzielał mojej pewności:

— Przedewszystkiem wątpię — mówił — aby Napoleon pragnął tego szczerze. Gdyby nawet tak było, przeszkodziłaby mu przewaga stronnictwa wojennego. Panującym przeszkadza zawsze ich otoczenie w przeprowadzeniu wielkich zamiarów, wykraczających z ogólnego szablonu. Nie podobna zresztą nakazać żyjącej istocie, żeby przestała istnieć.

— O jakiej istocie mówisz?

— O armii. Jest ona organizmem, a jako taki posiada zdolność żywotną i samozachowawczą. Obecnie organizm ten znajduje się w pełni swego rozwoju.

Mieszkaliśmy w Grand-hôtel, na bulwarach Kapucyńskich. Spółziomków spotykaliśmy nie wielu: austriacy nie lubią podróżować. Zresztą nie szukaliśmy wcale znajomości. Rudolf był naturalnie z nami.

Nowy zupełnie horyzont otworzył się tu przedemną! Ci, ze wszystkich stron świata zebrani, ludzie, uroczystości, przepych: wszystko to ogłaszało mię formalnie.

Mysmy z Fryderykiem trzymali się zdala od wielkiego świata; złożyliśmy jedynie wizytę naszemu ambasadorowi Meternichowi, przyczem nadmieniliśmy, że z powodu żaloby nie możemy być przedstawieni u dworu. Natomiast staraliśmy się poznać wybitne polityczne i literackie osobistości, ulegając ciekawości, a także ze względu na ideę wymarzoną przez Fryderyka.

Fryderyk nie wyrzekł się swych zamiarów; coraz bardziej zagłębiał się w badanie prawa narodów, korespondował z Blunschlیم i innymi uczonymi. Jednocześnie pilnie się poświęcał studiom przyrodniczym; zamierzał napisać obszerne dzieło, na temat pokoju i wojny, a zanim je rozpocznie, chciał się przygotować należycie. „Jestem wprawdzie już *starym* cesarsko-królewskim pułkownikiem — mówił — większość rówieśników i spółtowarzyszy wojskowych nie zechciałaby się oddawać nauce... Każdy dojrzały mężczyzna uważa się za skończonego pod względem wykształcenia; ja sam, przed kilkoma laty, miałem podobnie wysokie wyobrażenie o mojej osobie, ale gdy się otworzył przedemną nowy widnokrąg, gdym poznał cokolwiek ducha nowoczesnego, przekonałem się o własnem nieuctwie... Teraz więc, pomimo siwych włosów, muszę zaczynać naukę od początku.

W tym czasie spotkała nas radość: Rudolf pozyskał siostrzyczkę.

Zimą, która nastąpiła po przyjściu na świat Sylwii, spędziliśmy w Wiedniu, następnie udaliśmy się w podróż po Włoszech. Poznanie świata zaliczało się do programu naszego życia; posiadaliśmy majątek i niezależność, coż zatem mogło nam przeszkodzić w wykonaniu zamiarów? Małe dzieci są wprawdzie ciężarem w podróży, lecz przy dostatecznej opiece bon i nianiek, można sobie z niemi dać radę. Wzięłam do domu dawną sługę, która była niegdyś moją i moich siostr niańką, następnie wyszła za mąż i owdowiała. Anna zasługiwała na zaufanie, wybierając się z Fryderykiem na kilkodniową wycieczkę mogłam z całym

spokojem zostawić Sylwią pod jej opieką. Również bezpiecznym był Rudolf pod nadzorem swego ochmi- strza.

W zimie 1869 r. powróciliśmy znów do Paryża i tym razem rzuciliśmy się w wir wielkoświatowy.

Najeliśmy w okolicy Pól Elizejskich mały, ume- blowany pałacyk, gdzie przyjmowaliśmy niekiedy zna- jomych, którzy nas także zapraszali do siebie. Otrzy- maliśmy, przez ambasadora austriackiego, na całą zimę zaproszenie na poniedziałki cesarzowej; prócz tego otwarte były dla nas salony każdej ambasady, księżnej Matyldy, księżnej de Mouchy, królowej hisz- pańskiej Izabelli i t. p. Poznaliśmy wiele znakomi- tości literackich, z wyjątkiem najgłośniejszej: mówię o Wiktorze Hugo, który znajdował się na wygnaniu; spotkaliśmy Renana, Dumasa ojca i syna, Oktawiusza Feuillet'a, George Sand, Arsena Houssaye i kilku innych.

Bywaliśmy też często w teatrze; co najmniej trzy wieczory w tygodniu spędzaliśmy bądź na operze wło- skięj, gdzie Adelina Patti, niedawno zaślubiona z mar- kizem de Caux, zachwycała słuchaczy, lub w teatrze francuzkim.

Austryakom okazywano w Paryżu wielką sym- patyą; często w rozmowach politycznych robiono alu- zye do przyszłego „odwetu za Sadowę” i to w taki sposób, jakby krzywda, wyrządzona nam przed dwoma laty, musiała być wynagrodzoną. Czyż krzywdy po- dobne wynagrodzić można! Jeżeli ciosy ciosami umo- rzyć chcemy, nigdy nie osiągniemy trwałej zgody.

Zdawało się wszystkim, że dla mnie i dla mego męża, który jako wojskowy odbył kampanią czeską, niema nie przyjemniejszego i bardziej pożądanego nad na- dzieję przyszłego odwetu, a ten uważano powszechnie jako dziejowy wypadek, mający zabezpieczyć równo- wagę europejską.

Odpieraliśmy naturalnie stanowczo podobne po- ciechy; nowe nieszczęście nie zatrze starego, również jak nowa niesprawiedliwość nie złagodzi dawniej. Za- pewnialiśmy, że jedynym naszym życzeniem jest za- chowanie pokoju.

Tego samego pragnął Napoleon III. Znalismy tyle osób z otoczenia cesarza, że nie zbywało nam na sposobności poznania jego przekonań politycznych, o ile je wypowiadał w kółku swych zaufanych. Nie dość, że pragnął pokoju chwilowego, lecz zamierzał, jak nad- mieniał, zaproponować mocarstwom powszechne roz- brojenie. Nie czuł się jednak dosyć silnym, aby za- miar przeprowadzić; w kraju wrzało niezadowolenie a wśród osób najbliższych tronu istniało stronnictwo usiłujące dowieść, że tylko „mała tryumfalna prome- nada nad Ren” zapewni trwałość i świetność dynastyi napoleońskiej.

Gdy lato nadeszło, członkowie naszego towarzy- stwa zaczęli opuszczać Paryż: jedni udawali się do Trouville i Dieppe, do Biarritz i Vichy, inni do Ba- den-Baden. My wybraliśmy znów za miejsce pobytu cichy zakątek Szwajcaryi.

Europa zdawała się być spokojną, żadna „chmur- ka” nie ukazywała się na horyzoncie, umilkły nawet

pogłoski o odwecie za Sadowę. Największą przykrość, jakiej wówczas doznałam, zgotował mi obowiązek powszechnej służby wojskowej zaprowadzony od roku w Austrii. Nie mogłam pogodzić się z myślą, że Rudolf zostanie żołnierzem.

— Rok tylko służyć będzie, to nie tak długo — pocieszał mnie Fryderyk.

W ciszy i odosobnieniu mąż mój znajdował dość czasu do pracy; oddawał się jej z prawdziwym zapałem. Byliśmy zadowoleni i szczęśliwi w tej naszej samotności, trwalіśmy jednak w postanowieniu przepędzenia następnej zimy w Paryżu. Tym razem nie dla zabawy, lecz w zamiarze rozwinięcia praktycznej działalności dla poparcia naszego zadania.

W grudniu, kiedyśmy już mieli jechać do Paryża, zaszły ważne przeszkody w wykonaniu naszych zamiarów: mała Sylwia zachorowała; przeżyliśmy chwilę strasznej obawy.

Szczęściem, że po dwóch tygodniach choroby niebezpieczeństwo minęło, ale doktor zabronił przewozić dziecko podczas zimy, dlatego odłożyliśmy podróż do marca.

KSIĘGA SZÓSTA.

Lata 1870/71.

Przeczcucia nie istnieją wcale, bo czyż zrobiłby na mnie Paryż tak wesołe, miłe wrażenie, gdyśmy wjeżdżali w słoneczny dzień marcowy 1870 r.? Wiadomo dziś, jakie okropne wypadki miały spaść na to miasto w niedalekiej przyszłości.

Już zawczasu, przez agenta, John Artura, wynajeliśmy ten sam mały pałacyk, w którym mieszkaliśmy poprzedniej zimy; w bramie oczekiwał nas ten sam szwajcar. Kiedy przejeżdżaliśmy przez pola Elizejskie, była właśnie godzina spaceru, spotkaliśmy kilka osób znajomych i zamieniliśmy radosne powitania. Mnóstwo małych wózków z fiołkami, które o tej porze roku po ulicach Paryża rozwożą, napełniało powietrze wonnemi zapowiedziami wiosny; promienie słońca iskrzyły się i grały tęczowymi barwami w wodotryskach, na latarniach powozowych i na uprząży licznych powojazdów.

Niektóre wypadki utrwalają się w pamięci jak na kliszy fotograficznej. „Jednakże piękny jest Paryż!” — zawołał wówczas Fryderyk, ja zaś doznawałam uczucia dziecinną radości z przyszłego pobytu w tém mieście. Gdybym była wiedziała, co mnie tu czekało...

Tym razem unikaliśmy wiru światowych rozrywek; oznajmiłszy, że nie przyjmujemy zaproszeń na bale, unikaliśmy również wspaniałych przyjęć. Teatru nie odwiedzaliśmy też często; bywaliśmy wtedy tylko, gdy dawano jaką głośną a nową sztukę, zresztą spędzaliśmy wieczory samotnie w domu lub w towarzystwie kilku przyjaciół.

Co się tyczy naszych planów, opartych na projektowaniu przez cesarza powszechném rozbrojeniu, źle wybraliśmy się z niemi. Napoleon nie wyrzekł się był wprawdzie zupełnie swych zamiarów, lecz chwila obecna, jak mówiono, nie sprzyjała ich przeprowadzeniu. Wiedzieli wszyscy, że tron chwieje się w swych podstawach; w kraju wrzało wielkie niezadowolenie, chcąc je stłumić obostrzono cenzurę, a to wywołało jeszcze większe oburzenie. W pewnych sferach utrzymywano, że jedynie pomyślna wojna zdoła odnowić blask i trwałość dynastji.

Nie zanosilo się wprawdzie na wojnę, lecz mówić teraz o rozbrojeniu byłoby błędem; przyćmiłoby to aureolę Bonapartych, która sławą wielkiego Napoleona się podtrzymywała. W Prusach i w Austrii rozpoczynała się era powiększania siły zbrojnej, sam więc wyraz „rozbrojenie” brzmiałby bardzo dziko.

Chcąc utrzymać błogi pokój, trzeba powiększać nieustannie siłę zbrojną bo francuzom nie można dowierzać... włochom także; ci ostatni wpadliby do Triestu i Trydentu, gdyby się tylko sposobność zdarzyła...

— Nie przyszła jeszcze pora na to — mówił Fryderyk, — trzeba się wyrzec nadziei rozpoczęcia dzieła pokoju... Niewiele do tego przyczynić się mogę, lecz od czasu jak się przekonałem, że oddanie najdrobniejszej w tym kierunku usługi jest obowiązkiem każdego, nie cofnę się od pracy.

Chociaż projekt rozbrojenia przepadł tymczasowo pocieszałam się tą myślą, że wojna nie grozi światu. Partya wojenna, przy dworze a także i wśród narodu istniejąca, która utrzymywała, że dynastja powinna się wzmocnić krwią przelaną i przynieść krajowi w darze szczyptę sławy, musiała się wyrzec chęci napastniczych i ponętnej wyprawy za Ren. Francya pozbawiona była sprzymierzeńców; panująca w kraju susza zapowiadała brak paszy i konieczność wyprzedaży koni wojennych; żadna zresztą kwestya nie ukazywała się na widnokręgu politycznym, więc pokój europejski był zapewniony, jak to z trybuny oświadczył przy sposobności Olivier.

Pokój zapewniony! Cieszyłam się z tego. Wszystkie dzienniki powtarzały te słowa. Czyż może być coś bardziej pożądanego dla ludzkości nad zapewnienie pokoju?

Dzisiaj wiadomo powszechnie, co były warte te zapewnienia, wygłaszane przez męża stanu 30 czerwca 1870 r. Powinniśmy już wtedy wiedzieć, że takie zapewnienia dyplomatyczne, które publiczność

przyjmuje zawsze z naiwną ufnością, nie są żadną rekojmią.

* *

Znów rozproszyło się towarzystwo paryżkie na wszystkie strony, nas jednak zatrzymały interesy; trafiło się mianowicie bardzo korzystne kupno: z przyczyny nagłego wyjazdu bogatego amerykańskiego, był do nabycia, nawpół wykończony, pałacyk w alei Cesarzowej; cena jakiejś żądano zaledwie przewyższała cokolwiek kosztu urządzenia i przyozdobienia go. Ponieważ zamierzaliśmy przepędzać corocznie kilka miesięcy w Paryżu, więc dobiliśmy targu. Urządzenia chcieliśmy dopilnować sami i to zatrzymało nas w Paryżu. Przyozdabianie własnego gniazdka jest tak miłym zajęciem, że ze względu na nie zgodziliśmy się chętnie przepędzić lato w mieście.

Zresztą pozostało nam dość stosunków towarzyskich w okolicy; zamek księżnej Matyldy St. Gratien, zamek Mouchy, Ferrierès, posiadłość barona Rotszylda, i niektóre inne letnie wille naszych znajomych w pobliżu Paryża, które kolejno odwiedzaliśmy raz lub parę razy tygodniowo.

W salonie księżnej Matyldy usłyszałam po raz pierwszy o kwestyi, która miała się stać bieżącą; rozmowa była bardzo ożywiona i przypominam sobie, że najczęściej zabierał głos znakomity estetyk Taine; słowa jego tryskały rozumem i dowcipem. Że można

być niesłychanie brzydkim a pomimo to posiadać dar jednania sobie ludzi, najlepszym przykładem tego jest ten autor.

Rozmowa zwróciła się też ku polityce; ktoś napomknął, że Hiszpania poszukuje kandydata do tronu... Jakiś Hohenzollern ma otrzymać koronę... Zaledwie zwróciłam na to uwagę, bo coś mogło obchodzić, mnie lub kogokolwiek z obecnych, kto zasiądzie na tronie hiszpańskim? w tém ktoś odezwał się:

— Hohenzollern? Francya na to nie pozwoli.

To odezwanie się na wskroś mię przeniknęło, bo coś znaczy „nie pozwoli?”

Kwestya hiszpańska stawiała się odtąd coraz rozgłośniejszą; coraz więcej zajmowano się nią w dziennikach i w rozmowach prowadzonych w salonie, a mnie nudziła w najwyższym stopniu; o niczem się nie słyszało tylko o kandydaturze Hohenzollerna. Mówiono o niej z takim oburzeniem, jakby Francją spotkała największa zniewaga; widziała w tém wyzwanie stawiane przez Prusy. Jeśli Francya nie może na to pozwolić, a Hohenzollerny obstają koniecznie przy swotém, przeto wyzywają nas. Nie pojmovalam tego i nie troszczyłam się zresztą o to. Otrzymaliśmy listy z Berlina, w których, z dobrze poinformowanej strony, donoszono nam, że dwór berliński nie przywiązuje do tego żadnej wagi, czy Hohenzollern otrzyma koronę hiszpańską lub nie.

Z czasem jednak zaczęliśmy się baczniej przysłuchiwać. Jak w lesie szum liści zwiastuje burzę, tak wojnę zapowiadają pewne zdania, obiegające wśród narodu. „Nous aurons la guerre — nous aurons la

guerrel" brzmiało w Paryżu. Przejęła mnie niewypowiedziana trwoga. Nie o moich przecież, bo my, austriacy, nie braliśmy w zatargu udziału; przeciwnie nawet, nam miał on przynieść pewną „satysfakcją”: odwet za Sadowę! Już odwykliśmy zapatrywać się na wojnę ze stanowiska patryotycznego, a wiemy dobrze, czém ona jest, uważana ze stanowiska ogólnoludzkiego.

Gdy nadeszła wiadomość, że Prim ofiarował koronę księciu Leopoldowi, książę Grammont wygłosił w parlamencie mowę, którą przyjęto z wielkim zapalem; treść jej była mniej więcej taka:

„Nie wtrącamy się do spraw cudzych, lecz nie sądzimy, by poszanowanie praw sąsiedniego państwa zobowiązywało nas patrzeć na to spokojnie, gdy to państwo, osadzając jednego ze swych książąt na tronie Karola V, narusza, z naszą krzywdą, obecną równowagę europejską; to interesom i honorowi Francji zagroza.”

Znam bajkę pani George Sand zatytułowaną Gribouille. Ów Gribouille to dziwak, który gdy deszcz ma padać, rzuca się w wodę, aby nie zmoknąć. Kiedy słyszę, że dla zapobieżenia grożącemu niebezpieczeństwu ma być wypowiedziana wojna, przychodzi mi zawsze na myśl Gribouille. Chociażby cały ród Hohenzollerów zasiadł na tronie Karola V i na rozmaitych innych tronach, nie zadaloby to interesom i honorowi Francji ani w tysiącznej części tej szkody, jaka wynikła dla niej z owego sensacyjnego frazesu: „Nie pozwolimy na to!”

„Najmocniej jesteśmy przekonani — ciągnął mówca dalej, — że to nie nastąpi; liczymy w tym względzie na rozsądek narodu niemieckiego i na przyjaźń hiszpanów. Gdyby wszakże wypadło inaczej, wtedy spełnimy nasz obowiązek bez wahania i bez najmniejszej zwłoki.”

Od tej chwili rozpoczyna się w prasie ciągle podszecczwanie do wojny; Girardin zwłaszcza nie znajduje słów zachęty dla swych ziomków, namawia ich, aby zuchwałą śmiałości kandydatury hiszpańskiej należycie ukarali: „Honor Francji wymaga, żeby postawiła swe veto... Prusy nie ustąpią naturalnie, one chcą wywołać wojnę. Upojone powodzeniem w 1866 r., marzą teraz o zwyciężkiej i łupieżkiej wyprawie za Ren, lecz tu zastaną waleczne dłonie, które skarżą ich zuchwałe zachcianki”.

W tym tonie brzmiały wszystkie odezwy. Wprawdzie Napoleon pragnął utrzymać pokój, jak o tém zapewniali nas jego powiernicy, jednak większość jego otoczenia podzielała przekonanie, że wojna stała się nieuniknioną; że ponieważ naród niezadowolony jest z rządu, pomysłna wojna będzie najlepszym środkiem uspokojenia malkontentów.

Zasięgają w tej sprawie zdania wszystkich gabinetów europejskich: każdy oświadcza, że pragnie pokoju. W Niemczech oplakują manifest, na którym także znajduje się podpis Liebknechta; opiewa on, że „sama myśl o francusko-pruskiej wojnie jest zbrodnią”.

Benedetti zostaje wysłany do króla pruskiego z żądaniem, by ten wzbronił księciu Leopoldowi przyjęcia korony. Król Wilhelm znajdował się w tym

czasie na kuracyi w Ems, tam więc udaje się Benedetti i uzyskuje audiencyą 9 lipca.

Co z tego wyniknie? Drzę oczekując wiadomości.

Odpowiedź królewska brzmi: pełnoletniemu księciu nie można woli narzucać.

Partya wojenna tryumfuje: „Więc do tego zmierzają Prusy?... Chcą nas wyprowadzić z cierpliwości? Głowa rodu nie może czegoś wzbronić lub nakazać jednemu z jego członków? To śmieszne doprawdy! Oczywiście zmowa: Hohenzollernowie chcą się usadowić w Hiszpanii, aby ze wschodu i z południa na nas uderzyć. Mamy spokojnie na to wyczekać? mamy znieść to upokorzenie, że nie zwrócono uwagi na nasz protest? Nigdy: wiemy co nam nakazuje honor”.

Coraz głośniej i coraz groźniej brzmią zapowiedzi burzy. Wtém 12 lipca zjawia się poselstwo: Don Salusto Olozaga przynosi urzędowe oświadczenie rządowi francuzkiemu, że książę Leopold Hohenzollern zrzeka się ofiarowanej mu korony, aby uniknąć powodu do wojny.

A więc Bogu dzięki, kwestya zostanie załatwioną; w południe powiadomiono o tém izby, a Olivier oświadcza, że waśń uspokojona.

Tegoż samego dnia jednak wysłano wojsko i zapasy wojenne do Metz, i na tém samym posiedzeniu Klemens Duvernois występuje z następnym wnioskiem:

— Jakąż możemy mieć rękojmią, że Prusy nie wywołają znów zawikłań podobnych téj kandydaturze hiszpańskiej?

Więc znów odzywa się Gribouille!

Benedetti powtórnie udaje się do Ems i tym razem żąda, aby król pruski wzbronił, raz na zawsze, księciu Leopoldowi liczyć na ową kandydaturę. Czyż na tak imponujące żądanie można odpowiedzieć inaczej, jak niecierpliwem wzruszeniem ramion? Musieli przecież to rozumieć ci, co podobne żądanie stawiali.

15 lipca miało miejsce nowe posiedzenie izby: Olivier żąda kredytu wojennego na pięćset milionów, Thiers oponuje. Na to Olivier oświadcza, że odpowiedzialność w obec historii bierze na siebie. Król pruski miał nie dopuścić do siebie posła francuzkiego; przesłano o tém notę rządowi. Lewica domaga się przedstawienia noty, ale większość wzbrania tego.

16 lipca. Anglia stara się przeszkodzić wojnie. Napróżno... Gdyby istniały sądy rozjemcze, jakże łatwo możnaby uchylić taki nie znaczący zatarg.

19 lipca. Pełnomocnik francuzki w Berlinie wręcza rządowi pruskiemu akt wypowiedzenia wojny.

Wypowiedzenie wojny... te wyrazy wymawiają się najspokojniej lecz nie są przecież niczem inném, jak wyrokiem śmierci dla półmilionu ludzi.

Dokument odnośny opiewał:

„Rząd Jego Cesarskiej Wysokości, Cesarza francuzów, uważał projekt wyniesienia księcia pruskiego na tron hiszpański jako zamiar przeciwny bezpieczeństwu terytoryalnemu Francyi, i dlatego widział się zmuszonym żądać od Jego Królewskiej Mości, Króla pruskiego przyrzeczenia, że podobna kombinacya nie ponowi się już za jego przyzwoleniem. Jego Królewska

Moś odmówił zapewnienia, a nawet posłowi naszemu oświadczył, że chce zachować w tym wypadku swobodę stosowania się do okoliczności, przeto rząd cesarski musiał dopatrzeć w tém oświadczeniu królewskiem myśli ukrytej, która zagraża Francji i równowadze europejskiej. Oświadczenie pozyskało dobitniejszy charakter w skutek wiadomości, jaką otrzymał nasz gabinet, że wzbraniano się przyjąć posła cesarskiego dla udzielenia nowych objaśnień. Rząd francuzki uważa przeto za swój obowiązek bronić swęj godności i swych interesów, które poniosły tak dotkliwą obrazę; zdecydowany jest użyć ku temu wszelkich środków, jakich wymaga obecne położenie, i uważa się odtąd na stopie wojennej z Prusami."

Na stopie wojennej... Czy pomyślał ten, kto na zieloném suknie swego stolika kreślił takie wyrazy, że pióro jego umaczane było w płomieniach, w łzach krwawych?...

Więc tym razem, z przyczyny poszukiwań króla do tronu wakującego i w skutek układów prowadzonych przez dwóch panujących, rozszalała się burza.

Pamiętam to szczególne usposobienie, jakie mię ogarnęło wówczas, gdy się przygotowywała, a następnie wybuchnęła francuzko-prusko wojna; pamiętam tę duszną atmosferę przed i gwałtowną burzę po wypowiedzeniu wojny... Francuzów ogarnął szal gorączkowy; rozpoczynając się wojnę, jak zwykle, witano jako zwyciężką wyprawę, bo tak nakazuje obowiązek patriotyczny. „A Berlin — à Berlin!" brzmiały radosne

okrzyki na ulicach i zwierzchu omnibusów; marsylianka rozlegała się wszędzie: „Le jour de gloire est arrivé!" W teatrze, podczas każdego przedstawienia, występowała pierwsza artystka lub śpiewaczka, w kostiumie Joanny d'Arc, ze sztandarem w ręku, i stając na przodzie sceny, śpiewała ów hymn bojowy, a publiczność słuchała powstawszy z miejsc, czasem wtórowała śpiewowi. Byliśmy świadkami z Fryderykiem podobnej manifestacji i musieliśmy także wstać. Nie działał na nas żaden przymus, bo przecież mogliśmy się cofnąć w głąb łóży, lecz ulegliśmy wpływowi uniesienia powszechnego.

* * *

Gdy wojna wybuchnie, rozdzielają się obywatele państw neutralnych na dwa obozy: ci sprzyjają jednej, tamci drugiej stronie wojującej; chodzi tu o wielki zakład, w którym wszyscy biorą udział.

My oboje z Fryderykiem z kimże mieliśmy sympatyzować, komu życzyć zwycięstwa? Jako patryoci austriacy, mieliśmy prawo życzyć przegranę naszym zwycięzcom z poprzedniej wojny. Naturalną jest rzeczą, że spółmieszkancom okazujemy żywszą sympatią, a znajdowaliśmy się wśród francuzów. Jednakże Fryderyk był pruskiego pochodzenia, dla mnie zaś czyż prusacy, jako spółplemięcy, nie byli bliżsi niż ich przeciwnicy? Nadto, ponieważ francuzi dla tak błahęj przyczyny wypowiedzieli wojnę, czyż nie powinniśmy uznać, że słusność była po stronie prus-

skieję, że oni tylko w obronie własnej i z musu wojnę przyjmowali? Czyż nie była wzniosłą jednomysłność, z jaką, walczący z sobą do niedawna Niemcy, łączyli się teraz? Król Wilhelm w swém przemówieniu z 19 lipca wypowiada wielką prawdę:

„Oba narody, niemiecki i francuzki, używające zarówno owoców chrześcijańskiej cywilizacyi, do szlachetniejszych niż krwawe walki zapasów stawać powinny, lecz Francya umiała zręcznie wyzyskać drażliwą dumę narodową sąsiadów dla osobistych celów.”

Cesarz Napoleon ogłosił znów następną proklamacyą:

„Wobec nieprawnych uroszczeń Prus, wystąpiliśmy z opozycyą. Wyszadzono nas, a to (*) oburzyło kraj cały, więc zabrzmiał okrzyk wojenny. Nie nam nie pozostaje jak zdać się na los wojny.

*) W 18 lat później tak osądzoną została ta sprawa: W dziele o wojnie 1870 r. pisze generał Boulanger: „Otrzymawszy słuszną satysfakcyą, zapragnęliśmy jeszcze upokorzyć króla pruskiego; przyjęliśmy więc wyzywającą postawę dyplomatyczną. Uzyskaliśmy już stanowcze zrzeczenie się wszelkich uroszczeń do korony hiszpańskiej od księcia Leopolda Hohenzollerna, nadto zezwolenie na to zrzeczenie się od króla pruskiego. To zadośćuczynienie było wystarczającym, powinniśmy byli na niém poprzestać. Rząd francuzki posunął się dalej: zażądał od króla Wilhelma kategorycznego zobowiązania na przyszłość. Stawiając tak wygórowane żądanie, zmieniał przedmiot sporu i przenosił go na inne pole. Było to wyzwanie rzucone królowi pruskiemu.

Nie idzie nam o zawojowanie Niemiec, których niezależność szanujemy: pragniemy, aby ludy, składające potężny naród niemiecki, mogły swobodnie rozporządzać swym losem; żądamy jedynie przywrócenia takiego stanu rzeczy, któryby dla nas był rękojmią bezpieczeństwa. Chcemy osiągnąć trwały pokój, zmienić nieszczęsne warunki, zmuszające wszystkie państwa do nieustannego zbrojenia się.”

Zatem Francya rozpoczynała wojnę dla osiągnięcia trwałego pokoju i bezpieczeństwa? Nie, nie: węgiel nie wybieli płótna, a wojna nie zapewni pokoju. Nieszczęsne warunki, o których wzmiankuje Napoleon, zmieniły się na gorsze; cesarz zamyslał naprawę o rozbrojeniu Europy, lecz ustąpił pod naciskiem i wpływem partyi wojennej... Nie mógł jednak przemilczeć o tym ulubionym projekcie w swój odezwie.

Nie myślałam, żeby obecna wojna trwała długo i ważne wywołała następstwa. Dwie lub trzy bitwy wygrane a rozpoczyna się napewno układy i sprawa się zakończy. Bo o cóż chodzi właściwie? Wojna cała przedstawia się raczej jak zbrojna wycieczka, do której podniętą jest rycerska awanturniczość francuzów i dzielna odporność Niemców; przeciwnicy, zamieniwszy kilka cięt, podadzą sobie ręce... Jakże byłam nierozsądną tak myśleć!

Chętnie bylibyśmy opuścili Paryż, ale droga na wschód była zamknięta; powstrzymywała nas też budowa domu, więc pozostaliśmy. Stosunki towarzyskie zerwały się; kto mógł uciekał z Paryża, a ci, co pozostali, nie myśleli rozsyłać zaproszeń, gdyż niebezpieczeństwo wisiało nad głową. Widywaliśmy się jedynie

dość często z kilkoma znajomymi literatami, którzy znajdowali się jeszcze w Paryżu.

28 lipca, z głównej kwatery w Metz, ogłosił Napoleon następną odezwę:

„Stajemy w obronie honoru ziemi ojczystej. Zwycięzimy. Niema zbyt trudnego zadania dla wytrwałej dzielności żołnierzy zwyciężkich w Afryce, w Chinach, we Włoszech i w Meksyku. Jeszcze raz pokazanie, do czego zdolna jest armia francuska, miłością ojczyzny przejęta. Gdziekolwiek się zwrócimy za granice naszego kraju, wszędzie widzimy ślady zwycięstw naszych przodków. Nie powstydzą się oni za nas. Powodzenie nasze decyduje o wolności i cywilizacji. Żołnierze, niech każdy z was spełni swą powinność, a zwycięstwo będzie z nami!”

31 lipca król Wilhelm opuszcza Berlin i także ogłasza manifest do swego wojska:

„Udając się dziś do armii, aby rozpocząć walkę za honor i całość tego, co nam najdroższe, ogłaszam amnestyą dla przestępców politycznych. Naród mój wie, również dobrze jak i ja, że nie myśmy zrywali pokój i wypowiedzieli wojnę. Wyzwani pójdziemy walczyć za ojczyznę, jak walczyli ojcowie nasi.”

Konieczność odparcia napaści to jedyny, uprawniony sposób zabijania; dlatego każdy z przeciwników mówi: „Bronię się”. Czyż to się nie sprzeciwia zdrowemu rozsądkowi?

*

*

— *O monsieur, o madame*, co za szczęście, jaka wiadomość! — z temi słowy wpadł do pokoju kamerdyner Fryderyka, a za nim kucharz.

Było to w dzień bitwy pod Wörth.

— Co się stało?

— Na giełdzie wywieszono depeszę, oznajmującą nasze zwycięstwo. Armia pruska ze szczerem prawie zniesiona... Miasto przyozdabiają trójkolorowymi chorągiewkami, wieczorem będzie iluminacja.

Po południu jednak wyszło na jaw, że wiadomość o zwycięstwie była kłamliwą pogłoską giełdową.

7 sierpnia nadeszła wiadomość o poniesionej klęsce: cesarz przerażony pospieszył na plac boju. Nieprzyjaciół wtargnął do kraju, dzienniki oburzają się na to. O ile mi się zdaje, i okrzyk „à Berlin!” wyrażał postanowienie wtargnięcia nie wywołał jednak oburzenia; lecz kiedy barbarzyńcy ze wschodu poważyli się wkroczyć do pięknej Francji, nazywało się to dzikością, zbrodnią, należało jaknajspieszniej ich powstrzymać.

Tymczasowy minister wojny wydaje dekret nakazujący, by wszyscy obywatele, liczący lat trzydzieści do czterdziestu, nie należący do gwardyi narodowej, a silni i zdrowi, natychmiast do niej włączeni zostali. Powstaje ministerium obrony kraju, pięćkroćstosieczna pożyczka wojenna zostaje podwyższona do tysiąca milionów. Wzruszającem jest to doprawdy, jak pochopni do ofiar są ludzie rozporządzający pieniędzmi i życiem swych bliznich.

Niemcy odnoszą zwycięstwa jedno za drugim; fizjonomia Paryża i jego mieszkańców zmienia się. Dumne, chępliwe, wyzywające usposobienie zastępuje przerażenie i tchórzliwość; coraz powszechniej staje się przekonanie, że kraj napadła horda wanda-

lów. Zapomnieli francuzi, że wypowiadając wojnę, sami sprowadzili na siebie tę plagę; że uważali ją za rzecz nieuniknioną i konieczną. Krążą przerażające bajki o nieprzyjacielu; nazwa „ułani” przybiera fantastyczno-demoniczne znaczenie, jest prawie równoznacznikiem „dzikięj hordy”. i łączy się z pojęciem jakichś istot piekielnych. Kłamliwe opowieści o powodzeniu są obowiązkiem szowinizmu; trzeba podtrzymywać męstwo. Przykazanie prawdomówności, w czasie wojny, obowiązywać przestaje. Fryderyk przeczytał mi ustęp z dziennika *Le Volontaire*:

„Do 16 sierpnia stracili Niemcy 144,000 wojska, reszta ginie z głodu. Z Niemiec nadciągają ostatnie rezerwy „landwery i landsturmu”; starcy 60 letni, uzbrojeni w skałkową broń, z wielką tabakierą, wiszącą z prawego boku, większą jeszcze manierką z lewego boku i z wielką glinianą fajką w ustach, ledwie mogą udźwignąć ciężkie tornistry, mieszczące kwiat bzowy; kaszląc i sapiąc przeprawiają się przez Ren i przeklinają tych, co ich wyrwali z objęcia wnuków, aby zaprowadzić na śmierć niechybną. Co się zaś dotyczy rozgłaszanych przez dzienniki niemieckie zwycięstw ich, są to wierutne kłamstwa.”

20 sierpnia hrabia Palikao oznajmia izbie, że połączone trzy korpusy armii wepchnięte zostały do kamieniołomów pod Jaumont. Nikt nie wie wprawdzie, co to są owe kamieniołomy i gdzie się znajdują; nikt również nie zdaje sobie z tego sprawy, co tam porabiają te trzy korpusy, ale wszyscy z ust do ust podają sobie radosną wiadomość: „Wiesz pan?... W kamieniołomach”... — „Wiem, wiem, pod Jaumont”. — Nikt

nie powątpiewa. W tym czasie, mniej więcej, rozeszła się też pogłoska, że król pruski dostał pomieszania zmysłów, z rozpaczą nad oplakany stanem swej armii.

Wzruszenie i gorączka paryżan wzrastały z każdą godziną; przestali już uważać tę wojnę jako wycieczkę zbrojną; przeczuwają, że sprowadzi ona straszne następstwa.

*

*

*

Metz wzięty... Wiadomość ta przeraziła paryżan; ja doznaję zawsze pewnej ulgi, słysząc o zdobyciu warowni, gdyż uważam to jako zapowiedź rychłego zakończenia wojny. Trochu wydaje nową proklamacyą, dla orzeźwienia męstwa narodu, powołuje się w niej na dawne hasło bretońskie: „Z Bogiem! za ojczyznę!” Wywiera ono pożądaną skutek. Mówią, że Paryż będą fortyfikować.

Paryż warownią? Nie może mi się to pomieścić w głowie. Miasto, które Wiktor Hugo nazywa „miastem światła”, ognisko elegancyi, mody i dowcipu ma się przeistoczyć w fortecę, stać się celem napaści i pocisków nieprzyjacielskich, być pozbawionem wszelkiej komunikacyi, narażonem na zbombardowanie lub ogłodzenie? Mieszkańcy przystają na to z radosnem sercem, z takim poświęceniem, z takim zapalem, jakby chodziło o dokonanie najpożyteczniejszego, najszlachetniejszego dzieła. Roboty postępują gorączkowo: wznoszą się wały dla zastępów obrończych, wybijają strzelnice; przed bramami kopią rowy i zakładają

mosty zwodzone, stawiają nowe barykady forteczne, budują prochownie, a po Sekwanie krąży flotylla kanonierek. Jaka gorączkowa działalność, jaki nakład pracy, jakie olbrzymie koszty!

Aby wytrzymać długotrwałe oblężenie, zaopatrują miasto w zapasy żywności. Liczne doświadczenia wykazały, że niema forticy nie zdobytej; kapitulacja każdej jest kwestią czasu jedynie. Tymczasem ludzie wznoszą ciągle nowe warownie i, pomimo matematycznej niemożliwości zabezpieczenia ich od głodu, zaopatrują je zawsze w żywność.

Przedsięwzięto nadzwyczajne środki: urządzają młyny, zakładają parki dla bydła; ostatecznie jednak musi nadejść chwila, gdy zboża nie stanie i mięsa zabraknie. O tym nikt teraz nie myśli: zanim do tego przyjdzie, zwyciężą nieprzyjaciela, wypędzą za granice kraju. Naród będzie spóldziałł z armią.

Wszyscy spieszą do szeregów lub przygotowują się na to; aby powiększyć załogę Paryża, powołano straż ogniową z całego kraju; prowincya może się spalić bez ratunku, ale w takim czasie nie zważa się wcale na *tak małe* straty. 17 sierpnia stanęło w Paryżu 60,000 strażaków.

Marynarzy powołano również; codziennie tworzą się nowe oddziały ochotników, eklererów, wolnych strzelców i t. p.

*

*

*

Wypadki następują teraz szybko jedno po drugim; brzmi jedno hasło „śmierć prusakom” Nad-

ciąga huragan wścieklój nienawiści; jeszcze nie wybuchnął, lecz słysząc jego groźbę. Odezwy urzędowe, krzyki uliczne i wszelkie rozporządzenia kończą się hasłem: „śmierć prusakom!”

Zapytałam raz Fryderyka:

— Jesteś prusakiem, jakież wrażenie wywierają na ciebie te głośnie objawy nieprzyjaznych uczuć?

— To samo pytanie zadałaś mi w 1866 r., odpowiem ci i dziś jak wtedy: objawy nienawiści ranią boleśnie moje uczucia ludzkie nie narodowe. Oceniając uczucia tych ludzi, ze stanowiska patryotycznego, muszę im przyznać słuszność; to się zowie „święta nienawiść wroga”, i jest głównym pierwiastkiem patryotyzmu wojennego. Ujawnia się on w powszechnej chęci uwolnienia kraju od napadci nieprzyjaciela. Wierząc mi, wiele szlachetnych uczuć leży w głębi serc ludzkich, szkoda tylko, że je marnujemy pozwalając się unosić nienawiści... A owi znienawidzeni napastnicy, rudowłosi barbarzyńcy ze wschodu co czynią? Wyzwano ich, wkraczają przeto w granice przeciwników, którzy odgrazali się, że ich napadną; „do Berlina, do Berlina!” rozlegało się po całym mieście, nawet z wierzchu omnibusów. Wszak pamiętasz ten okrzyk?

— Teraz niemcy dążą do Paryża, czemuż poczytują im to za zbrodnię?

— Bo ani sprawiedliwości ani logiki nie znajdziesz w uczuciu wojennym, którego główną zasadą jest: myśmy najlepsi; przeciwnicy to barbarzyńcy. Pochód zwycięzki prusaków podziw we mnie budzi. Sam byłem żołnierzem; wiem przeto jaki urok posiada słowo „zwycięstwo”, ile dumy i radości ono zawiera.

Zwycięztwo jest celem, nagrodą za poświęcenie, za wyrzeczenie się spokoju i szczęścia, za życie złożone w ofierze.

— Dlaczego zwyciężeni, będąc także żołnierzami i wiedząc jaka chwała opromienia zwycięztwo, nie podziwiają nigdy swych zwycięzców? Dlaczego w sprawozdaniach strony przegrywającej nie czytamy nigdy: nieprzyjaciół odniósł zwycięztwo?

— Ponieważ duch wojowniczy i egoizm są zaprzeczeniem wszelkiej sprawiedliwości.

28 sierpnia wyszło rozporządzenie, nakazujące, iżby wszyscy Niemcy opuścili Paryż w przeciągu trzech dni. Nienawiść zbudzoną została; wiemy dzisiaj, jakie straszne owoce wydawać miała jeszcze długo po wojnie. Od owiej chwili Francja i Niemcy, dwa wielkie, kwitnące, świetne państwa nie były już narodami staczającymi rycerski pojedynek a jednak nienawiścią dla przeciwników oddychał cały naród; wrogie usposobienie przekazało się w spuściznie pokoleniom.

Miałam sposobność przekonać się jak srodze, nie-ludsko dotknął rozkaz wydalenia niejedną uczciwą, niewinną rodzinę. W pośród przemysłowców, którzy nam dostarczali przedmiotów do urządzenia naszego domu, było kilku Niemców: powoźnik, tapicer i stolarz; mieszkali w Paryżu od dwudziestu lat, tu stworzyli sobie rodzinę, przez związki małżeńskie spokrewnili się z paryżanami, posiadali wyrobione stosunki handlowe, a teraz mieli porzucić, w przeciągu trzech dni, wszystko co ukochali i do czego nawykli... Zrozpaczeni nieboracy przybiegli do nas uskarżyc się na nieszczęście, jakie ich spotkało; zmuszeni byli przerwać robotę, któ-

ra dla nas wykończyć mieli, i zamknąć warstaty. Łamiąc ręce, ze łzami wypowiadali swe żale i strapienia:

— Ja mam ciężko chorego ojca—mówił jeden—pomimo to wypędzają mnie!

— Nie mam ani grosza w domu—biadował drugi; — w tak krótkim przeciągu czasu nie zdołam odebrać należności od moich dłużników i sam nie będę mógł wypłacić tego, com winien robotnikom francuzom, a tu rzucać wszystko muszę...

I dlaczego spotykało tych biedaków nieszczęście? Dlatego, że któryś z Hohenzollernów, w odległej przyszłości, mógł przyjąć ofiarowany mu tron hiszpański...

Sedan! Cesarz Napoleon poddał się.

Wiadomość ta jak piorun spadła na Paryż. I znów rozegrał się wielki historyczny dramat: armia francuzka pobita, partya zatem skończona.

— Nie ciesz się przedwcześnie, moja droga — ostrzegał Fryderyk. — Ta wojna nie jest zwyczajną kampanią, która rozstrzyga się na polach bitwy; naród cały bierze w nią udział.

— Byłoby to sprawiedliwie? Wszak wojska niemieckie wtargnęły do Francji, nie naród...

— Zawsze musisz się odwoływać do sprawiedliwości i rozsądku! Francja szaleje z gniewu i bólu, a zapatrując się na to ze stanowiska patryotycznego, przyznać musimy, że ból jej święty, gniew uzasadniony. W każdym rozpaczliwym ich czynie niema najmniejszego egoizmu, przeciwnie, jest najwyższe poświęcenie. Gdybyż, już nastały te czasy, kiedy potęga cnoty, właściwa sercu ludzkiemu, odwrócona od pracy

niszczenia skierowaną została ku uszczęśliwieniu ludzkości! Niestety, ta nieszczęsna wojna znów nas znacznie oddaliła od pożądanego celu.

4 sierpnia. Nowy akt dramatu: zdetronizowanie cesarza; Francya ogłasza się rzecząpospolitą. Co uczynił Napoleon III i jego armia, nie ma odtąd żadnego znaczenia; niepowodzenia, zdrada, tchórzostwo — to sprawa kilku osób; zawinił cesarz i jego generałowie; Francya nie temu nie winna i nie odpowiada za to. Gdy tron upadł, wydarto z historyi Francyi karty, na których krwawemi głoskami stoją wypisane Metz i Sedan; naród będzie teraz prowadził wojnę, jeśli Niemcy poważą się jeszcze posunąć dalej swój najazd zbrodniczy...

Nadzieja moja, że klęska sedańska położy koniec wojnie, rozwiała się wkrótce; wszystko do koła przybrało bardziej wojowniczą postać. Dzika niechęć i pragnienie zemsty przepełniały atmosferę; nienawiść dla upadłej dynastii równała się prawie nienawiści dla wroga; szykany, pamflety, któremi obrzucano cesarza, cesarzową i nieszczęśliwych generałów, podejrzenia i potwarze, szkalowania i szyderstwa — wstrętem mnie przejmowały. Brutalny tłum sądził, że w ten sposób zrzuci odpowiedzialność za poniesione klęski na kilku ludzi, więc obrzucał ich błotem i kamieniami: naród pokaże dopiero, że jest niezwyciężony.

Przyspieszano obwarowanie Paryża: budynki leżące w obrębie fortów, na około muru zewnętrznego, zwalono lub usunięto; gromady ludzi napływały do miasta z dobytkiem. Jakże ponuro wyglądały te sze-

regi wozów, koni pociągowych, ludzi dźwigających szczątki zrujnowanego ogniska! Już raz podobny widok przedstawił się mym oczom w Czechach, gdzie biedni wieśniacy uciekali przed zwyciężkim nieprzyjacielem, a teraz, w tej świetnej stolicy świata, ujrzałam znów ten sam obraz niedoli, te same strwożone, posępne twarze, ten sam pośpiech i trud, tę samą boleść.

Nareszcie, Bogu dzięki, pomyślna wiadomość: za pośrednictwem Anglii doprowadzony został do skutku zjazd Bismarka z Juliuszem Farre'ym, w Ferrières. Przyjdzie zatem do porozumienia, do traktatu pokojowego.

Przeciwnie! Uwidacznia się przepaść dzieląca oba narody. Już od jakiegoś czasu zapowiadały dzienniki niemieckie zabranie Alzacy i Lotaryngii; chodzi tu o odzyskanie dawnych niemieckich prowincyj. Historyczne dowody, na które się powołują w celu zabrania ich, są tylko po części uzasadnione, obok stawiają powody strategiczne: „Alzacya i Lotaryngia są nam niezbędne, jako warowne przedmurze w przyszłych wojnach”. Wiadomo, że argumenty strategiczne są najważniejsze, niezbite, wobec nich ustąpić muszą zasady moralne. Z drugiej strony, ponieważ Francya przegrała, czyż nie należy się nagroda zwycięzcom? Gdyby francuzom szczęście sprzyjało, czyż nie zagarnęliby prowincyj nadreńskich? Jeżeli rezultat wojny nie ma rozszerzyć granic jednego z państw wojujących, po cóż by się prowadziło wojny?

Tymczasem nic nie wstrzymuje pochodu zwyciężkiej armii: już staje pod murami Paryża. Niemcy żądają urzędownie odstąpienie Alzacy i Lotaryngii;

na to otrzymują powszechnie znaną odpowiedź: „Ani piędzi ziemi, ani kamyka naszych warowni!”

Tak, tak, poświęcimy tysiące ludzi, lecz ani piędzi ziemi. Jest to myśl zasadnicza ducha wojennego. „Chcą nas upokorzyć — wołają francuzi — nie! raczej zginiemy pod gruzami Paryża!”

Uchodźmy, uchodźmy ztąd czempredź! — postanawiamy wtedy z Fryderykiem. Po co zostawać bez koniecznej potrzeby w obleżoném mieście, po co żyć wśród ludzi przejętych jedynie uczuciem nienawiści i zemsty, spoglądających na nas niechętném okiem i zaciskających pięści, gdy słyszą nas mówiących po niemiecku? Wprawdzie teraz trudno wydostać się z Paryża i z Francyi; trzeba przebywać pola walki, komunikacya kolejowa bywa często przerywana dla podróży; przykro też nam porzucać dom nowy, ale, nie możemy pozostać tutaj. Zadługo już bawiliśmy; wzruszenia doznane ostatnimi czasy tak wstrząsnęły mój organizm, że objawiło się cierpienie nerwowe. Dreszcze i spazmy ponawiały się kilkakrotnie.

Kufry stały już spakowane i wszystko do podróży było gotowe, gdy znów przyszedł atak tak silny, że musiałam się spodziewać febry nerwowej lub zapalenia mózgu, więc niepodobna było narażać się w takim stanie na trudy podróży.

Długo przeleżałam w łóżku, tymczasem nadeszła zima. Po wyzdrowieniu dopiero dowadywałam się, co zaszło podczas mojej długiej choroby: Strasburg, stolicę „bratniego kraju”, „czysto niemieckie”, „rdzenie niemieckie miasto” bombardowano; zniszczono bibliotekę, padło 193,722 strzałów...

Strasburg zdobyty.

Kraj cały oddaje się wielkiej rozpacz, dochodzącej do oblędu. Wertują Nostradama, szukając w nim przepowiedni odnośnych do obecnych wypadków, zjawiają się prorokujący wieszcz. Gorzej: występują na scenę opętani; cofamy się niby wstecz, w wieki średnie, w tę noc duchową, ogniami piekielnymi oświeconą...

1 grudnia: Trochu zajmuje wyżyny Champigny.

2 grudnia: Około Brie i Champigny zażarta utarczka.

5 grudnia: Zimno wzmaga się; nieszczęsni ranni na śniegu konają. W mieście zimno również dokucza. Brak materiału opałowego, za parę kawałków drzewa oddałby każdy nawet tron hiszpański...

21 grudnia: Wycieczka z Paryża.

25 grudnia: Mały oddział kawalerii pruskiej powitano strzałami z domów osady Troo i Sougé; jako odwet generał Kraatz rozkazuje spalić te osady. „Pa-lić!”, — brzmi rozkaz, żołnierze, prawdopodobnie łagodni i dobroduszni chłopcy, spełniają go i wzniecają pożar. Płomienie wlatują ku niebu, nieszczęsne domy zapadają się z trzaskiem nad głowami mężów, żon i dzieci.

*

*

*

Ogłodzić Paryż, czy zbombardować?

Na to ostatnie wzdryga się sumienie cywilizacji. Bombardować „stolicę świata”, wspaniałe schronisko

sztuki, z jój bogactwami i skarbami niczém nie dającemi się zastąpić... To niepodobna; cała prasa neutralna podniosła protest przeciw temu. Wojownicza prasa berlińska zachęca do tego: to jedyny sposób zakończenia wojny i zdobycia nadsekwąńskiego grodu, a jaka chluba! Protesty podnoszone wpływają na decyzję pewnych kół wersalskich i skłaniają je ostatecznie do użycia tego środka strategicznego.

Doskonale pamiętam wrażenie owego dnia: Fryderyk, Rudolf, nauczyciel i ja siedzieliśmy właśnie przy drugim śniadaniu (t. j. spożywalimy kawałek chleba i sera, bo zapasy żywności były już bardzo szczupłe), gdy rozległ się pierwszy strzał. Strwożeni podnieśliśmy głowy i spojrzeliśmy po sobie. Czyżby?

Ależ nie — to może bramę z takim trzaskiem zamknięto gdzie w pobliżu, lub coś podobnego. Fryderyk zerwał się z krzesła:

— Bombardują! — zawołał i pospieszył do okna.

Podążyłam za nim. Z ulicy dochodził gwar, ludzie zbierali się w grupy, stali nasłuchując lub zamieniając wyrazy oburzenia.

Do pokoju wpadł nasz kamerdyner — jednocześnie zagrzmięła nowa salwa:

— Bombardują!

Przez otwarte drzwi cisnęła się teraz cała służba, nie wyłączając nawet kuchcika. W nadzwyczajnych wypadkach, jak wojna, pożar, powódź, nikną zapory towarzyskie, wszyscy zagrożeni łączą się. Bardziej niż wobec prawa, bardziej niż wobec śmierci czują się

wszyscy równi wobec grożącego niebezpieczeństwa. „C'est le bombardement!” „c'est le bombardement!” — każdy powtarzał ten okrzyk wbiegając do pokoju.

* * *

Było to zresztą mniej groźne, niż w pierwszej chwili się zdawało. Nie było ani płonących budynków, ani krzyczących ze strachu tłumów, ani gradu kul, świszczących nieustannie w powietrzu, tylko głuchy odległy grzmot, dający się słyszeć w dłuższych lub krótszych odstępach czasu. Niebawem przywykało się do tego. Paryżanie wybierali sobie za cel przechadzki te punkty, z których lepiej słyszeć było muzykę armat; tu i owdzie na ulicy padały i pękały granaty, lecz rzadko bardzo znalazł się ktoś w pobliżu. Niejedna bomba śmierć przyniosła, ale o tych wypadkach słuchało się tak samo jak o różnych nieszczęściach ogłaszanych w dziennikach, nie biorąc ich bardzo do serca; nie robiły większego wrażenia jak wiadomość, że „z czteropiętrowego rusztowania spadł mularz”, albo „przyzwoicie ubrana kobieta rzuciła się z mostu w rzekę”, i t. p. Prawdziwem strapieniem, prawdziwym postrachem mieszkańców nie było bombardowanie, lecz głód, zimno, nędza.

Wiadomości z poza miasta są skąpe; komunikacja pocztowa została naturalnie przerwana; balony i gołębie dopomagają jedynie do utrzymania stosunków ze światem. Napływają zewsząd pogłoski naj-

sprzeczniejsze: oznajmują zwycięskie wycieczki lub rozgłaszają wiadomości o zamiarze wzięcia szturmem Paryża; nieprzyjaciół chce podpalić miasto na wszystkich rogach i zrównać je z ziemią; albo też zapewniają, że zanim prusacy staną w murach stolicy, komendanci wysadzą forty, w powietrze, wraz całym Paryżem. Opowiadają również, że mieszkańcy prowincyj, mianowicie południowych, mają wpaść z tyłu na oblegających, odciąć im odwrót i wymordować ich ze szczętem.

Codzień trudniej o zapasy żywności. Brak zupełny mięsa; już oddawna niema bydła i baranów, ko nie zjedzą się wkrótce, nastanie czas, gdy psy, koty, myszy i szczury, ostatecznie i zwierzęta ogrodu zoologicznego, nawet ulubiony słoń, będą musiały służyć zgłodniałym za pożywienie. Chleba nie można prawie dostać; całemi godzinami ludzie wyczekują przed sklepami piekarzy na swoją szczupłą porcję, większa polowa odchodzi z próżnymi rękami. Wycieńczenie i choroby dostarczają obfitego żniwa śmierci; podczas gdy zwykle umierało tygodniowo po 1,100 ludzi, teraz wykazuje lista śmiertelności 4,000 — 5,000 wypadków śmierci tygodniowo.

Około 20 stycznia, Fryderyk, powróciwszy z miasta, wszedł wielce wzruszony do mego pokoju.

— Cóż tak ważnego się wydarzyło? — zapytałam.

— Król Wilhelm został ogłoszony Wersalu cesarzem niemieckim — odparł. — Mamy zatem cesarstwo niemieckie; państwo jednolite i potężne. To stanowi nową epokę w historii świata.

Możesz więc sobie wyobrazić, jak w nowym państwie, które oręż stworzył, moc tego oręża cenioną będzie. Dwa najwięcej ucywilizowane narody będą odtąd starannie pielegnowały ducha wojowniczego: jeden ażeby zemścić się za otrzymane ciosy, drugi ażeby utrzymać zdobytą potęgę; ten przez zemstę, tamten przez miłość.

— Muszę cieszyć się z tego, drogi Fryderyku — odezwałam się. — Więc nie zmarnowała się krwawa praca, jeżeli wzniosła nowe, wielkie państwo.

— Zgadzam się z tobą, że osiągnięte połączenie rozdrobnionych Niemiec jest piękną rzeczą; że gotowość, jaką okazali inni książęta niemieccy przez ofiarowanie siwowłosemu zwycięzcy cesarskiej korony, ma w sobie coś porywającego, godnego podziwu, lecz szkoda, że to zjednoczenie jest dziełem wojny, nie pokoju. Więc gdyby Napoleon III nie wypowiedział wojny 19 lipca, Niemcy nie zdobyliby się na tyle siły narodowej, tyle jednności, by stworzyć to, z czego teraz tak są dumni: „jeden naród braterski”. Teraz cieszyć się będą. Na szczęście zapomnieli już, że przed czterema laty swarzyli się pomiędzy sobą; że hanowerczy, sasi, frankfurczy, nasauczy najnienawistniej wspominali prusaków. Za to tutaj, we Francji, wzrastać będzie odtąd nienawiść dla Niemców.

Na samą myśl o tém dreszcz mnie przeniknął.

— Wyraz nienawiści... — zaczęłam.

— Brzmi wstrętnie? Masz rację. Dopóki to uczucie nie zostanie uznane za niegodziwe i nieprawe, dopóty nie będzie ludzkości szlachetnej.

Owego dnia robiliśmy też projekty na przyszłość: Paryż będzie musiał kapitulować, wojna się skończy, więc z czystym sumieniem będziemy mogli używać szczęścia. W ciągu ośmiu lat pożycia wspólnego nie przypominam sobie jednego ostrzejszego, niechętnego słowa; tyliśmy razem przecierpieli i przeżyli, miłość nasza, związek nasz duchowy wzmocnił się tak, że nie obawialiśmy się zubożenia. A gdy się staniemy parą siwych staruszków, z jakąż pociechą spoglądać będziemy w niczem nie zamgloną przeszłość, jakież błogi, pogodny schyłek życia nas oczekuje!...

*

*

*

Teraz doszłam do wydarzenia, które zaznaczyć jedynie mogę, bo opowiedzieć nie zdołam.

Fryderyk, mój najukochańszy, w skutek znalezionego przy nim listu, oskarżony został o szpiegostwo... Fanatyczny tłum porwał go, zawłókł, wśród okrzyków: „à mort — à mort le prussien!”, przed trybunał narodowy, gdzie go za doraźnym wyrokiem rozstrzelano...

To się stało 1 lutego 1871 r.

EPILOG.

R. 1889.

Długie miesiące przeleżałam w ciężkiej chorobie, nie wiedząc czy żyję, pod troskliwą opieką wiernej Anny; nie wiem co to była za choroba: otaczający nazywali ją, przez delikatność, tyfusem, lecz sądzę, że to było po prostu — obłąkanie.

W moich majaczeniach rozlegały się grzmące strzały, iskrzyły się płomienie pożarów; widziadła wyobraźni musiały się zapewne łączyć z wypadkami rzeczywistości.

Pamięć o dzieciach sprawiła, że po odzyskaniu przytomności, a z nią i świadomości mego nieszczęścia, nie targnęłam się na własne życie; żyć dla nich było moim świętym obowiązkiem! Kiedy mnie dosięgło straszne nieszczęście, z głośnym łkaniem padłam na kolana, powtarzając: „Ach umrzeć! umrzeć!... umrzeć pragnę!"; wtedy objęły mnie dwie rączki, i błagała, boleśnie poważna, miłutka twarzyczka Rudolfa spojrzała mi w oczy:

— Matko! — szepnął chłopczyna tkliwie.

Dotychczas nazywał mnie „mamo”; wyraz „matko”, którego po raz pierwszy użył, mówił mi: „Nie jesteś samą na świecie; masz syna, który dzieli twą boleść, kocha cię i, prócz ciebie, nie ma nikogo. „Matko! nie opuszczaj twego dziecka” — mówi on w tej chwili.

Przycisnęłam do serca drogiego chłopczynę, a chcąc mu wyrazić, żem go zrozumiała, i wyjąkałam:

— Synu mój! synu!

Boleść pogrążyła mnie w mrok; ośmnaście lat upłynęło od 1 lutego 1871 r., lecz choćbym sto lat żyła, czas nie zdoła zatrzeć żalu i smutku wywołanego przez zbrodnię dnia owego.

Żałobnych sukien nie zdjęłam nigdy, nawet w dzień wesela mego syna. Kto ukochanego męża stracił w taki okrutny sposób, nie może się nigdy ukoić w swym żalu.

Ale na kogo winą tu spada? na kogo mam się skarżyć? Ludzie, którzy spełnili czyn morderczy, nie są za niego odpowiedzialni; winowajcą jest duch wojny, jego mogłabym tylko pociągnąć do odpowiedzialności.

W pierwszych latach, po wojnie francuzko-pruskiej, dwa sąsiednie narody europejskie myślały o ponownej walce; jeden dumny był z odniesionego zwycięstwa, drugi oczekiwał chwili odwetu. Zwolna uspokoiły się burzliwe fale, po latach dziesięciu mógł zabrznieć głos apostołów pokoju. Bluntschli, znako-

mity znawca prawa międzynarodowego, ten sam z którym mój Fryderyk wszedł był w stosunki, zebrał zapamiętania różnych dostojników i rządów na kwestyę powszechnego pokoju. Wtedy to „genialny milczek” wyrzekł znane słowa: „Wieczny pokój to mrzonka, nawet wcale nie szlachetna”.

Dziś niema prawie człowieka, któryby nie oddawał się tym marzeniom lub nie przyznawał, że są najszlachetniejsze; w Anglii, we Francji, we Włoszech, w krajach północnych, w Niemczech, w Szwajcarii, w Ameryce potworzyły się stowarzyszenia, które postawiły sobie za zadanie, przy pomocy moralnego wpływu, skłonić rządy, aby nieporozumienia przedstawiały międzynarodowemu trybunałowi; w ten sposób prawo zastąpiłoby przemoc. Że to nie mrzonka, świadczą kwestye Alabamy, wysp Karolińskich i niektóre inne; zostały one w ten sposób polubowny rozstrzygnięte. Na liście członków stowarzyszeń pokoju znajdują się biskupi, uczeni, senatorowie, członkowie parlamentu, ministrowie.

Można powziąć wyobrażenie, jak stoi sprawa pokoju wiecznego, odczytawszy list Hodgsona Pratta, pisany do mnie, który dosłownie przytaczam:

„Szanowna Pani!

Zaszczyciłaś mnie zapytaniem o stan obecny wielkiej sprawy, której poświęciłaś życie; oto odpowiedź: Nigdy jeszcze sprawa pokoju nie stała na tak pomyślnej drodze. Dziwnie zapewne brzmią te słowa

wobec zbrojenia się wszystkich państw, ale pewnik to niezbity, że gdy zło dojdzie do punktu najwyższego, zaczyna się zwrot ku lepszemu. Bankructwa, do jakich doprowadzają olbrzymie armie, wywołują powszechną trwogę; wkrótce podniosą głos narody i odezwie się okrzyk: „Ratujcie nas i dzieci nasze od śmierci głodowej, bo to nam zagraża, jeśli rzeczy pójdą dalej tym samym torem. Ratujcie cywilizacyę i wszystkie zdobycze. Niedozwólcie światu popaść znów w barbarzyństwo”.

Zapytujesz, Pani, jakie są oznaki nadejścia lepszych czasów? W odpowiedzi na to zapytuję, czyż nie należy do nadzwyczajnych w historii całego świata zjazd, jaki niedawno miał miejsce w Paryżu, zjazd delegatów stu przeszło stowarzyszeń, w celu obmyślenia sposobów do przeprowadzenia pokoju w czyn? Czyż nie widzieliśmy kongresu członków parlamentu różnych państw, którzy oświadczyli się za traktatami, i zobowiązali się zjeżdżać corocznie w którymś z miast europejskich, aby rozpatrywać wszystko, co tylko mogłoby się stać powodem nieporozumień lub starcia jakiego; aby oddziaływać swym wpływem na rządy? Przyznać musi najzawziętszy pessimista, że te wypadki zapowiadają przyszłość, kiedy wojna uważać się będzie zanaajwiększą zbrodnię i szaleństwo.

Hodgson Pratt.”

London 41, Quater Temple.

Lipiec 1889.

Konferencya członków parlamentu odbyła się najpierw we Francyi, pod prezydencyą Juliusza Simon'a.

*

*

*

— Matko, czy nie zdejmiesz pojutrze żałoby? — z temi słowy wszedł Rudolf dziś z rana do mego pokoju. Pojutrze, 30 lipca 1889, ma się odbyć chrzest mego wnuka.

— Nie dziecko moje — odparłam.

— Wszak w dniu tak radosnym nie będziesz smutną, po cóż więc zewnętrzne oznaki żałoby?

— Nie przypuszczam, żebyś był przesadnym i obawiał się, że czarna suknia babki sprowadzi nie-szczęście na wnuka?

— Naturalnie, że nie; lecz ta czarna suknia nie zgadza się z charakterem weselnym dnia. Czy związaną jesteś ślubem?

— Nie jest to przecież stałe moje postanowienie.

Syn spuścił głowę i nie nastawał więcej.

— Przerwałem ci zajęcie... pisałaś?

— Tak, pisałam historią mego życia. Skończyłam, dzięki Bogu, ostatni rozdział.

— Z dniem urodzin mego małego Fryderyka, którego wychowam na to, by uwielbiał swą babkę, rozpoczyna się nowy rozdział dla ciebie...

— Dobrém jesteś dzieckiem, kochany Rudolfie: musiałabym być bardzo niewdzięczną, gdybym nie czuła się dumną i szczęśliwą matką... Równą chlubę przynosi mi Sylwia; błogosławiona starość mnie czeka.

Odpowiedział mi na to milczącym, pełnym spójrzaniem.

— Gdym się zebrała do opisanego mego życia, postanowiłam zakończyć na 1 lutego 1871 r.; tylko wtedy, gdyby mi jeszcze ciebie wojna wydarła, byłabym musiała przedłużyć opowiadanie...

* *

*

Razem ze chrztem syna Rudolfa, odbyły się zaręczyny Sylwii z hrabią Antonim Delnitzkym.

Cieszę się powodzeniem i szczęściem mych dzieci; Rudolf, od lat sześciu właściciel majoratu Datzkych, od czterech ożeniony z Beatryksą Griesbach, przeznaczoną mu na żonę od dzieciństwa, jest prawdziwie szczęśliwym. Sylwia kocha narzeczonego, mam nadzieję, że zawodu nie dozna.

Obiad zastawiono w sali ogrodowej; przez otwarte drzwi szklane płynęło powietrze nasycone wonią róż i ciepłym tchnieniem letniego wieczoru. Obok mnie, za stołem, zajęła miejsce hrabina Laura Griesbach, matka Beatryksy, teraz wdowa. Mąż jęj poległ

w Bośni... Niezbyt boleje nad stratą, nie nosi wiecznej żaloby; pozostała jaką była za młodu: trzpiotem. Sprawy tualetowe, modne romanse francuzkie i angielskie, plotki towarzyskie wystarczają jęj zupełnie; nawet kokieteryi nie wyrzekła się jeszcze. Zdaje mi się, że się uwzięła na ministra Bez wątpienia.

— Muszę się wypowiadać przed tobą — rzekła mi raz — czy wiesz, że byłam naprawdę zakochaną w twym mężu?

— Często mi to mówiłaś.

— Miałas najwierniejszego z mężów, Marto! O moim nie mogę tego powiedzieć, ale, gdy zginął, żałowałam go. Zgon jego był chlubnym; to mnie pociesza... Nudny jest stan wdowi, zwłaszcza gdy się człowiek starzeje... Dopóki się ma konkurentów i asystentów, nie jest wdowieństwo bez uroku... lecz teraz, wierząc mi, samotność usposabia do melancholii... Nie wzdragałabym się wyjść zamąż powtórnie; naturalnie musiałoby to być małżeństwo z rozsądku, z jakim człowiekiem poważnym...

— Ministrem naprzykład? — przerwałam śmiejąc się.

— Przenikasz moje zamiary! — odparła Laura grożąc mi palcem — ale się gniewać na ciebie nie mogę...

W tęg chwili jeden z gości wstał (był to cesarsko-królewski pułkownik), i rozpoczął mowę, w której składał życzenia memu wnukowi. Oracya była banalna, naszpikowana komunałami; mówca życzył: „by Fryde-

ryk Datzky wstępował w ślady przodków bohater-
skich, by walczył"; a skończył niefortunnie słowami:
„walcz jak twój ojciec i dziad, nie lękaj się śmierci
na polu bitwy; śmierć taka jest dla żołnierza pożą-
daną”.

Ktoś z obecnych, pragnąc zatrzeć wrażenie mowy,
które nie mogło być dla mnie i dla rodziców dziecka
przyjemném, zaczął mówić o trójprzymierzu, utrzy-
mując, że ono pokój na długo zapewni. Żywotny temat
wywołał gorące rozprawy:

— Bez wątpienia — mówił minister — potęga
wojenna Austrii jest wielką i powinna odstraszyć
gwałciciela pokoju. Prawo obowiązujące do służby
wojskowej wszystkich zdolnych obywateli kraju, liczą-
cych od 19—42 lat wieku, a byłych oficerów nawet do
60 lat, daje możność wystawić odrazu 4,800,000 armią.
Ale nie można zaprzeczyć, że wymagania administra-
cyi wojskowej są wielkim ciężarem dla mieszkań-
ców, i że środki potrzebne do utrzymania państwa
w gotowości do wojny stoją w stosunku odwrotnym
do kwestyi uregulowania położenia finansowego. Więć
wznoszę kielich za powodzenie ligi pokojowej, i pra-
gnę abyście ze mną powtórzyli toast: Niech żyje
pokój! Cieszymy się jaknajdłużej jego dobrodziej-
stwem!

— Nie spełnię tego toastu — rzekłam. — Zbroj-
ny pokój nie jest dobrodziejstwem, wojna na zawsze,
nie na jakiś przeciąg czasu powinna być zażegna-
ną. Gdy puszczamy się na morze, nie wystarcza nam
zapewnienie, że do pewnego czasu statek nie rozbije

się o jaką skałę; uczciwy sternik stara się, aby cała
podróż szczęśliwie się odbyła.

Doktor Bresser pospieszył mi z pomocą:

— W istocie, ekscelencyo — zauważył — czy mo-
żesz temu wierzyć, by żołnierze naprawdę pokoju
pragnęli? Oni, o rozbrojeniu, związkach państwo-
wych, sądach polubownych, mówić i słyszeć nie chcą!
Czyż byliby tak dumni ze swych arsenałów, fortec,
manewrów i t. p., gdyby je uważali za niepotrzebne?
Armia nie da się poniżyć do stanowiska strażnika,
czuwającego nad utrzymaniem pokoju... Posłowie
na sejm, przyzwalający dziś na wszelkie żądania
budżetu wojennego, mogliby zmienić stan rzeczy
gdyby...

— Posłowie? — przerwał minister. — Możemy
tylko chwalić ich postępowanie szlachetne, ich jedno-
myślność przy głosowaniu za potrzebami kraju...

— Wybacz, ekscelencyo, każdemu z tych jedno-
myślnie głosujących posłów rzekłbym: „Twoje wo-
tum zabierze jedyne dziecko nieszczęśliwej matce;
twoje pozbawi wzroku biedaka; twoje rzuci zarzewie
pożaru do cennej biblioteki; twoje zmiażdży mózg
poety, który stałby się chlubą narodu... Wszak zgro-
madziliście się by wyjawić wolę narodu, a ten żąda
zniesienia ciężarów, żąda pokoju...”

— Kochany doktorze — odezwał się pułkownik
z goryczą, — nigdy nie będziesz posłem; w izbie wygwiz-
danoby cię.

— Narażając się na to, dowiodłbym, że nie je-
stem bynajmniej tchórzem.

— A gdyby nas wojna zaskoczyła nieprzygotowanymi?

— Więc należy się tak urządzić, by wojna stała się niemożliwą. Wobec postępu techniki wojennej, wobec wzrostu sił walczących, przyszła wojna będzie olbrzymiem nieszczęściem, zagładą powszechną, a kto z nas, tu obecnych głosuje za taką wojną?

— Ja, bezwątienia nie — rzekł minister — i pan również kochany doktorze, lecz ogół... Rząd nasz wcale nie pragnie wojny, za to ręczę, ale inne państwa...

— Jakiem prawem uważasz pan innych ludzi za gorszych i mniej rozsądnych niż my obaj? Opowiem panu bajeczkę:

Przed zamkniętą bramą wspaniałego ogrodu, stała gromada ludzi, składająca się z miliona, tysiąca i jednej osoby. Odźwierny miał rozkaz wpuścić ich, jeżeli zażąda tego większość zgromadzonych. Przywołał więc jednego i mówi: „Powiedz szczerze, chciałbyś tu wejść?” — „Bardzo nawet, ale tamci nie chcą pewnie”. Mądry odźwierny zapisał tę odpowiedź, następnie przywołał drugiego. Ten odpowiedział tak samo, a mądry odźwierny znów zapisał pod rubryką „tak” cyfrę 1. Wypytawszy ostatniego, dodał liczby: rezultat wykazał 1001 głosów za, a milion przeszło przeciw otwarciu. Brama pozostała zamkniętą, bo większość głosowała przeciw otwarciu, dlatego, że każdy mówił nietylko za siebie ale i za innych.

— Bezwątienia — odparł minister — piękną byłoby rzeczą jednomyślne głosowanie za rozbrojeniem...

Z drugiej strony, które państwo odważy się dać początkowanie tej sprawie? Bezwątienie ma nie piękniejszego jak zgoda, ale czy można wierzyć w możliwość trwałej zgody, dopóki istnieć będą namiętności ludzkie i odrębność interesów?

— Pozwól pan — rzekł na to Rudolf. — Czterdziesto milionowa ludność jednego państwa stanowi odrębną całość, dlaczego nie mają stanowić całości setki milionów? Czy to pewnik logiczny i matematyczny, że dopóki istnieć będą namiętności ludzkie i odrębność interesów, to 40 milionowa ludność nie może żyć w zgodzie? Jeżeli trzy państwa mogą sprzymierzyć się i utworzyć ligę pokojową, dlaczego pięć mocarstw nie może tego uczynić? Doprawdy, świat dumny ze swęj mądrości, wysmiewa się z dzikich, a jednak często trzech zliczyć nie umiemy.

— Jakto? dzikimi jesteśmy? — oburzyło się kilka osób.

Rudolf podniósł się:

— Nie cofam słowa: dzikimi jesteśmy. I dopóki uparcie trzymać się będziemy przesądów, nie pozbędziemy się tej dzikości. Stoimy już, na szczęście, u wrót nowych czasów, tej ery, która wszelkie zwyczaje barbarzyńskie wypłeni. Może już żyje ten monarcha lub mąż stanu, który spełni najchlubniejsze zadanie: przeprowadzi sprawę powszechnego rozbrojenia. Jutrzeńka poznania, że sprawiedliwość stać się powinna podstawą życia społecznego, już wschodzi, jak zwykły mawiać Fryderyk Tilling... Matko, wznoszę ten toast na cześć pamięci twego nieodżałowanego małżonka, któremu

zawdzięczam to, czém jestem i to co umiem. Tym pu-
harem nie mogę już spełnić innego toastu.

To powiedziawszy rzucił naczynie o ścianę; szkło
rozprysło się na drobne cząsteczki.

Wzrok mój był zwrócony ku otwartym drzwiom
na ogród. Promienie zachodzącego słońca otoczyły
krzak różany złocistym obłokiem, z którego wychylało
się moje drogie widziadło: twarz ukochanego Fryde-
ryka, który odżył w piersi jego syna.

K O N I E C .



114989

DLA PRENUMERATORÓW „BIESIADY LITERACKIE”

wydawnictwa po nadzwyczaj zniżonej cenie:

ZŁOTA PRZĘDZA POETÓW I PROZAIKÓW POLSKICH.

Cztery wielkie tomy rs. 10,

w ładniejszej oprawie rs. 14; za przesyłkę od tomu kop. 30. (Cena
dawniejsza rs. 16 i 20). W całej naszej literaturze niema ani jednego
zbioru równie bogatego.

Złota Przędza w handlu księgarskim została zupełnie wyczer-
paną. Gotowiśmy należność przyjmować w kilku ratach.

Czwarty tom Złotej Przędzy rs. 1, z przesyłką rs. 1 kop. 30.
Tom ten obejmuje cały cykl literatury od najpierwszej doby do epoki
Mickiewicza.

SKARBIEC

DLA RODZIN W MIEŚCIE I NA WSI.

Tomów dwa.

Zawiera przeszło 3,500 różnych rad, przepisów, przestróg, informa-
cyj pożytecznych w gospodarstwie rolném i domowém, w higienie,
wychowaniu dzieci, w stosunkach towarzyskich, handlowych, pienię-
żnych i t. p. Tom każdy po kop. 60; przesyłka tomu kop. 15. Za
oba tomy razem rs. 1, z przesyłką rs. 1 kop. 15.
Oprawa ozdobna tomu kop. 45.

WIEDZA

n I i II obejmuje wiadomości naukowe, niezbędne dla każdego kształconego człowieka. Jest to podręcznik ilustrowany, wielwartości dla młodzieży i w ogóle dla ludzi chcących iść razem z postępem wiedzy. Każdy tom po rs. 1, z przesyłką rs. 1 kop. 15. Za oba tomy razem rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 1 kop. 80.

Oprawa ozdobna tomu kop. 45.

ZBIOROWE WYDAWNICTWO

Powieści obyczajowych i humorystycznych

ALBERTA WILCZYŃSKIEGO,

autora „Kłopotów starego komendanta”

w 20 tomach w 8-ce, arkuszy przecięciowo po 16 w tomie.

Zbiór zawiera następujące powieści: Kłopoty starego komendanta. — Obrazki i szkice, tomów 3. — Fotografie społeczne tomów 3. — Dziecię niedoli i dziecię próżności, opowiadanie, tomów 2. — Woły robocze, obrazki z życia poczciwców, tom 1. — Z pamiętników plotkarza, obrazki z życia, — Tanie tabakierki, tomów 2. — Siostra mojej żony, obrazek z życia wiejskiego, tom 1. — Słomiany wdowiec, obrazki społeczne, tom I. — Dla dobra dzieci, studium z natury, tom 1. — Za groszem, tom 1. — Sielanki szlacheckie, tom 1. — Misya rodzinna, opowiadanie, tom 1. — Na manowcach, dzieje zwykłego śmiertelnika, tom 1. —

Galerya dyletantów, tomów 2.

Cena za 1 tom kop. 60, z przesyłką kop. 70. Kto nabydzie od razu tomów 15, za rs. 9, ten resztę, **tomów 5, otrzyma bezpłatnie.**

Oprawa ozdobna każdego tomu kop. 45.